

Miłości trzeba się uczyć



Ks. Aleksander Zienkiewicz

# Miłości trzeba się uczyć

Kraków

© 2007 by WYDAWNICTWO OO. FRANCISZKANÓW „Bratni Zew” spółka z o.o.

ISBN 978-83-7485-016-2

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana,  
ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana  
czy powielana mechanicznie, fotoptycznie,  
zapisywana elektronicznie lub magnetycznie,  
ani odczytywana w środkach publicznego przekazu  
bez pisemnej zgody wydawcy.

W sprawie zezwoleń należy się zwracać do wydawnictwa:  
„Bratni Zew” sp. z o.o., ul. Grodzka 54, 31-044 Kraków.

*Zamówienia na książki można składać:*

Wydawnictwo OO. Franciszkanów „Bratni Zew”  
ul. Grodzka 54, 31-044 Kraków  
tel. 12 428 32 40, fax 12 428 32 41  
www.bratnizew.pl

*Do druku przygotowała:*  
Jadwiga Wartalska

*Na okładce:* rys. Anna Jonkisz

*Imprimatur:*

Kuria Metropolitalna Wroclawska  
L.dz. 627/88, Wrocław dnia 2. 02. 1988 r.  
Henryk kard. Gulbinowicz  
Abp Metropolita Wroclawski

WYDAWNICTWO OO. FRANCISZKANÓW



„Bratni Zew” spółka z o.o.

ul. Grodzka 54, 31-044 Kraków

tel. (12) 428 32 40, fax (12) 428 32 41

www.bratnizew.pl

---

*Druk:* „Pracownia AA”, Pl. Na Groblach 5, 31-101 Kraków

## Spis treści

Słowo ks. Stanisława Orzechowskiego .....	7
Wstęp .....	9
Jak powstał i kiedy powstaje człowiek? .....	13
Czym jest miłość? .....	21
Miłość – agape .....	27
Synteza pojęcia miłości .....	29
Miłość – uczucie .....	31
Eros – miłość erotyczna .....	39
Geneza i „sztuka” miłości .....	47
Miłość i sens życia .....	55
Etyka seksualna na straży miłości .....	63
Miłość a czystość .....	71
Miłość na gruncie różnic płciowych .....	81
Współczesne mity o erosie i seksie .....	89
Sakramentalny związek miłości .....	99
Miłość małżeńska	
według encykliki <i>Humanae vitae</i> .....	107
Płodna miłość i odpowiedzialne rodzicielstwo .....	113
Miłość pod ochroną prawa .....	119
Motywy i kryteria miłości wybierającej .....	127
Miłość widząca i poznająca .....	135
Obrzęd sakramentu miłości .....	141
Miłość i wesele .....	149
Zawiłe drogi erosu i kręte drogi do małżeństwa .....	155
Przestrzenie miłości .....	163
Pomóżcie nam was lubić i kochać .....	171
Miłość zasmucona .....	179
Losy miłości w małżeństwie .....	187
Nota biograficzna .....	195



## **Słowo ks. Stanisława Orzechowskiego** *duszpasterza akademickiego* *DA „Wawrzyny” we Wrocławiu*

Ks. Aleksander Zienkiewicz, Wujek, niewątpliwie był człowiekiem, który miał serce urodzajne miłością i na pewno pisał tę książkę z własnego doświadczenia, przez swoje duszpasterstwo, przez ludzi, którzy ciągle byli przy nim.

Wujek jest dla mnie mistrzem. Podpatrując go w posłudze duszpasterskiej zauważyłem, że ogromny nacisk kładzie na przygotowanie młodych ludzi do małżeństwa. I pamiętam, że gdy dostaliśmy do ręki pierwsze wydanie tej książki, już wtedy stała się dla mnie i jest ciągle tym przypomnieniem, by tej dziedziny w duszpasterstwie nie zaniedbywać, nie lekceważyć. Wujek był wymagającym moralistą i właśnie w tym powiedzeniu „miłości trzeba się uczyć” poszedł bardzo prosto za przykazaniem Pańskim: nie ma, jak chcesz – będziesz miłował! Miłości trzeba się uczyć, skoro będziesz miłował. Podpatrywanie Wujka, a potem czytanie jego wypowiedzi nieustannie mnie modelowały i przede wszystkim inspirowały do pracy. I sądzę, że to też jest jego zasługa, że po latach, szukając właśnie już po swojemu jakiegoś rozwiązania

w tej dziedzinie, szczęśliwie trafiłem najpierw na dialogi małżeńskie, a potem na dialogi narzeczeńskie, które w tej chwili, myślę, są bardzo pożyteczne. I na tych dialogach bardzo często, tam gdzie jest wejście dla kapłana, gdzie są miejsca na takie złote myśli wprowadzające w poszczególne etapy – niejednemu raz otwierałem książeczkę Wujkową i czytałem, bo wiedziałem, że zdanie, które przeczytam będzie taką inspiracją. Cieszę się bardzo, że znaleźli się ludzie, którzy widzą aktualność tej sztuki, którą Wujek posiadał i opisał w tej książce, która jest ciągle aktualna i dobrze by było, gdyby stała się taką podstawową lekturą w przygotowaniu do małżeństwa.



## WSTĘP

Podajemy w tej książce problemy ogólne zawarte w haśle: miłość – małżeństwo – rodzina. Jak one są doniosłe, a zarazem pełne ukrytych często treści i tajemnic, tego nie trzeba dowodzić. Przede wszystkim miłość. Rozbrzmiewa nią cała Ewangelia. Jezus uczy słowem i czynem, że jest ona najwyższą wartością moralną. I wymaga jej w trybie najwyższego przykazania. I wszystkie inne przykazania sprowadza do wymogu miłości: „Na tych dwóch przykazaniach – miłości Boga i miłości człowieka – opiera się całe Prawo i Prorocy” (Mt 22, 40). Miłość jest nieodzownym warunkiem życia wiecznego, czyli zbawienia, ale jest też i nieodzownym warunkiem pokoju i szczęścia na ziemi. Bezczynnymi wartościami są i wiara, i nadzieja, ale „największa jest miłość” – woła św. Paweł.

Przez wieki całe nad głębinami tej wartości pochylali się filozofowie, teologowie, pisarze i poeci, a wciąż ten temat jest nie wyczerpany i zawsze aktualny, i zawsze interesujący. Współczesny psychoanalityk i filozof amerykański Erich Fromm, do którego będziemy się nieraz odwoływać, napisał: „Bez miłości ludzkość nie mogłaby istnieć ani jednego dnia” (*O sztuce miłości*, s. 31). Podobnie widział ożywiającą potęgę miłości francuski pisarz, F. Mauriac, gdy pisał: „Jeżeli

zabraknie w tobie miłości, wielu ludzi obok ciebie umrze z zimna”. Z niepokojem obserwując pomnażającą się wśród współczesnej młodzieży liczbę zagubionych wykołajeńców, narkomanów, socjologowie i wychowawcy widzą to zjawisko jako tragiczny „produkt” deficytu miłości w rodzinach i w środowiskach życia.

Dodajmy tu niewymiernie ważne zdanie: Gdyby Bóg nie był MIŁOŚCIĄ, świat w ogóle nie wyszedłby z otchłani nicości...

Już w świetle tych krótkich przypomnień miłość jawi się jako moc, która stwarza, rodzi i ożywia, zbawia i uszczęśliwia.

Ale gdy słyszymy i czytamy pochwały miłości, mogą się w nas rodzić niepokojące pytania i zastrzeżenia. Przecież miłość niejednokrotnie staje się przyczyną, a przynajmniej źródłem cierpień i dramatów, czasami – strasznych dramatów. Spostrzegający te zjawiska chcą powiedzieć, że miłość – przynajmniej tu na ziemi nie spełnia swoich obietnic, nie zawsze przynosi pokój i szczęście. Otóż wtedy należy zapytać, o jakim szczęściu tutaj mowa, a głównie należy się zastanowić: jaka miłość zawodzi? Czy przypadkiem to, co nazywamy miłością, nic jest tylko pozorem miłości, czy wręcz przeciwieństwem miłości prawdziwej? Trzeba więc cały ten obszar pojęć, poglądów i życia nieco rozjaśnić; by rozpoznać, co stanowi autentyczną miłość.

Słowo „miłość” jest wyrazem niejednoznacznym. Fundamentalna, autentyczna miłość jest jedna, ale istnieją jej niejako różne „rodzaje”, a ściślej – różne postacie, jak miłość do Boga, miłość ogólnoludzka, miłość rodzinna, miłość erotyczna (między mężczyzną i kobietą), miłość przyrodzona, ale i nadprzyrodzona. Język łaciński czy grecki miał więcej słów na nazywanie tych „miłości” (*dilectio, amor, caritas, eros, agape*), język polski pod tym względem jest uboższy. I stąd, jeżeli nie stosujemy bliższych określeń specyfikują-

cych, co się bardzo często zdarza, możemy się znaleźć w gąszczu szkodliwych wieloznaczności i nieporozumień. Co gorsza, czasem nadaje się imię miłości takim postawom i czynom, które w ogóle nie są żadnym wyrazem miłości: nazywa się tym imieniem falsyfikaty miłości. Wprawdzie w tej dziedzinie ścisłych definicji nie ma, ale można pewne treści i procesy opisać, a pojęcia uściślić. Zaniechanie takiego uporządkowania i pozostawienie mgławicy i chaosu pojęciowego może szkodzić rozwojowi osobowości, a na osi: mężczyzna – kobieta – małżeństwo może prowadzić do dramatycznych błędów. W tej dziedzinie pojęcia i poglądy mają ogromny wpływ na postępowanie człowieka, na jego stosunek do ludzi i do Boga.

Na przykład – pogląd na uczucie. Znaczna część pisarzy, wychowawców, publicystów, nie mówiąc o piosenkarzach, a zwłaszcza o młodzieży – sprowadza miłość do uczucia, a tymczasem taki pogląd należy zakwestionować i skorygować. Miłość bowiem nie musi być uczuciem. Autentyczna, fundamentalna miłość jest przede wszystkim „postawą moralną”, ukształtowaną przez rozum i wolę. Uczucia są zjawiskami towarzyszącymi miłości, ale mogą być w życiu takie sytuacje, w których ciepłe uczucia wygasają, a miłość pozostaje, ale o tym szerzej pomówimy w następnych rozważaniach.

Jak już nadmieniliśmy, miłość przybiera różne formy, postacie i wymiary. Najbardziej fascynujący dla młodych jest eros – miłość między mężczyzną i kobietą. Jest to postać miłości, która łączy się z popędem seksualnym. Eros niesie z sobą wiele radości, ale jeżeli nie jest opanowany i podbudowany miłością fundamentalną, może sprowadzić ogrom cierpień i dramatów. I właśnie taka miłość podważa wiarygodność jej obietnic. Eros prowadzi ludzi do małżeństwa. A małżeństwo tworzy rodzinę... I nie ma bardziej

uszcześliwiających więzi nad dobrze zespolone rodziny. Ale w wypadku źle uformowanego małżeństwa ten uszcześliwiający związek i ognisko miłości może się przekształcić w ponurą jaskinię chłodu i trującej nienawiści – może stać się „kłębowiskiem żmij” (tytuł książki F. Mauriaca). I cóż wtedy po komforcie w mieszkaniach, po strojach, willach i doktoratach, jeżeli w życiu rodziny zabraknie tlenu miłości, jeżeli dzieci będą go szukały poza domem, aż niejednokrotnie zatrują się na bezdrożach jego wulgarną namiastką? Znamy dobrze takie żałosne zjawiska!

Ktoś powie, że w takich sytuacjach pozostaje rozwód. Rozważymy jeszcze kwestię rozwodów szerzej. Ale już tutaj zauważmy, że nie są one prostym rozwiązaniem nawet na krótkiej fali ziemskiego życia. Jezus Chrystus odrzucił rozwody jako z istoty sprzeczne z zamysłem Boga wobec człowieka. Kto więc je uznaje, staje w kolizji z wolą i miłością samego Boga.

Gdy uświadamiamy sobie małżeńskie i rodzinne dramaty, narzucają się niepokojące pytania: Czy nie można im było zaradzić? Czy nie można im zaradzić na przyszłość? Odpowiadamy: Na pewno w jakiejś mierze – t a k . I właśnie w imię miłości będziemy się starali przez wszechstronne rozważania tych problemów – w świetle psychologii, etyki, medycyny, a głównie w świetle Pisma św. i nauki Kościoła – niejedną prawdę ukazać czy przypomnieć. Przyświeca mi nadzieja, że w ten sposób może kogoś uda się z nieszczęścia uratować, kogoś obronić, komuś pomóc. Jeślibym tylko jedną dziewczynę chronił przed tragedią, a jednemu chłopcu pomógł osiągnąć dojrzałą miłość i założyć szczęśliwą rodzinę, mój trud się opłaci. A przecież z Bogiem tę nadzieję można poszerzyć...

## **JAK POWSTAŁ I KIEDY POWSTAJE CZŁOWIEK?**

Na początku naszych rozważań o miłości powinniśmy zadać pytania o człowieka, który jest powołany do miłości: ma być jej podmiotem i przedmiotem: Jak powstał pierwszy człowiek na ziemi, a z nim rodzaj ludzki, oraz jak i kiedy powstaje indywidualny człowiek dziś?

Gdy zadajemy pierwsze z tych pytań ateście, odpowiada: „Człowiek powstał drogą ewolucji”. Otóż to nie jest odpowiedź na postawione pytanie. Ewolucja najwyżej odpowiada na pytanie: jak się rozwijał człowiek. A nam chodzi o odpowiedź na pytanie: kto był ostatecznym sprawcą, „ojcem” człowieka? Jaka siła nadała kierunek ewolucji i spowodowała powstanie człowieka? Jednym słowem: jaka jest metryka człowieka?

Na to ludzie wykluczający z sił twórczych Stwórcę – Boga, ponadludzką Istotę, Osobę, ponadludzki Rozum nie potrafią dać zadowalającej odpowiedzi. Człowiek – we mgle ich światopoglądu – nie ma metryki; zawsze będzie jakimś „podrzutkiem”, rozumną istotą, zaistniałą nie wiadomo jak i po co.

Zupełnie inaczej musi wyglądać odpowiedź ludzi, którzy – jak np. fizyk H. Ditfurth – uznają, że „na początku był Rozum”.

Wszyscy wyznawcy wielkich religii głoszą, że stwórcą człowieka był i jest pierwotny, samoistny, wszechmocny, rozumny Bóg Duch, który przekazał mu w chwili stworzenia swoje podobieństwo – nieśmiertelnego ducha obdarzonego rozumem i wolną wolą. Izraelici i chrześcijanie odczytują tę doniosłą prawdę w I Księdze Pisma św., gdzie znajdujemy słowa: „Stworzył więc Bóg człowieka na swój obraz, na obraz Boży go stworzył, stworzył mężczyznę i niewiastę” (Rdz 1, 27). W drugim z biblijnych opisów stworzenia człowieka (Rdz 2, 4-7) czytamy: „Pan Bóg ulepił człowieka z prochu ziemi i tchnął w jego nozdrza tchnienie życia” (Rdz 2, 7). A ciało niewiasty uformował z żebra Adama. Oczywiście, nie trzeba tych obrazów i opisów brać dosłownie. Pismo św., zwłaszcza Starego Testamentu, jest pełne obrazowości – przekazuje treści przy pomocy porównań, metafor, alegorii, antropomorfizmów (antropomorfizm – to przypisywanie Bogu działań i cech ludzkich) i innych figur stylistycznych, bo jest to Księga w znacznej mierze poetycka – to wielki Epos o Bogu – Stworzycielu i o człowieku-stworzeniu. Należy więc przy jej lekturze w obrazach, którymi się posługuje, odkrywać istotny sens: prawdę, jaka z woli Bożej miała być przez Pismo św. utwalona dla naszego zbawienia (por. soborowa Konstytucja dogmatyczna o Objawieniu Bożym, 11).

Teraz właśnie zapytujemy, jaki sens i jakie prawdy kryją się pod tymi prostymi antropomorficznymi obrazami o stworzeniu pierwszych ludzi? Zawierają się tam trzy istotne prawdy: 1) że człowiek został przez Boga stworzony w szczególny sposób; 2) że Bóg przekazał człowiekowi swoje podobieństwo, jak je w pewnej mierze przekazuje ojciec swemu synowi; 3) że mężczyzna i kobieta zostali stworzeni do monogamicznego małżeństwa.

Człowiek w ten sposób stworzony staje się dzieckiem Bożym, a Bóg jego Ojcem. Z woli Bożej będzie miał prawo do nowotestamentowego miana „dziedzica” Bożego.

Oto są istotne prawdy religijne dotyczące stworzenia człowieka. A antropomorficzne elementy opisu biblijnego tworzą tylko szatę, formę literacką wyrażonej w nim treści.

Czy te prawdy o szczególnym zaangażowaniu Boga w stworzenie człowieka nie pozostają w kolizji z upowszechnioną i przyjmowaną przez ogół świeckich i duchownych antropologów (np. Teilhard de Chardin) teorią ewolucji? Teologowie współcześni po wyjaśnieniu dawnych nieporozumień takiej kolizji nie widzą. Przeciwnie, niektórzy z nich dostrzegają w teorii ewolucji elementy, które jeszcze mocniej podkreślają transcendencję, wielkość i mądrość Stwórcy, który z ewolucji uczynił narzędzie swoich aktów twórczych. Pismo św. ukazuje Boga jako tego, który formuje ciało człowieka z „prochu ziemi”, a więc z pierwiastków znajdujących się w ziemi (i tak jest istotnie!), ale nie określa czasu tego formowania czasu, w którym ciało to z woli Boga przybrało kształt dzisiejszego człowieka. Pan Bóg nie ma rąk garncarza i żyje poza czasem, a zatem dla Niego wieki, okresy, epoki – to ustawiczne dziś. Stąd też nie ma konieczności dosłownego przyjmowania „sześciu dni” stwarzania świata. Być może, że „ulepił” On człowieka z „mułu ziemi” narzędziem miliardów lat ewolucji. A gdy ten ukierunkowany na człowieka twór osiągnął 14 miliardów szarych komórek mózgu (obliczenie uczonych), gdy tym samym zostało zorganizowane główne narzędzie ducha, wtedy „tchnął w jego nozdrza tchnienie życia”, życia na obraz i podobieństwo swoje. I oto rozbłysła wielka chwila dziejów przyrody, bo oto powstała na ziemi istota świadoma siebie i ota-

czającego świata, rozumna i duchem spokrewniona ze Stwórcą. W tym momencie rozwarła się przepaść między tą istotą a najpiękniejszymi okazami przyrody nierozumnej. Ta istota – osoba – otrzymała prawo panowania nad ziemią, by czynić ją „sobie poddaną”. A więc zjawił się upełnomocniony z woli Stwórcy „król” świata przyrody.

Oto wspaniały Epos narodzin człowieka, władcy i namiestnika Bożego na ziemi. Że ten namiestnik nadużył swojej wolności i swych pełnomocnictw, to inny rozdział historii, nie należący w tej chwili do naszego tematu...

A teraz w drugiej części naszego rozważania odpowiedzmy na pytanie: Kiedy powstaje indywidualny człowiek? Jaka jest jego ontogeneza? Otóż dla wszystkich dorosłych ludzi jest rzeczą jasną, że człowiek poczyną się w łonie kobiety – matki przy współdziałaniu męża – ojca. Ale już za progiem tej oczywistej prawdy zaczyna się kontrowersja: kiedy, w jakim momencie poczęte dziecko otrzymuje *d u c h a*, czyli kiedy staje się człowiekiem w ścisłym znaczeniu słowa? I gdzie ten duch ma swoje źródło? Skąd pochodzi?

Materialiści, nie uznający istnienia nieśmiertelnej duszy, twierdzą, że ten „epifenomen” (nadfenomen), jak nazywają duszę ludzką, pochodzi od rodziców, jak chromosomy, jak ciało. Natomiast wyznawcy wielkich religii i filozofii (platonizm, arystotelizm), zawsze głosili, że duch ludzki jest pierwiastkiem nieśmiertelnym, nie podlegającym rozkładowi. I jako taki nie może być stwarzany czy przekazywany przez rodziców. Głosili to przede wszystkim chrześcijanie, opierając się na Objawieniu Bożym zawartym w Piśmie św. W pewnych okresach teologowie nie mieli jednak uzgodnionego poglądu, kiedy, w jakim momencie, embrión w łonie matki zostaje uczłowiczony przez nieśmiertelnego ducha, noszącego w sobie podobiznę Boga.



W naszych czasach, gdy medycyna, psychologia i inne nauki o człowieku zaczęły coraz głębiej wnikać w tajemnice poczęcia, rozwoju i życia człowieka, poglądy na moment uczłowieczenia poczętego dziecka uległy uściśleniu i stabilizacji. Mianowicie: nieśmiertelny duch włącza się w organizm fizjologiczny dziecka w chwili poczęcia. A zatem w chwili poczęcia powstaje w istocie swojej prawdziwy człowiek – osoba. Nie jest to jakiś nieokreślony „płód” ani jakaś galaretka, ani tym bardziej jakaś narośl, lecz prawdziwy człowiek z ciałem i duszą. Wprawdzie organy fizjologiczne tej istoty nie są jeszcze rozwinięte, ale w łonie matki i po urodzeniu następuje dalsza ich ewolucja i duch powoli – od pierwszego uśmiechu, znaku budzenia się ze snu – zaczyna obejmować w swoje władanie dane mu narzędzia wyrazu i porozumiewania się z otaczającym światem.

Rodzice dają dziecku tylko fizjologiczną strukturę i podłoże, podścielisko dla ducha, a ducha nieśmiertelnego, a więc istotę człowieczeństwa, w chwili poczęcia wszczepia sam Stwórca. Tak więc w chwili poczęcia powstaje istota złożona z ciała i duszy nieśmiertelnej, jeszcze w pełni nie rozwinięta, lecz w pełni człowiecza.

Spośród współczesnych uczonych najjaśniej chyba wyraził tę prawdę sławny lekarz psychiatra wiedeński, prof. V. Frankl w książce *Homo patiens* (Pax, 1976). Czytamy tam takie słowa: „Rodzice przekazują dziecku przy jego poczęciu swoje chromosomy, ale ducha tchnąć weń nie potrafią. Chromosomy wyznaczają jedynie i wyłącznie psychofizyczną strukturę człowieka, ale nie jego ducha... Tym, co jedynie daje się przekazać, jest materiał budowlany, ale nie budowniczy... I tak dochodzimy do pytania o pochodzenie ludzkiego ducha i to w sensie ontogenetycznego powstania człowieka. Okazuje się jednak, że w opar-

ciu o dane nauki wiemy tylko jedno: skąd pochodzą cielesne warunki egzystencji duchowej; warunki te, a mianowicie chromosomy, pochodzą od rodziców, ale tworzą one dopiero minimum egzystencji. Dla całości egzystencji – obejmującej również i ducha – to minimum egzystencji jest podstawą wprawdzie konieczną, ale niewystarczającą. Stąd więc bierze się pierwiastek duchowy?”. Autor jeszcze raz podkreśla, że rodzice nie mogą przekazać tego „maksimum egzystencji” – nieśmiertelnego ducha. Jako uczoney, pozostaje tu w granicach możliwości nauki, nie mówi wyraźnie o Bogu, w świetle wiary zdecydowanie jednak wskazuje źródło pochodzenia i moment przekazania tego pierwiastka embrionowi ludzkiemu. Nie waha się tego faktu nazwać wprost „cudem”, albo „stworzeniem”. Pisz dalej: „Tak więc ojciec dziecka nie jest nigdy tym, który je spłodził, nie jest „rodzicem”. (*Zeuger*), lecz tylko „świadkiem” (*Zeuge*) – świadkiem owego, coraz nowego cudu, jakim jest ostatecznie każde powstanie człowieka... Sformułowanie teologiczne brzmiałoby tak: człowiek jako osoba duchowa nie zostaje stworzony przez nas . Wiedza przyrodnicza jest w stanie wyjaśnić tylko byt naturalny. Tym, czego nigdy nie da się „wyjaśnić”, jest sens nadnaturalny. Takie zrozumienie nie opiera się na wiedzy przyrodniczej, lecz na wierze w nadnaturę... W polu widzenia tej wiary nie tylko filogenetyczne powstanie człowieka, lecz także powstanie każdego poszczególnego człowieka oznacza za każdym razem nowy akt stworzenia (s. 210, 214).

Takie jest w zasadzie stanowisko Kościoła. A z tego stanowiska, z tej doniosłej prawdy wynikają doniosłe konsekwencje etyczne. Skoro ten embrion jest już w istocie człowiekiem, wtedy i jego życie obejmuje V prawo Dekalogu: „Nie zabijaj” ! Co znaczy: Nie wolno w żadnych okolicznościach zabić człowieka niewin-

nego, a zwłaszcza bezbronnego. Ponieważ dziecko przed urodzeniem w każdej fazie swego rozwoju jest człowiekiem, zabicie go jest po prostu morderstwem... Jest to twarda mowa, ale prawdziwa i słuszna. Jeżeli nawet wśród chrześcijan znajdują się ludzie, którzy oczekują zmiany stanowiska Kościoła, ich oczekiwania są bezpodstawne i nielogiczne. Określmy jeszcze raz prawdę i zasadę: Jeżeli dziecko już przed trzecim miesiącem ciąży jest człowiekiem, a jest! – to Kościół złamałby Dekalog i zaprzeczyłby sobie, dopuszczając zabijanie niewinnych ludzi dlatego, że jakieś państwo odmawia opieki prawnej poczętemu dziecku. Tym większa wtedy odpowiedzialność rodziców, bo los tego dziecka zawisł jedynie od ich woli.

Przeczytajmy jeszcze jedną uwagę cytowanego przez nas wiedeńskiego uczonego: „Kto by chciał się powoływać na to, że embrionowi w momencie jego zniszczenia nie zadaje się bólu, ten nie zastanawia się nad tym, że twierdzenie takie trudno uznać za argument. Gdyby bowiem tak było, to równie słusznie można by twierdzić, że każde morderstwo jest dopuszczalne, pod warunkiem, że zostaje dokonane z zastosowaniem narkozy” (dz. cyt., s. 208).

Jak jednak twierdzenie, że zabijany tak zwanym „zabiegiem” płód nie odczuwa bólu, przedstawia się w świetle danych uzyskanych dziś dzięki osiągnięciom nauki i techniki? – W Stanach Zjednoczonych powstał – znany już także u nas – film dokumentujący przebieg „usuwania ciąży”. Film powstał przy użyciu kamery-sondy wprowadzonej do organizmu matki. Widzowie oglądają 11-tygodniowy płód pochwycony przez instrumenty, rozkawałkowany i wyssany na zewnątrz. Widzą kurczowe ruchy rąk i nóg małego człowieka, jego usta otwierające się w niemym krzyku. Twórca filmu, dr Bernard Nathanson, który przez szereg lat był szefem kliniki wyspecjalizowanej

w aborcji, oświadczył, że „przy każdym takim zabiegu rzecz wygląda tak samo: dziecko w śmiertelnej męce, rozdzielane w kawałki...” Film nosi tytuł *Nie-my krzyk*.

Nathanson, który występował przedtem w kampanii na rzecz zalegalizowania aborcji, stał się obrońcą nienarodzonego życia.

Warto zakończyć te refleksje o cudownych początkach człowieka i o zakusach na jego życie słowami poezji, która często głębiej wnika w Tajemnice Boga i losu ludzkiego, aniżeli język uczonych:

*Ziemia nasza jest jak proch w otchłani:  
A my, czymże jesteśmy na niej?  
Czyli jeszcze nie wiecie?  
Że w każdym z nas zamknięta jest nieskończoność?  
Że w każdym z nas jest dusza z duszy Boga wzięta?  
Czyli jeszcze nie znacie treści,  
Która się w ludzkich piersiach może zmieścić?  
Czy nie czujecie oddechu,  
Który w nie dmą przeciagi wieków? Czyli jeszcze  
nie wiecie,  
Jak wielkim, jak świętym jest życie?*

*Michał Pawlikowski*

## CZYM JEST MIŁOŚĆ?

Czym jest prawdziwa miłość? Każdy z Czytelników przeżył ją na jakiejś płaszczyźnie i w jakimś wymiarze – w stosunku do matki, dziewczyny, chłopca, nauczyciela, Boga czy Ojczyzny. Ale gdyby nas ktoś poprosił o definicję, o bliższe określenie miłości, poczuliśmy się poważnie zakłopotani. Otóż nie wstydzmy się tego, bo najwięksi filozofowie i psychologowie mają wielkie trudności z definicją miłości, gdyż jest ona wartością egzystencjalną – jest czymś tak żywym i tak dynamicznym, jak samo życie, czymś bardzo prostym, a zarazem złożonym aż do otchłani tajemnicy.

Jesteśmy jednak w stanie przynajmniej wymienić jej istotne elementy, komponenty, czynniki; jesteśmy też w stanie opisać jej procesy i postacie. W tym opisie pójdziemy głównie śladami przedstawionego już w poprzednim rozdziale filozofa i psychologa amerykańskiego, E. Fromma. Dał on w książce pt. *O sztuce miłości* fascynującą odpowiedź na postawione przez nas pytanie. Jako agnostyk (nie wierzący w możliwość poznania Boga osobowego), genezę miłości raczej zaciemnił, ale jako filozof – fenomenolog ukazał dość jasno procesy i komponenty fundamentalnej miłości międzyludzkiej, a nawet miłości człowieka do Boga. Naukowa bowiem uczciwość pozwoliła mu do-

strzec autentyzm i niektóre przymioty miłości do Boga w wymiarze przyrodzonym, w świetle psychologii.

Otóż punktem wyjścia dla każdej postaci miłości jest spostrzeżenie wartości (dobra) duchowej lub zmysłowej Boga, człowieka, ojczyzny, piękna przyrody. Gdy umysł czy oczy nasze spostrzegają wartość (dobro, piękno), wola nasza spontanicznie nachyla się ku tej wartości, przeżywa upodobanie, chce być blisko niej, a nawet z nią się zjednoczyć: z Bogiem, człowiekiem, a nawet z pięknym kwiatem.

Następnym aktem procesu rodzącej się miłości i następnym jej komponentem jest szacunek (poszanowanie) dla spostrzeżonej, odkrytej wartości (od zwykłego szacunku aż do adoracji i uwielbienia w stosunku do Boga). Prawdziwy szacunek zawiera w sobie coś z lęku, ażeby nie poniżyć, nie naruszyć tej wartości. To zjawisko daje się zauważyć nawet w rodzącej się miłości erotycznej chłopca do dziewczyny. „Proszę księdza – pyta nieraz szczerzy chłopiec co to jest, że ilekroć spotykam się z moją sympatią, tracę język w gębie – czuję się onieśmielony. Czy to nie jest patologia?”. To nie patologia, lecz pierwszy znak budzącej się prawdziwej miłości – to szacunek, który stwarza potrzebny dla dojrzewającej miłości pewien dystans.

Kolejnym etapem dojrzewającej miłości i następnym jej komponentem jest życzliwość. Wyraża się ona autentycznym pragnieniem dobra dla istoty, w której odkryliśmy wartość. Formuluje się ona słowami: „Chcę dla ciebie dobra, prawdziwego i długofalowego dobra i szczęścia. Zapominam o sobie, a pragnę, aby dla ciebie było dobrze”. (W stosunku do Boga: „Abyś Ty był czczony i kochany”). Życzliwość jest przełomowym etapem rosnącej miłości; tutaj człowiek wychodzi ze skorupy swego egoizmu ku drugiej istocie. Jest to więc przejście od postawy egocentrycznej ku altruistycznej. Biorca przekształca się w dawcę.

Tutaj – może szokująca – zwłaszcza dla dziewcząt, uwaga. Na ogół sądzi się, że chłopak, który mówi swej sympatii: „bez ciebie żyć nie mogę”, znajduje się na szczycie miłości; a tymczasem nieco głębsza analiza takich wyrażen – jeżeli w ogóle w takich sytuacjach można wierzyć słowom – odkrywa po prostu egoizm wypowiadającego je. On wyraża pragnienie dobra i szczęścia dla siebie. W autentycznej miłości on powinien zapytać najpierw, czy ona będzie z nim szczęśliwa, czy jej będzie z nim dobrze. Niestety, takie pytania są rzadkie, a powinny przecież stawać się powszechne.

Z postawą życzliwości łączą się nierozzerwalnie dwa następne komponenty miłości: troska i odpowiedzialność. Troska zmierza do ochrony i zabezpieczenia dobra w istocie cenionej. Oczywiście, jak wszystkie inne postawy i akty – może mieć różne stopnie i wymiary: od płytkiej i krótkofalowej, nastawionej na dziś, aż do głębinowej, dalekosiężnej, aż na wieczność.

Odpowiedzialność przypomina, że za swoje czyny będziemy odpowiadali przed „nieznanym trybunałem”; dla chrześcijan ten trybunał jest znany. A więc nie mogę podejmować czynów nierozważnych, ryzykownych, a tym bardziej – złych. Muszę mieć w sobie troskę o dobro każdego człowieka, który po Bogu jest najwyższą wartością, a zwłaszcza tego, który mi zaufał, kto na mnie liczył. Odpowiedzialność broni przed lekkomyślnymi emocjonalnymi propozycjami i ustępstwami, zwłaszcza na płaszczyźnie miłości erotycznej.

Szczytowym elementem i współczynnikiem fundamentalnej miłości jest gotowość do poświęcenia i ofiary dla odkrytej i spostrzeżonej wartości – przede wszystkim osobowej. E. Fromm nie będąc chrześcijaninem, nie zna (czy nie używa) pojęcia „ofiary” i zastępuje to słowo wyrazem dawanie. Katoliccy pisarze i duszpasterze coraz częściej przyjmują to słowo za prawie

synonim ofiary i coraz częściej nim się posługują (np. M. Quoist, *Modlitwa i czyn*). I właśnie E. Fromm podkreśla, że dawanie czegoś wartościowego z siebie, aż w końcu całego siebie jest szczytem prawdziwej miłości. Choć agnostyk, nie waha się wyrazić pełnej swej czci dla słów Chrystusa z Ewangelii św. Jana (15, 13): „Nikt nie ma większej miłości nad tę, jeżeli ktoś życie swe oddaje za przyjaciół swoich”.

I Jezus taką ofiarę podjął, czyli oddał całego siebie za grzesznych ludzi; tym samym objawił, że umiłował ich miłością najwyższą i największą: „do końca ich umiłował” (J 13, 1).

Wprowadzając słowo „dawanie”, Fromm przestrzega, że słowo to użyte bez komentarza, może wywołać u ludzi niskiej kultury moralnej duże nieporozumienia. Trzeba więc zaznaczyć, że nie chodzi tutaj o oddawanie się cielesne, które w zakres prawdziwej miłości wchodzi jedynie w prawowitym małżeństwie. Ale i tu ciało nie jest tym największym, co może sobie dać dwoje kochających ludzi. Co więcej może dawać człowiek drugiemu człowiekowi? Wierną obecność, zrozumienie, wszystko, co w nim żywe, wartościowe, aż do poświęcenia zdrowia, kariery, życia – wszystko do granic grzechu!

I tak pojęte „dawanie” jest sprawdzianem autentycznej miłości. Tyle kochasz, ile gotów jesteś ofiarować, poświęcić, oddać drugiej osobie – Bogu lub człowiekowi. Tak pojęte „dawanie” tak dalece wyraża prawdziwą miłość, że można je przyjąć za jej synonim: „miłość – to dawanie”. Takie dawanie syntetyzuje wszystkie wymienione komponenty miłości: i szacunek, i życzliwość, i troskę, i odpowiedzialność.

Oto obraz fundamentalnej miłości, z której wyrastają różne jej postacie. Będzie o nich mowa w następnych rozdziałach. Oto jest obraz miłości, której od nas żąda Ewangelia. Wszakże biorąc go za podsta-



wę dalszych refleksji i traktując jako elementarną mapę naszej orientacji psychologiczno-etycznej, pamiętajmy, że te komponenty, elementy i procesy – to obraz bardzo uproszczony. Nie da się bowiem miłości nie tylko zdefiniować, lecz dokładnie opisać; jest to bowiem wartość i postawa bardzo dynamiczna – wciąż falująca; komponenty i elementy z sobą się łączą, przenikają siebie, przybierają różne nasilenia i stopnie od minimum do maksimum, do którego wzywa Chrystus w Ewangelii: „Bądźcie doskonali, jak Ojciec wasz doskonały jest...” I dlatego miłość to rzeczywistość tak niezmiernie bogata.

## HYMN O MIŁOŚCI

*Gdybym mówił językami ludzi i aniołów,  
a miłości bym nie miał,  
stałbym się jak miedź brzęcząca  
albo cymbał brząający.*

*Gdybym też miał dar prorokowania  
i znał wszystkie tajemnice,  
i posiadał wszelką wiedzę,  
i wszelką (możliwą) wiarę, tak iżbym góry przenosił,  
a miłości bym nie miał,  
byłbym niczym.*

*I gdybym rozdał na jałmużnę całą majątność moją,  
a ciało wystawił na spalenie,  
lecz miłości bym nic miał,  
nic bym nie zyskał.*

*Miłość cierpliwa jest,  
łaskawa jest.*

*Miłość nie zazdrości,  
nie szuka poklasku,  
nie unosi się pychą;  
nie dopuszcza się bezwstydu,*

*nie szuka swego,  
nie unosi się gniewem,  
nie pamięta złego;  
nie cieszy się z niesprawiedliwości,  
lecz współweseli się z prawdą.  
Wszystko znosi,  
wszystkiemu wierzy,  
we wszystkim pokłada nadzieję,  
wszystko przetrzyma.  
Miłość nigdy nie ustaje,  
(nie jest) jak proroctwa, które się skończą,  
albo jak dar języków, który zniknie,  
lub jak wiedza, której zabraknie.  
Po części bowiem tylko poznajemy,  
I po części prorokujemy.  
Gdy zaś przyjdzie to, co jest doskonałe,  
zniknie to, co jest tylko częściowe.  
Gdy byłem dzieckiem,  
mówiłem jak dziecko,  
czułem jak dziecko,  
myślałem jak dziecko.  
Kiedy zaś stałem się mężem,  
wyzbyłem się tego, co dziecięce.  
Teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno;  
wtedy zaś (zobaczymy) twarzą w twarz.  
Teraz poznaję po części,  
wtedy zaś poznam tak, jak i zostałem poznany.  
Tak więc trwają wiara, nadzieja, miłość –  
te trzy:  
z nich zaś największa jest miłość.*

*św. Paweł, I List do Koryntian, rozdział 13*

## MIŁOŚĆ – AGAPE

Szczytową postać miłości do człowieka chrześcijanie nazywali z grecka „agape”. Rozumieli przez to słowo miłość ewangeliczną, motywowaną i czerpaną wprost od Jezusa. Jest to więc miłość fundamentalna, nasycona łaską nadprzyrodzoną. Oczywiście znana jest i dziś. Warto przytoczyć słowa Martina Luthe-  
ra Kinga, tragicznie zmarłego bojownika o prawa Murzynów w USA:

„Miłość, nawet do nieprzyjaciół, jest kluczem najistotniejszych problemów, przed którymi stoimy w świecie współczesnym. Dzisiaj widać to szczególnie wyraźnie, bo w skali świata jedyny wybór, jaki nam pozostał, to samozagłada lub właśnie przemiana umysłu wyrzeczenie się agresywności.

Mówiąc o miłości, nie mam tu na myśli jakiegoś gorącego uczucia lub afektacji. Byłoby nonsensem nakłaniać ludzi, aby miłowali swoich ciemiężców w emocjonalnym znaczeniu tego słowa. Miłość oznacza w danym kontekście zrozumienie i dobrą wolę... Chodzi o taką miłość, do jakiej odnosi się greckie słowo „agape”. Agape to zrozumienie, to przejawianie dobrej woli wobec wszystkich ludzi...

Agape nie jest miłością słabą, bierną. Jest miłością czynną, zmierzającą do zachowania i pogłębienia

ludzkiej wspólnoty. Podkreśla w s p ó l n o t ę , nawet jeśli inni próbują ją zniweczyć. Agape jest gotowością do poświęceń w imię ludzkiej wspólnoty – wie; że żaden trud nie jest zbyt wielki dla przywrócenia wspólnoty. Nie zatrzymuje się na pierwszej mili, chętnie przemierza drugą. Jest gotowością do przebaczenia...

Agape – jest miłością bezinteresowną, miłością, która nie pragnie własnego dobra, lecz dobra bliźniego. Agape nie zna podziału ludzi na wartościowych i niewartościowych – na sympatycznych i niesympatycznych, ani nie bierze się z uznania dla jakichś wyróżniających się cech ludzkich.

Jest to miłość innych ze względu na nich samych, po prostu ze względu na to, że są naszymi bliźniami, miłość upatrująca bliźniego w każdym człowieku.

Pod tym względem agape nie zna różnicy między przyjacielem i wrogiem, skierowana jest na obu.

Jeżeli kogoś kochamy za jego przyjazny stosunek, do nas, to kochamy go bardziej ze względu na korzyści, jakie możemy odnieść z tej przyjaźni, niż ze względu na niego samego.

Wynika stąd, że najlepszym sposobem wypróbowania naszej bezinteresowności jest miłość bliźniego, który jest naszym wrogiem, od którego nie możemy się spodziewać żadnego dobra, lecz tylko wrogości i prześladowania...”

## SYNTEZA POJĘCIA MIŁOŚCI

Zsyntetyzujemy główne cechy opisanej i przeanalizowanej prawdziwej i fundamentalnej miłości:

1. Prawdziwa i fundamentalna miłość nie tyle jest uczuciem, co postawą, „cechą charakteru”, opierającą się przede wszystkim na rozumie i woli.

2. Miłość prawdziwa jest postawą bezinteresowną. Gdy ktoś pyta, czy istnieje miłość bezinteresowna, E. Fromm odpowie mu, że już samo takie pytanie jest nieporozumieniem, bo miłość prawdziwa z istoty swojej jest bezinteresowna.

3. Prawdziwa miłość jest trudna. Gotowi jesteśmy nawet zapytać, czy taka miłość w ogóle jest możliwa i czy istnieje wśród ludzi. Otóż na pewno jest możliwa i na pewno istnieje. Bóg bowiem rzeczy niemożliwych nie mógłby wymagać od ludzi, a stawiając wymagania trudne, śpieszy ze swoją pomocą, którą teologia nazywa łaską.

Ale miłość naprawdę jest trudna. Na drodze do jej urzeczywistnienia musi człowiek pokonywać wciąż odradzającą się siłę prymitywnego egoizmu, przybierającą także postać bezinteresowności. Nawet u świętych do postaw i aktów bezinteresownych wdzierały się i pobudki niższe. Ale oni urzeczywistniali najwyższy nakaz Ewangelii, prowadząc nieustanną walkę

z różnymi formami egoizmu i korzystając z pomocy Chrystusa w pokornej modlitwie i w zjednoczeniu się z Nim w Jego szczytowej Miłości – Ofierze.

I nas te odkrycia i twarde konstatacje nie powinny zniechęcać; lecz uprzytomniać nam, ile wciąż mamy w tej najdonioślejszej dziedzinie życia do przemyślenia i zrobienia...

Zauważmy, jak wiele psychologicznej i teologicznej prawdy zawiera się w tej piosence, którą często śpiewamy może bez głębszej refleksji:

*Warto dla jednej miłości żyć,  
choć szukać trzeba stale,  
może dla kogoś szczęściem być  
dobro nieść w życie dalej.*

*Miłość jedyna jest, miłość nie zna końca,  
miłość cierpliwa jest, zawsze ufająca,  
wszystko potrafi znieść, wszystko oddać może,  
życiu nadaje sens, nasze szczęście tworzy.*

*Warto całego siebie dać,  
jak bukiet polnych kwiatów,  
i chociaż potem trudno trwać,  
uśmiech darować światu.*

*Miłość jedyna jest...*

*Warto w nieznaną nawet iść,  
choć drogę mgła zasnuwa,  
idąc przez radość i przez krzyż,  
wiedzieć, że Pan Bóg czuwa.*

*Miłość jedyna jest...*

## MIŁOŚĆ – UCZUCIE

Analizując istotne komponenty – współczynniki autentycznej, fundamentalnej miłości podkreśliliśmy, że miłość nie redukuje się do uczucia. Miłość jest wartością i postawą o wiele głębszą, szerszą i bogatszą, aniżeli samo uczucie miłości. I co najważniejsze – wartością trwałą.

Ale jest i uczucie miłości, czyli miłość uczuciowa. Czym jest to uczucie miłości – na ogół powierzchownie dobrze znane z własnych doznań i doświadczeń?

Aby lepiej poznać jego głębsze wymiary, jego prawa i cechy, przyjrzyjmy się mu w kontekście innych uczuć ludzkich; jest ich bowiem bardzo wiele: i miłość, i nienawiść, i radość, i smutek, i odwaga, i lęk, i nadzieja, i rozpacz, i liczne pochodne. Dziedziną uczuć ludzkich zajmuje się dzisiaj już specjalna gałąź psychologii. Popularnonaukowe opracowanie tego tematu można znaleźć w książce S. Gerstmana pt. *Uczucie w naszym życiu* (WP, Warszawa 1973). I tam można się dowiedzieć, że nie ma ścisłej definicji uczuć; są one bowiem przeżyciami egzystencjalnymi jak i postawa miłości, związanymi organicznie z życiem całej psychiki człowieka. Są one rezonansem psychicznym na zewnętrzne i wewnętrzne bodźce psychiczne, ale wymiar ich jest głębszy i szerszy aniżeli wrażeń zmysłowych (np. ciepła, zimna czy bólu).

Psychologia rozróżnia uczucia umiarkowane i silne, intensywne. Te drugie noszą nazwę emocji, a jeszcze silniejsze nazywają się afektami. Uczucia bardzo silne i gwałtowne, związane z popędami, otrzymały nazwę namiętności.

Z punktu widzenia etycznego uczucia dzielimy na pozytywne, moralne – jak miłość, życzliwość czy odwaga – i negatywne, jak złość, gniew, nienawiść.

Wszystkie uczucia cechuje niestałość. Jest to główne prawo, któremu podlegają wszystkie postacie uczuć.

Wszystkie uczucia intensywne mają tendencję do opanowania wyższych władz psychicznych: rozumu i woli. Mogą zaćmić rozum i sparaliżować wolę, sprowadzając ją do roli służebnej. I wtedy narusza się, albo i wywraca, naturalny ład, porządek w człowieku; wtedy krzywi się osobowość ludzka; wtedy narusza się także i ład moralny. Człowiek opanowany przez namiętność może dopuścić się najgorszych czynów i zbrodni. Stwierdzając zaciemniającą i paraliżującą siłę namiętności, amerykański psycholog W. James napisał: „Gdzie namiętność siedzi na tronie, tam rozum stoi za drzwiami”, co znaczy, że z takim człowiekiem nie można już sensownie rozmawiać. Namiętność – to często obsesja.

W związku z niewątpliwą siłą uczuć, namiętności i popędów, niezależnie od ponurej teorii Z. Freuda, upowszechnił się pogląd, że człowiek nie jest w stanie panować nad swoimi uczuciami i całą strefą emocjonalno-popędową, że jest wobec nich bezradny. Otóż ten pogląd odrzucają i psychologia, i pedagogika, i etyka chrześcijańska jako nieprawdziwy i szkodliwy dla etycznego postępowania z sobą i innymi. Gdyby człowiek był po prostu wydany na działanie ślepych, fatalistycznych sił emocjonalnych, nie byłby – jako zniewolony odpowiedzialny za swoje czyny i postępowanie. Podważałoby to sens wychowania i samowychowania.



wania. Człowiek byłby marionetką, kierowaną siłami ślepych, a wszyscy bylibyśmy ujęci w kleszcze determinizmu.

Toteż i S. Gerstman w cytowanej książce w imię prawdy psychologicznej i godności człowieka bardzo ostro atakuje ten pesymistyczny freudowski pogląd. Píše on: „Ludzie różnią się od zwierząt m. in. i tym, że mogą kierować swoimi emocjami w bardzo szerokim zakresie... Obraz człowieka jako niewolnika instynktów i emocji powinien być wreszcie usunięty sprzed naszych oczu... Tym bardziej, że konsekwencje tego odbijają się postaci wypaczonego obrazu naszej osobowości” (s.76).

Jest prawdą, jak zauważyliśmy powyżej, iż uczucia, zwłaszcza w postaciach nasilonych, dążą do opanowania rozumu i woli, wszakże tym siłom człowiek jest w stanie skutecznie się przeciwstawić – szczególnie w fazie początkowej ich rozwoju – i podporządkować je rozumnej woli i nimi rozumnie kierować. I to jest jego pierwszorzędne zadanie jako człowieka. To jest nieodzowna pozycja do zdobycia w dążeniu do ukształtowania charakteru i osobowości. Jeżeli ktoś tego zadania nie wypełni, ponosi wielką odpowiedzialność za zmarnowaną szansę swojego głębszego ucłowieczenia.

Po scharakteryzowaniu uczuć w ogóle już stosunkowo łatwo będzie nam znaleźć miejsce i rolę uczucia miłości. Oczywiście, że w rzędzie uczuć pozytywnych miłość zajmuje miejsce naczelne. Jest to uczucie najszlachetniejsze, przynoszące najwięcej radości, obiecujące i zapewniające wiele szczęśliwych dni życia oraz pełnię szczęścia w wieczności. Jest ono rezonansem psychicznym na wartości zmysłowe, jak piękno kształtu, barw, głosu, ale też i na piękno moralne, jak życzliwość, dobroć, piękno charakteru, kultura ducha. Toteż uczucie miłości było i jest opiewane przez pisarzy, poetów, muzyków, pieśniarzy i piosenkarzy; było

i jest przedmiotem pragnień niezliczonych młodych, a właściwie wszystkich ludzi. Ale i w poezji, i w muzyce pojawia się zawsze nuta żalu z powodu przemijalności tych uszczęśliwiających przeżyć.

I w rzeczy samej – uczucie miłości – jak i inne uczucia nie jest trwałe, jeżeli nie wtopiło się w trwałą postać miłości fundamentalnej i w takiej postaci miłości jak przyjaźń, przywiązanie, miłość małżeńska i rodzicielska. Podlega ono bowiem wszystkim prawom, którym podlegają uczucia, a więc i prawu niestałości, niestabilności. Nie podtrzymywane przez miłość fundamentalną zmierza ku linii „zero”, ku obojętności, a nawet do niechęci i nienawiści (resentyment!). I tu znajdujemy się na obszarze, gdzie mają miejsce zawody, rozczarowania, dramaty i melancholijne westchnienia: „A więc to tak z tą obiecującą miłością... A więc skończyły się marzenia... Czy naprawdę istnieje miłość?” ...

Najwięcej tych rozczarowań niesie z sobą nieopłębione uczucie miłości między mężczyzną i kobietą – miłość i namiętność erotyczna. W tej różowej („różowe okulary”), a czasami i czerwonej mgle ludzie widzą siebie z reguły w barwach nieprawdziwych, w barwach iluzji, a gdy mgła opadnie i rozpoznają prawdę o sobie, budzą się gorzkie rozczarowania i pretensje, przechodzące nierzadko w niechęć i nienawiść.

Toteż, wbrew popołitym poglądom, związki małżeńskie budowane tylko na uczuciu, choćbyśmy dodali do niego nieokreślony bliżej przymiotnik „dojrzałe”, są z punktu wyjścia słabe i ryzykowne. Dr J. Massalska, dobra znawczyni tej dziedziny życia, stawia nawet paradoksalną tezę, że uczucia w wyborze i doborze małżeństw więcej przynoszą szkód, aniżeli dobra – zwłaszcza jeżeli są nasycone pożądaniem seksualnym. Szerzej o tym w innym rozdziale naszych rozważań.

Uczucia budzą się spontanicznie, choć mogą być kierowane przez rozum – i dążą spontanicznie do osłabienia i zaniku. Toteż Jezus w największych przykazaniach nie wymaga uczucia miłości, boby żądał rzeczy niemożliwej, wymaga zaś miłości fundamentalnej, opartej na rozumie i woli, o czym była mowa w drugim rozdziale naszych rozważań.

Tak samo i Kościół, sprawując Sakrament Małżeństwa, nie wymaga od kandydatów przysięgi na zachowanie miłości uczuciowej, lecz żąda przysięgi na zachowanie miłości fundamentalnej i specyficznie małżeńskiej, o której jeszcze będzie mowa przy omawianiu encykliki *Humanae vitae*. C. S. Lewis w książce *Cztery miłości* pisze, iż „żądanie od nupturientów trwałej miłości uczuciowej równałoby się żądaniu, aby małżonkowie nigdy nie chorowali na katar”. Jest to porównanie zbyt skrajne, ale przybliża nas do prawdy, którą w popularnych poglądach tak szkodliwie się wypacza.

Ukazując w imię prawdy cechy uczuć i rozprasza-  
jąc w imię prawdy szkodliwe poglądy i iluzje, nie mamy zamiaru tych przeżyć, a zwłaszcza uczucia miłości deprecjonować. Przeciwnie: należałoby apelować do wszystkich ludzi, a szczególnie do młodzieży, by okazała większe zainteresowanie tym cennym dynamizmem, jaki kryje się w emocjonalności człowieka. Powinniśmy się uczyć, jak uczucia pozytywne (miłość, życzliwość) budzić i rozwijać, a jak uczucia negatywne hamować i wygaszać – jak nad nimi panować. Oczywiście, że najwięcej uwagi i troski należy okazywać najszlachetniejszemu uczuciu. Trzeba je troskliwie rozniecać, rozwijać, ubogacać i utrwalać, bo ono stanowi źródło szczęśliwych dni życia. Ono, kierowane rozumną wolą, będzie stanowić siłę wpierającą, prowadzącą aż do szczytów heroizmu. Ale nie opanowane – może stać się źródłem tragedii – nieszczęścia.

Nasuwa się tutaj pytanie: Jak to czynić w praktyce? Warto się nad tym zastanowić, pomyśleć i w dyskusjach podzielić się odpowiedziami z innymi. Może to być ciekawy i pożyteczny temat do rozmów i dyskusji. Tutaj podkreślamy tylko, że takie uczucie miłości, jak miłość fundamentalna, rodzi się spontanicznie na obszarze wartości i tymi wartościami w dalszym ciągu się odżywia. A więc chcąc budzić i rozwijać miłość, należy odkrywać wartości w Bogu, w ludziach i w świecie; należy uwrażliwiać siebie na spostrzeganie wartości i moralnych, duchowych i zmysłowych (dobro, piękno). Miłość odżywia się nawet drobnymi okruszynami takich wartości jak aproba, pochwała, dobre słowo, uśmiech itp. Apele zaś, pretensje i żale w rodzaju: „Kochaj mnie! Mówiłeś, że mnie kochasz. Zawiodłeś mnie...” itp. nic nie wskórają. Przeciwnie – mogą wywołać antypatię, niechęć, do ucieczki włącznie („odczep się”). Jedynie pomnażanie w sobie wartości dobra i piękna, postęp kulturowy i duchowy mogą prowadzić do celu – prawdziwego szczęścia.

Kościół – ucieleśnienie mądrej Bożej pedagogiki – od swoich początków budził i pielęgnował u swoich wyznawców uczucia miłości do Boga i Chrystusa. Organizował całe zespoły bodźców – także tych odbieranych poprzez zmysły ludzkie – w sztuce, w symbolach, w pięknych obrzędach, w muzyce, które przybliżały ludziom Niewidzialnego i Niepojętego Boga i budziły ku Niemu uczucia miłości, czci i uwielbienia.

Równocześnie jednak i Kościół, i wielcy naśladowcy Chrystusa święci, i pisarze chrześcijańscy przestrzegali i przestrzegają swoich współwyznawców, aby w życiu wewnętrznym nie przywiązywali zbyt wielkiej wagi do uczuć i nastrojów. Miłość bowiem do Boga bywa często pozbawiona żywych, nastrojowych uczuć. Bywa często sucha i twarda jak pustynia, ale przez

to nie tylko nie traci na wartości, lecz ją nawet pomnaża. Warto pogłębić te prawdy przez lekturę książki współczesnego pisarza, C. Caretto (*Listy z pustyni, Liczy się tylko miłość i inne*), M. Quoista: *Modlitwa i czyn*.

Bywa też tak i z miłością do ludzi; tak często niepokoi nas to, czy rzeczywiście kochamy. Masz wtedy sprawdzian: Zapytaj siebie, czy w człowieku widzisz wartość niezależną od jego cech dodatnich, czy jego wad; jeżeli mu okazujesz szacunek, jeżeli chcesz dla niego być dobry, jeżeli jesteś o niego zatroskany, jeżeli gotów jesteś coś mu dać, poświęcić i jeżeli ponadto dążysz do umocnienia i ubogacenia tych postaw, na pewno kochasz. A wtedy, zazwyczaj z tego nastawienia twej woli, budzi się z początku ciche, lecz ciepłe uczucie miłości do człowieka nawet niesympatycznego i niemilego. Z reguły to ciche uczucie towarzyszy naszej postawie i czynom, jak ledwie dosłyszalna melodia. Ale chociażbyś jej nie słyszał, bądź spokojny – jeżeli spełniasz tamte warunki, mimo braku gorących uczuć – kochasz... I nie bój się ryzyka. Taka miłość najrzadziej zawodzi... Natomiast słabe fundamenty ma miłość wyrażająca się patrzaniem na siebie. „Miłość to nie jest patrzeć na siebie, lecz patrzeć w jednym kierunku...” (A. de Saint-Exupery).



## EROS – MIŁOŚĆ EROTYCZNA

Starożytni Grecy mieli bujną wyobraźnię i wiele idei, zjawisk i poglądów przedstawiali w osobie różnych bożków i postaci mitycznych. Jednym z nich był Eros, który wyobrażał specyficzną postać miłości, a głównie miłość między mężczyzną i kobietą. Wylatywał on jako miły, uskrzydłony aniołek uzbrojony w łuk i kołczan i wypuszczał strzały do serc upatrzonych ofiar. Przez tę i bolesną, ale i rozkoszną ranę budził w nich od pierwszego wejrzenia najśłodsze uczucia. I od tego bożka miłość między mężczyzną i kobietą w strefie kultury zachodniej nazywa się miłością erotyczną albo wprost – erosem. Na określenie tego przeżycia pasowałaby polska nazwa „zakochanie”.

Ale i erosowi – zakochaniu – o tyle przysługuje nazwa miłości, o ile u podstaw swoich ma współczynniki i komponenty miłości fundamentalnej, wymienione przez E. Fromma: o ile respektuje wartość człowieka w ogóle, o ile ma dla niego szacunek, okazuje życzliwość, wyraża troskę i gotowość do poświęceń. Wszakże miłość erotyczna ma swoje cechy specyficzne. Jakież?

Po pierwsze, jest to miłość wyłączna. Łączy tylko dwie osoby, a wyklucza inne. Wtedy, gdy miłość fundamentalna dąży do objęcia największej liczby osób, a na-

wet wszystkich ludzi, to miłość erotyczna usuwa już osobę trzecią. Jest to więc postać miłości zawężonej.

Po drugie jest to miłość uczuciowa, a więc podlega prawom i nosi cechy uczuć; jest niespokojna, falująca i zmienna. Przynosi fale uszcześliwienia, może fascynować, ale łatwo przeradza się w trudną do opanowania namiętność. A nie opanowana przez rozum i wolę może stać się groźną siłą niszczącą osobowość moralną – swoją i innych, bo namiętność staje się nieodpowiedzialna. Miłość erotyczna przybiera wtedy postać bóstwa, przed którym wszystko i wszyscy muszą ustąpić, któremu wszystko należy złożyć w ofierze, którego nie obowiązują żadne prawa moralne. Często depcze wszystkie związki – małżeńskie, rodzinne, a także i religijne – z Bogiem i Kościołem. Wtedy można powtórzyć uwagę W. Jamesa: „Gdzie namiętność siedzi na tronie, tam rozum stoi za drzwiami”. Ale też można oddać ją pod ostrzejszy osąd C. S. Lewisa, autora książki *Cztery miłości*: „Gdy miłość staje się bogiem, staje się demonem”, a więc – siłą destrukcyjną, depczącą wszystko, co dobre i moralne – siłą unieszczęśliwiająca każdego, kto jej się poddał. Doskonałą ilustracją demonizmu nieokielzanego erosa jest powieść L. Tołstoja – *Anna Karenina*. Bohaterka tej książki, czyniąc erosa swoim bogiem, unieszczęśliwia siebie, swego męża i dziecko. Spotykamy takie dramaty i w naszej codziennej rzeczywistości.

Oczywiście, gdy przytaczamy takie surowe sądy o miłości erotycznej, mamy na uwadze eros nieopanowany, który wyrwał się spod władzy i kontroli rozumu i woli człowieka. Natomiast eros poddany władzom wyższym oraz prawom moralnym jest wartością i spełnia rolę doniosłą jako preludeum do ustanowionego przez Boga związku małżeńskiego. Spotykamy się nieraz ze zdaniem, jakoby eros był siłą



fatalistyczną, której człowiek nie może się oprzeć i nie może nią pokierować. Otóż wtedy przypomnijmy nasze rozważanie o uczuciach w ogóle i o zdolności, więcej: o obowiązku człowieka panowania nad sferą emocjonalno – popędową. A skoro eros należy do rzędu uczuć, może być i powinien być opanowany przez wyższe władze psychiczne, co nie jest żadnym bohaterским wyczynem, zwłaszcza w początkowym stadium miłości erotycznej.

Głównym zadaniem erosa jest doprowadzenie mężczyzny i kobiety do trwałego związku małżeńskiego. On pociąga, ułatwia i umila tę skądiną trudną drogę. Gdy swoje zadanie wypełni, w wyobraźni Greków, zwija swoje skrzydełka i szelmowsko się uśmiechając, szuka dalszych ofiar, pozostawiając skojarzoną parę innym bóstwom pod opieką, bo dalsza droga małżonków już nie będzie tak czarująca i romantyczna. A jeżeli naiwni wierzyli, że tak będzie zawsze, to się mylili – i stąd uśmiech Erosa.

To wyobrażenie Greków ilustruje głęboką prawdę psychologiczną, że miłość uczuciowo-erotyczna dość szybko schodzi z wyżyn uniesień. To jest prawo uczuć. Ten proces w różnym nasileniu występuje prawie we wszystkich małżeństwach. U ludzi nie znających praw psychologii uczuć budzi się wtedy niepokój: „Czy nasza miłość nie była iluzją? Czy coś się radykalnie nie popsuło? Czy nie koniec wszystkiego?...”. A u małżeństw, które skojarzyły się na zasadzie pożądania, uczucia i erosa bez współczynników miłości fundamentalnej, powstają groźne kryzysy. C. S. Lewis w cytowanej książce *Cztery miłości*, po opisaniu niektórych wzniosłych przymiotów erosa, dodaje z melancholią, że „jest to najbardziej śmiertelna postać miłości”. I wtedy jasne, że związek małżeński budowany tylko na erosie to – na płaszczyźnie psychologicznej – dom budowany na piasku...

I przede wszystkim tutaj znajdujemy się na obszarze licznych rozczarowań, zawodów, dramatów, tragedii i ludzkich wraków, wyrzuconych na martwą plażę. I tutaj rodzą się pesymistyczne pytania, czy w ogóle istnieje prawdziwa miłość? Trzeba wszystkim mówić: Istnieje – tylko na wyższym poziomie...

Z erosem łączy się najczęściej siła biologiczno – psychiczna, którą nazywamy popędem rodzajowym, seksualnym albo po prostu seksem.

Rodzi się tutaj pytanie wstępne: Co należy rozumieć przez słowo popęd? Nie ma między psychologami zgodności w pojmowaniu popędów. W uproszczeniu można powiedzieć, że popędy to są głębinowe, pierwotne dynamizmy – siły wspólne ludziom i zwierzętom; popędzają one organizmy, w których tkwią, do wypełnienia podstawowych celów życia – zachowania jednostki i gatunku. Instynkty zaś prowadzą stworzenia często zdumiewająco nieomylnymi drogami do realizacji tych celów. A więc popęd jest jakby odpowiednikiem woli, a instynkt odpowiednikiem rozumu na niższym poziomie życia. Uczucia erotyczne dość łatwo łączą się z tą „niższą” sferą, ze światem tej „kółłowni” napędowej i dlatego na określenie tego świata używa się w psychologii słów: „sfera emocjonalno-popędowa”.

Seks należy do najsilniejszych popędów natury ludzkiej. Za Z. Freudem przyjmowano dość powszechnie pogląd, że seks jest najsilniejszym w ogóle popędem w człowieku, ale już jego uczniowie skorygowali swego mistrza i wykazali, że najsilniejszym popędem natury ludzkiej jest dążenie do znaczenia. W każdym razie jednak popęd płciowy to dynamizm silny i niełatwy do opanowania. Nie opanowany staje się ślepą, brutalną siłą. Seks sam w sobie i jego dążenie – pożądanie nie stanowią żadnej postaci miłości i nadawanie im tej nazwy jest grubym nieporozumieniem. Ale

seks opanowany i poddany kierownictwu rozumu i woli oraz prawom etyki jest wartością wysokiej rangi – jest dobrem, jak wszystko, co Bóg zechciał wywołać z otchłani nieistnienia. Popęd seksualny według myśli Bożej służy wielkim celom: zachowaniu gatunku i ubogaceniu miłości małżeńskiej, ale tym zagadnieniem zajmiemy się w następnych rozważaniach. Tutaj podkreślmy tylko jeszcze trzy prawdy i przestrogi, związane z seksem.

Po pierwsze, żeby popędu seksualnego, wyrażającego się pożądaniem, nie utożsamiać nawet z erosem. Ten popęd może się bowiem aktualizować bez żadnej miłości – nawet erotycznej. Dzieje się to nie tylko w środowiskach podkultury (gwałty, prostytutki, orgie), lecz nierzadko w małżeństwach o niskim poziomie kultury moralnej.

Po drugie, pożądanie seksualne bez fundamentów miłości stanowi najbardziej zawodną drogę do zawierania związku małżeńskiego. Pożądanie bez fundamentalnych czynników miłości szybciej umiera niż eros – otwiera się czeluść obcości, niechęci, a nawet nienawiści.

I trzecia prawda, że popęd i pożądanie niekoniecznie budzą się po strzale erosa. Często się zdarza, że delikatny, uduchowiony przez głębinową miłość Boga i człowieka eros wycisza pożądliwość zmysłową. Zwłaszcza chłopcy nieraz zwierają się swemu duszpasterzowi, że od czasu zakochania się w ceniącej czystość i stroniącej od wszelkiej prowokacji dziewczynie, nie mają już wielkich trudności z opanowaniem popędu, bo dzięki niej nie tyle rozumieją, co czują wartość czystości przedmałżeńskiej. To zjawisko stwierdzają również odpowiedzialni wychowawcy i psychologowie jako pewną prawidłowość.

Niefatwą jest jednak rzeczą w pospolitych postawach i odczuciach odróżnić eros – miłość erotyczną od

seksualnego pożądania. Gdy kiedyś jeden ze studentów zapytał o tę trudność dr W. Póltawska, lekarkę o wysokiej kompetencji w tej dziedzinie, ona odpowiedziała krótko, chociaż nieco drastycznie: „Pożądanie śpieszy do łóżka, a miłość umie, a nawet lubi czekać”. Oczywiście, że nie jest to kryterium jedyne, ale i ono może posłużyć do odróżnienia szkiełka od diamentu.

Z tych rozważań – głównie psychologicznych – wyłania się doniosłe, życiowe pytanie: Co mają czynić chrześcijańscy małżonkowie, którzy zgodnie z nauką Chrystusa i Kościoła nie dopuszczają myśli o rozwodzie, a stwierdzają, że ich małżeństwo na płaszczyźnie psychologicznej było pomyłką – zostało zbudowane na piasku, a może i na lodzie – to znaczy na uczuciu, pożądaniu i erosie na bardzo nietrwałych elementach? Na to pytanie będziemy szukali odpowiedzi w rozważaniach następnych. Wszakże już teraz można powiedzieć, że religijni ludzie mogą zawsze znaleźć wyjście – to, które wiedzie ku górze. Mogą tworzyć najgłębsze więzi w miłości ogólnoludzkiej. Mogą rozwijać i ubogacać komponenty tej miłości. Mogą znajdować światło i siłę w Sakramencie Małżeństwa. Powinni w cierpliwości i spokoju znosić swoje deficyty miłości uczuciowej. A w takim klimacie rozwina się nowe, spokojne postacie miłości małżeńskiej, jak przyjaźń, przywiązanie, miłość rodzicielska, które więcej przynoszą trwałej radości i szczęścia, aniżeli płaskie pożądanie, czy niespokojny eros.

Kto jednak ma jeszcze małżeństwo przed sobą, musi bacznie czuwać, aby nie zawierzyć tylko uczuciu, erosowi, a zwłaszcza pożądaniu seksualnemu. Małżeństwo musi być budowane przede wszystkim na spokojnej, trwałej miłości fundamentalnej. Eros i pożądanie seksualne mają być czynnikami towarzyszącymi. Natomiast każdej drodze do małżeństwa kierunek musi nadawać rozum – rozsądek...

I właśnie na zachowanie i ubogacenie takiej miłości składają ludzie przysięgę przy ołtarzu: „I ślubuję ci miłość ... oraz to, że cię nie opuszczę aż do śmierci”... Oto jest dom budowany „na skale” i „most wpięty trwale w niebo” – jak pisze współczesny poeta rosyjski E. Jewtuszenko:

## NA MOŚCIE

*Na moście nad Sekwaną szklaną  
Chłopiec z dziewczyną  
– nikt poza tym –  
sami  
nad blaskiem lamp i planet,  
ponad szaleńczym zgiełkiem świata.  
Gdzieś tam upadły właśnie rządy,  
gdzie indziej  
– ktoś przemawia górnie –  
lecz ich to  
– tutaj –  
nie obchodzi,  
tak jak Sekwany wody chmurne.  
Stoją bez pieszczot  
i bez słowa,  
płaszczem okryli się przed deszczem,  
jakby ktoś w celofanie schował  
dar ziemi,  
ziemi dni jutrzejszych.  
Daj, Boże, nam  
nie skarby, domy,  
i nie gniazdeczka mdłej czułości,  
lecz pozwól  
– w każdej świata stronie –  
stać –  
dwojgu –*

*na wysokim moście:  
Na moście wpiętym trwale w niebo,  
na moście  
świętych praw i zasad,  
na moście, co nad czas się sklepia,  
i nad podstępem,  
fałszem, zdradą.*

Przełożył: *Krzysztof A. Węgierski*

## GENEZA I „SZTUKA” MIŁOŚCI

Już powinniśmy wiedzieć z naszych poprzednich rozważań, a przede wszystkim z własnych przemyśleń i doświadczeń, że istnieją więcej niż „cztery miłości” (tytuł książki S. C. Lewisa); że jest wiele postaci miłości do samego człowieka, jak miłość bliźniego (ogólnoludzka), miłość erotyczna, małżeńska czy rodzicielska; a przecież istnieje też miłość do Boga, do Ojczyzny, a nawet do przyrody, do gór, morza czy kwiatów...

Wiemy, że u podstaw tych wszystkich postaci – jeżeli one mają być autentyczną miłością – musi się znajdować miłość fundamentalna z komponentami i cechami, opisanymi przez E. Fromma (widzenie wartości, szacunek, życzliwość, troska, odpowiedzialność, poświęcenie – oddanie).

Z kolei myślący człowiek stawia sobie pytanie: Jaka jest geneza miłości – skąd miłość pochodzi? A za tym – i drugie pytanie: Jak miłość rozwijać i ubogacać – jak jej się uczyć?

E. Fromm we wstępie do książki *O sztuce miłości* usiłuje jej obecność w człowieku wyjaśnić w sposób naturalny, odwołując się do procesów psychicznych. Wyraża pogląd, że człowiek z chwilą uzyskania na drodze ewolucji świadomości – oderwał się od przyrody nieświadomej i nierozumnej, z którą był bez reszty ze-

spolony i poczuł się dramatycznie osamotniony. W poszukiwaniu dróg przezwyciężenia tej samotności „znalazł miłość”, która jednoczy go z drugim człowiekiem, nie zabierając mu świadomości i nie naruszając jego indywidualności i osobowości. Otóż od strony zjawiskowej – to prawda, że miłość jest tą więzią, która uwalnia człowieka od samotności, a zarazem zachowuje, a nawet ubogaca jego indywidualność i osobowość.

Ale jakim sposobem ta cudowna wartość znalazła się na ziemi? Jak mogła wyłonić się z żaru i chłodu kosmosu? Oczywiście, przed tym pytaniem jawią się wcześniejsze pytania: Skąd się wzięła materia? Kto jej nadał taką dynamikę rozwojową, ewolucyjną? Skąd tyle piękna i mądrości, zakłętej w ogromie kosmosu, w drobnie atomu czy komórce organicznej? Na te pytania nie odpowiada żadna teoria rewolucji, która jest jeszcze jednym znakiem zapytania. I tak pytania płyną jak rzeki, a sama nauka nie daje na nie odpowiedzi.

Błażej Pascal, genialny fizyk i matematyk z XVII w. ukazał jakby w świetle błyskawicy wielkość miłości w jednym zdaniu swego testamentu: „Myśl ludzka – napisał – jest ważniejsza niż cały materialny wszechświat, a jedno drgnienie miłości jest ważniejsze niż wszystkie myśli ludzkie”. Znowu pytamy: Czyż to radosne drgnienie, ta żywa iskra miłości mogła się zrodzić w odmętach nierozumnej i nieświadomej materii? Czyż to „drgnienie” tylko jakimś przypadkiem mogło się przekształcić w potężną i uszczęśliwiającą siłę, która zespała dwoje ludzi, ludzkie rodziny, która prowadziła i prowadzi do heroicznych poświęceń, do oddania za innych życia, jak to uczynił np. św. Maksymilian Kolbe?

Nie! – to nie w materii i nie w przypadku tkwi jej źródło. Ona musiała wyjść z ogniska żywej, odwiecznej Miłości. Objawienie Chrystusa uczy, że Samoistny, Przedwieczny Bóg nie tylko „posiada” miłość, lecz



jest samą Miłością. I cokolwiek Bóg czyni, to czyni nie tylko z miłości, ale jako sama Miłość. I wtedy jasne się staje, że to On zaszczerpił w serce ludzkie płomyk boskiej miłości. A więc jak cały wszechświat, jak ziemia, jak człowiek, tak i miłość w człowieku pochodzi od Boga.

Równocześnie z zasianiem ziaren miłości Stwórca daje człowiekowi impuls i polecenie, aby strzegł tego ziarna jak źrenicy oka. W swoim największym przykazaniu nakazał człowiekowi: „Będziesz miłował!...”

Jak to czynić? W pierwszej odpowiedzi na to pytanie pomocne nam będzie przypomnienie, że rozwój miłości zaczyna się od spostrzeżenia, poznania i uznania wartości. Początek miłości jest jakby spontanicznym rezonansem na spostrzeżoną wartość. A im bardziej tę wartość odkrywamy i poznajemy, tym bogatszy staje się rezonans.

Jeśli więc chcesz kochać Boga, poznawaj Go coraz głębiej. Poznawaj Jego Wielkość, Nieskończoność, Doskonałość, Dobroć i Miłość. Nigdy GO nie poznasz do końca; On zawsze musi pozostać tajemnicą: „Bóg, którego bym pojął, przestałby być Bogiem”. Wszakże refleksją teologiczną mogę przenikać w głąb Jego tajemniczego Jestestwa i fascynować się Jego przymiotami. Poznawaj Chrystusa, Jego Dobrą Nowinę i Łaskę dla człowieka – a wtedy twoja dusza zacznie ulegać, oddawać się Bogu, czyli wchodzić na szczyty miłości fundamentalnej. Wtedy do twej miłości niepostrzeżenie włączy się i miłość uczuciowa i może stać się wiernym towarzyszem twej drogi na szczyty fascynacji Bogiem, co ma miejsce z wirtuozami miłości – ze świętymi.

Analogicznie przedstawia się sprawa z miłością do człowieka. Człowiek jako istota stworzona na obraz i podobieństwo Boga, jako istota odkupiona Krwią Chrystusa i przez Niego kochana, stanowi wartość po

Bogu najwyższą – niezależnie od swoich zalet, wad, a nawet zatarcia obrazu Bożego w sercu. Otóż odkrywanie tych i innych aspektów wartości człowieka – niekoniecznie będzie w nas wywoływało ciepłe uczucia do niego – ale będzie kształtowało postawę szacunku, troski i odpowiedzialności, choćby tym człowiekiem był mój niesympatyczny współlokator, czy nawet oszczerca, brutal, nieprzyjaciel.

W dalszej odpowiedzi na pytanie, jak rozwijać i ubogacać miłość, jak się uczyć miłości, sięgnijmy znów do wskazań E. Fromma. Już sam tytuł książki *O sztuce miłości* wyraża pogląd, że miłość jest „sztuką”, że miłości można i trzeba uczyć się jak każdej sztuki – czytania, pisania, muzyki czy malarstwa – przez ciągłe, systematyczne ćwiczenia, zaczynając od rzeczy i zadań łatwiejszych i dążąc do coraz trudniejszych i bogatszych.

Ale jakże ćwiczyć postawę woli czy uczucia? By odpowiedzieć na to pytanie, winniśmy przyjąć do wiadomości, że człowiek jest istotą psycho-fizyczną, że stanowi jedność duszy i ciała, i że między tymi komponentami istnieje zależność funkcjonalna: to znaczy, że dusza ożywia ciało i wpływa na jego procesy i funkcje, a ciało ma wpływ na procesy i funkcje duszy. Wszystkie stany i procesy psychiczno-duchowe, jak myślenie, decyzje woli, uczucia – wyrażają się jakimiś znakami cielesnymi (zmarszczenie czoła, uśmiech, podniesienie ręki itp.). A każdy gest, ruch cielesny (jak podanie ręki, zaciśnięcie pięści, otwarcie ramion czy podniesienie głowy) wywołuje właściwe rezonanse w psychice. Ma tutaj miejsce niejako „działanie sprzężone”.

Otóż miłość jako postawa wewnętrzna i duchowa wyraża się różnymi czynami, znakami zewnętrznymi; akceptacja i szacunek pozdrowieniem, podaniem ręki, pocałowaniem: troska – ofiarowaniem pomocy, podzieleniem się dobrami materialnymi, usługą, radą.

Cześć i miłość do Boga wyraża się również czynami zewnętrznymi – „zachowaniem przykazań”, modlitwą, klękaniem, zawieszaniem emblematów, udziałem we Mszy św., w Komunii św., spowiedzią, czynami charytatywnymi. Te i podobne czyny zewnętrzne wywołują odpowiednie reakcje w naszej woli i uczuciach – rozniecają i rozpalają iskry miłości wewnętrznej; taka praktyka ma wiele wspólnego z ratowaniem topielca: narzucone z zewnątrz ruchy oddychania rozbudzają wewnątrz niego iskrę życia. A im więcej takich czynów – ćwiczeń zewnętrznych, „narzuconych”, tym większy płomień wewnętrzny. A im mniej „praktyk”, tym mniej ciepła i żaru wewnętrznego. (Tutaj znajdujemy psychologiczną odpowiedź na pytanie, dlaczego tak szkodliwe dla życia religijnego, a więc i grzeszne jest zaniedbywanie praktyk religijnych, zwłaszcza niedzielnej Mszy św., dlaczego „wierzący, ale nie praktykujący” zmierzają wprost do osłabienia miłości i utraty wiary). Natomiast systematyczne spełnianie różnych tego rodzaju „czynów – ćwiczeń” zewnętrznych, od łatwych i prostych do coraz bogatszych i trudniejszych, prowadzi do wysokich osiągnięć w zakresie tej najcenniejszej sztuki, jaką jest miłość. Tę sztukę w największych i heroicznym wymiarach opanowali kanonizowani i nie kanonizowani święci. Tę sztukę nazywa się *experimentum fidei* (doświadczeniem wiary). Dynamizm wiary przejawia się w życiu uczynkami płynącymi z miłości.

Tutaj jest miejsce na ważne podkreślenie: Ludzie uczący się sztuki miłości nie powinni czekać na okazję do wielkich czy heroicznym czynów i nie powinni wybierać w tym celu miejsca, czasu i ludzi. Ta nauka – „ćwiczenie” powinna obejmować przede wszystkim mikroelementy szarego, codziennego życia w swoim własnym środowisku (przede wszystkim: rodzina, szkoła, uczelnia, miejsce pracy). To przecież codzien-

ność wypełnia głównie czas naszego życia, a głęboką myśl wyraża sformułowane przez Mickiewicza zdanie: „Trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę”.

Na drodze ubogacenia miłości do człowieka ważną rolę odgrywają przejawy i gesty codziennej kultury towarzyskiej, jak: pozdrowienie, dziękowanie, przebaczenie, przeproszenie, sprzątanie po sobie, spostrzeżenie sytuacji bliźniego, choćby małe usługi wyświadczane matce, koleżance, panowanie nad złym humorem, gniewem, zachowanie ciszy, wprowadzenie atmosfery pogody i radości. Wielki pedagog chrześcijański naszego wieku, W. Foerster napisał w jednym ze swych licznych dzieł, że nauka miłości zaczyna się od pozostawienia po sobie czystej łazienki i ciwego zamykania drzwi ze względu na drugiego człowieka. W ogóle stosowanie na co dzień kodeksu *savoir vivre*, kultura w drobiazgach: („proszę, przeproszam, dziękuję”) nie może być pominięte w nauce miłości.

Na końcu tego rozważania winniśmy jeszcze uświadomić sobie, że dążenie do nauki i sztuki miłości nie jest sprawą dowolną, jak uprawianie innych sztuk czy jakiegoś hobby. Do sięgania po naukę i sztukę miłości jesteśmy wezwani i zobowiązani przez Boga i Chrystusa. Cała Ewangelia wyraża to pragnienie Jezusa i to „największe przykazanie”. Mówił On: „Ogień przyszedłem rzucić na ziemię i czegoż chcę, jeno aby zapłonął” (Łk 12, 49). Ale On nie tylko pragnie i wymaga miłości, lecz – co najważniejsze hojnie wspomaga każdego, kto ją w sobie rozwija.

Gdybyśmy byli pozostawieni własnym siłom, niedaleko byśmy zaszli na tej trudnej drodze, na której trzeba pokonać największego wroga miłości – egocentryzm i egoizm. Wielu ludzi, nie szukając tej pomocy, ulega zniechęceniu i rozczarowaniu: „To nie dla mnie... Owszem, heroizm miłości budzi we mnie podziw, ale

i lęk – gdzie mi tam z moimi słabościami... To przechodzi ludzkie możliwości...”

I rzeczywiście, bez szczególnego wsparcia Bożego, bez specjalnych łask droga do wirtuozostwa w tej sztuce byłaby nieosiągalna. Natomiast „wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia” (św. Paweł). A Jezus każdego wspiera i wzmacnia, kto cierpliwie uprawia tę „sztukę nad sztuki”. Udziela pomocy na każdej modlitwie, w każdym sakramencie, na każdej Mszy św., przy podejmowaniu każdego najmniejszego dobrego czynu. Odmawia jedynie pomocy tym, którzy o Jego dary nie proszą, ich nie cenią i z nich nie korzystają. Nad nimi zawisła Jego groźna przestroga: „Nie rzucać pereł przed wieprze...”

Wszyscy zaś cierpliwie pracujący, upadający, ale znów podnoszący się, mają Jego pomoc zapewnioną, bo „kochać – to znaczy powstawać”. Drogę do wirtuozostwa sztuki miłości mają otwartą ludzie dobrej woli.



## MIŁOŚĆ I SENS ŻYCIA

W dotychczasowych rozważaniach uświadomiliśmy sobie, że nauka i rozwijanie miłości nie może być tylko jakimś, naszym hobby, lecz jest powołaniem, powinnością i przykazaniem. W tym rozważaniu pójdziemy w głąb egzystencji człowieka i zapytamy, jakie miejsce zajmuje miłość w stosunku do sensu, celu i istotnego zadania życia.

To pytanie musi być jednak poprzedzone przypomnieniem, jaki sens i cel ma życie ludzkie, bo wielu nie zdaje sobie z tego sprawy, wielu o tym na co dzień zapomina, a tylko niewielu tym sensem i celem świadomie żyje.

W optyce ateistycznej ostatecznego sensu i celu istnienia ludzkiego dopatrzeć się nie można. Jeśli bowiem pierwotnym i samoistnym bytem jest nierozumna i ślepa materia, wtedy wszystko tonie w mroku irracjonalności, bezsensu. Jeśli nie ma życia pozagrobowego, to stoimy nad otchłanią absurdu. Wtedy i życie i śmierć stają się absurdem. Takie „wyznanie wiary” składają też odważni i konsekwentni ateści (np. J. P. Sartre).

Ludzie wierzący w Boga osobowego konsekwentnie winni wierzyć w SENS i NADSENS całej rzeczywistości – zwłaszcza chrześcijanie wierzący w Chry-

stusa powinni jasno widzieć najwyższy sens i zadanie życia oraz miejsce miłości w losie człowieka. Niestety, zbyt często tak nie jest. Nawet chrześcijanie gubią z oczu te światła – zwłaszcza w godzinach niepowodzeń, klęsk i cierpień – błakają się, popadają w rozpacz i wołają: „Po co żyję? Za co ta kara? Nie mam dla kogo żyć”. I jeżeli nie znajdują odpowiedzi, wchodzą często w mrok chorób psychicznych, a nawet podejmują zamachy na własne życie. Bo utrata sensu życia pociąga za sobą utratę samego życia.

Znany już nam wiedeński uczony, V. Frankl, stwierdził w swej długoletniej praktyce psychoterapeutycznej, że duża część jego pacjentów – to ludzie, którzy zagubili sens swego istnienia. Toteż zastosował wobec nich metodę leczenia, którą nazwał „logoterapia” (tutaj *logos* znaczy sens), czyli ukazywaniem, odbudowaniem sensu życia w świadomości pacjentów, co przywracało im zdrowie i radość.

Dlaczego chrześcijanie, „synowie światłości”, gubią to światło sprzed oczu? Dlaczego nie żyją w tym świecie na co dzień? Z pewnością jest to skutek słabej wiary w Boga osobowego, a w szczególności braku konsekwencji i prostego wnioskowania. A przecież wnioski z wiary w Boga – Nadsens całej rzeczywistości narzucają się same: Jeżeli pierwotną Siłą, jeżeli Stworzycielem nieba i ziemi, i człowieka jest osobowy, nieskończenie rozumny Bóg, to nie mógł On kształtować na obraz i podobieństwo swoje istoty rozumnej wyłącznie z tak nietrwałego materiału jak glina, jak materia. Bóg – Istota absolutnie inteligentna – nie mógłby stwarzać istoty absurdalnej. Wiara w Boga osobowego po prostu woła o nieśmiertelność człowieka. Toteż nieśmiertelna jest ludzka dusza.

O życie pozagrobowe, o nieśmiertelność woła wszczepione w człowieka, w jego sumienie poczucie sprawiedliwości, a o sprawiedliwość na ziemi trudno. Na-



wet szlachetni sędziowie często nie potrafią, mimo dobrej woli i dokładnych badań, dociec pełnej prawdy i wydać sprawiedliwego wyroku. A iluż na świecie sędziów nieuczciwych, stronnicych, sprzedajnych i zbrodniczych! Ileż na świecie nie osądzonych i nie ukaranych zbrodni, nawet masowych! Wszystkim nam wiadomo, że ludzie bezczelni i okrutni często bezkarnie gnębią sprawiedliwych. Wszystkie ofiary niesprawiedliwości, brutalności i okrucieństwa od starożytnych satrapów i peronów, aż po naszych pol-potów i dyktatorów wołają jednogłośnie o sąd pozaziemski, choćby o „nieznany trybunał” i triumf sprawiedliwości.

Gdyby takiego trybunału nie było, wtedy Neron i jego ofiary, wtedy Stalin, Hitler i ojciec Kolbe, wtedy nosiciele nienawiści i nosiciele miłości byłiby zrównani ze sobą w ostatecznym rozrachunku. I wtedy znów stalibyśmy nad otchłanią absurdu. Toteż słusznie pisał J. J. Rousseau: „Gdybym nie miał innych dowodów na istnienie życia pozagrobowego, wystarczyłby mi ten jeden, że niesprawiedliwy człowiek depcze piersi sprawiedliwego”.

Wszakże dla nas chrześcijan główną i ostateczną rację wiary w życie wieczne stanowi autorytet Jezusa Chrystusa. Jeżeli mówisz: „Uwierzę, gdy ktoś przyjdzie z tamtego świata i zaświadczy o jego istnieniu”, to zapominasz, że tak właśnie uczynił Jezus Chrystus. On przyszedł „stamtąd” i jednoznacznym słowem oraz swymi czynami zaświadczył o istnieniu życia wiecznego. Nauczał o sędzi i sprawiedliwości ostatecznej, która będzie wypełniona nad każdym człowiekiem wedle jego uczynków, a przede wszystkim – uczynków miłości. Można by powiedzieć, że będzie to egzamin z czynnej miłości. „Łaknąłem, a nakarmiliście mnie; pragnąłem, a daliście mi pić... więźniem byłem, a przyszliście do mnie...” (Mt 25, 35). Krótko mówiąc, Jezus rozpościera przed nami metaforyczną, barwną, ale jednoznaczną

wizję Sądu Ostatecznego i życia wiecznego... Już teraz uprzedza nas, jak będą brzmieć pytania na tym egzaminie, który zadecyduje o naszej wieczności. Sprawadzają się one do jednego: Czy kochałeś Boga i ludzi?

W świetle tej prawdy nabiera sensu całe życie ludzkie, z jego pracą, twórczością, trudnościami i dramataми. Nabierają sensu nawet cierpienia, choroby i krzyże, które często ułatwiają jednoczenie się w miłości z Bogiem i pozwalają intensywniej realizować miłość do człowieka. I wtedy człowiek niesprawny, nieproduktywny, „ciężar społeczny”, może wypełniać swoje najwyższe zadanie, stać się niewymiernie pożytecznym członkiem Kościoła i wszelkich społeczności i zdać na celująco ostateczny egzamin ze swego życia, ze swego zadania, które sprowadza się do realizacji miłości.

W świetle prawdy o życiu wiecznym najogólniejszy zyciorys człowieka układa się harmonijnie w trzy okresy:

I okres – to życie w łonie matki. W chwili poczęcia Stwórcza wszczepia w embrión człowieka „maksimum” jego egzystencji tj. nieśmiertelną duszę – i ta jeszcze nierozwinięta istota staje się już człowiekiem – osobą i jest nieodwołalnie „skazana” na życie bez kresu. I wszystkie procesy życiowe tej istoty orientują się na przyszłość – na życie w następnym okresie. Teraz rozwijają się organy życia zmysłowego i narzędzia ducha: mózg, układ nerwowy, oczy, uszy, ręce, nogi. Te organy w łonie matki są jeszcze niepotrzebne, ale będą konieczne do życia w drugim okresie.

Bo oto, gdy po dziewięciu miesiącach przygotowanie zakończone, mały człowiek – można by powiedzieć – w bólu umiera dla I okresu, a rodzi się do nowego, II, bogatszego okresu życia.

W tym drugim okresie zachodzą przede wszystkim zmiany ilościowe, ale budzi się w nim nowe ży-

cie, życie psychiczne, duchowe. Pierwszy uśmiech dziecka zwiastuje przebudzenie się i przyjście do głosu ducha, który stopniowo opanowuje swoje ciało, jako organ – narzędzie swego wypowiedania się i komunikowania z otaczającym światem. Władze i funkcje ducha – rozum, wola i uczucie od przebłytku świadomości, od odruchów woli i uczuć rozwijają się stopniowo ku wielkiemu bogactwu i dojrzałości. W tym okresie pojawia się u człowieka nowe – jeszcze ciekawsze i głębsze zjawisko: życie nadprzyrodzone religijne – z wiarą, nadzieją i miłością do Boga. Najgłębszym fenomenem jest rozwijająca się przy prawidłowym wychowaniu miłość – do Boga i ludzi. Rozwijający się chrześcijanin włącza się przez sakramenty i łaskę uświęcającą w nowy organizm duchowy, jakby w łono nowej Matki, w Mistyczne Ciało Chrystusa. I tam znajduje najdoskonalsze warunki rozwoju życia nadprzyrodzonego. Powstaje „nowy” człowiek. A gdy dojrzeje i wypełni się czas przygotowania (z reguły kilkadziesiąt lat), jak przy pierwszym przejściu – w bólu wyrwa się z łona – ciała – przyrody, umierając dla II okresu, a rodząc się do III i ostatecznego okresu swego życia, do życia bez kresu w wiekuistej rzeczywistości.

I te drugie narodziny przesłaniają swoją wielkością nawet śmierć, bo wprowadzają człowieka do nieporównanie bogatszego życia, zwłaszcza po zmarłych wstaniu – do niewyobrażalnej pełni życia; dlatego starożytni chrześcijanie dzień śmierci nazywali *die natalis*, czyli dniem narodzin.

Można by tę analogię poszerzyć i zauważyć, iż niedorozwój jakiegoś organu w I fazie życia niesie z sobą trwałe kalectwo (ślepotą, mongolizm, deformacje kończyn albo i monstrum). Niedorozwój wartości moralnych, duchowych (brak wiary, nadziei, brak miłości, zatrucie nienawiścią itp.) w II okresie może spo-

wodować trwałe kalectwo ducha, aż do kształtu potworka, co mu na wieki uniemożliwi widzenie Boga i przeżywanie Jego miłości. I to jest właśnie „stan potępienia”.

*„Tak, musisz się dręczyć wiek wiekiem.  
Sprawiedliwe zrzędzenia Boże!  
Bo kto nie był ni razu człowiekiem,  
Temu człowiek nic nie pomoże”*

Echo wiecznej kary za kompletny brak miłości śpiewa chór nad potępieńcem w II części *Dziadów* A. Mickiewicza.

Zwykle w tym miejscu refleksji nad życiem wiecznym rodzi się nowe pytanie: „Ale jak wygląda to życie wieczne – ta pełnia życia? Nie mogę sobie tego wyobrazić”. Otóż, nie wysilaj się na wyobrażanie sobie tamtego życia. Wyobrazić go sobie nie możemy z tej prostej przyczyny, że nasza wyobraźnia ujmuje tylko rzeczywistość naszego ziemskiego świata, a życie pozagrobowe trwa w innym wymiarze rzeczywistości, która jest dla nas niewyobrażalna. Można by tutaj znów sięgnąć do analogii z życiem człowieka w łonie matki. Wyobraźmy sobie, że w jakiś sposób dziecko jeszcze nie narodzone zapytałoby nas: „Jak wygląda tamten świat, do którego się przygotowuję?” Stałibyśmy wobec tego pytania niemi. Poczulibyśmy niepokonalną trudność przekazania nie narodzonemu na świat obrazu świata, znajdującego się tuż za cienką kurtyną. Czujemy, że choćbyśmy wszystko opowiedzieli o barwach, dźwiękach i kształtach świata za kurtyną, nasz mały brat nic z tego nie pojmie.

Czyż można przekazać niewidomemu piękno ziemskich barw, a głuchemu muzyczne harmonie?

Otóż podobnie niemożliwe, abyśmy zamknięci w tym naszym ziemskim świecie umieli sobie wyobra-

zić świat Nieba. Możemy go przeczuwać i uzasadniać jego istnienie, ale wyobrazić go sobie nie potrafimy.

Trzeba zaufać słowu Pisma świętego: „Czego oko nie widziało ani ucho nie słyszało i w serce człowiecze nie wstąpiło, to przygotował Bóg tym, co Go miłują” (1 Kor 2,9).

„Tamten świat” możemy tylko przybliżać naszej wyobraźni przez metaforyczne obrazy i symbole. We wzruszający sposób symbolizują go tysiące płomyków na cmentarzach w Święto Zmarłych. Te ruchome płomyki i powstająca od nich luna stanowią jakby przebłyski Światłości Wiekuistej, w której wypełnia się i sens życia i ujawnia się wartość Miłości, która nigdy nie ustanie. Św. Teresa Martin wśród ostatnich słów przy śmierci powiedziała: „Miłość jedynie coś warta” (*Duch św. Teresy*, s. 224), a ostatnie jej słowa brzmiały: „Boże, kocham Ciebie”. Oto życie wypełnione...



## ETYKA SEKSUALNA NA STRAŻY MIŁOŚCI

Szkicując w naszych rozważaniach obraz miłości, wskazaliśmy na powiązanie erosu z popędem rodzajowym, czyli seksualnym. Teraz chcemy związane w tym kwestie, tak ważne w życiu człowieka, przedstawić choć w zarysie w świetle etyki chrześcijańskiej. Zacznijmy od przypomnienia czterech podstawowych zasad:

1. Nie ma w człowieku i w jego wolnym działaniu obszarów wyjętych spod praw moralnych – nie ma – „obszarów autonomicznych”. Wszystkie świadome i wolne czyny ludzkie muszą być podporządkowane prawom moralnym. Ponieważ działania ludzkie wynikające z popędu seksualnego należą do czynów wolnych – nie mówimy tu o patologii, o czynach ludzi rzeczywiście niezdolnych kierować swym postępowaniem przeto i one muszą się kierować prawami etyki. Nie może więc być mowy o „autonomii seksu”, co tak uparczywie propagują niektórzy ludzie ignorujący Ewangelię i oddaleni od Kościoła, a co przypada do gustu również niekonsekwentnym katolikom.

2. Trzeba też na wstępie uświadomić i tę fundamentalną prawdę, że etyka chrześcijańska jest etyką wartości. Jej zasady i prawa ukazują i nakazują ludziom wartości, czyli to wszystko, co stanowi dobro,

służy dobru i rozwojowi człowieka już na fali doczesnej, aż ku wieczności. Przykazania, nakazy etyczne nie są przeciwko człowiekowi, są dla człowieka.

Nie są ustanowione dowolnie, arbitralnie, samą tylko wolą prawodawcy, lecz stoją na straży zachowania, ubezpieczenia i rozwoju wszystkich wartości w człowieku, a szczególnie miłości. Tak więc nie dlatego coś jest dobre, że jest „nakazane” i nie dlatego coś jest złe, że „zakazane”, lecz dlatego nakazane, że to jest wartość sama w sobie i dlatego zakazane, że to jest w samym sobie czymś złym. Zakaz przestrzega, że za wyznaczoną przez niego granicą zaczyna się świat zła, choćbyśmy go nawet nie dostrzegali.

3. Etyka chrześcijańska jest etyką wieczności w tym sensie, że stoi na straży nie tylko dobra doczesnego, lecz głównie dobra wiecznego, skoro człowiek jest istotą nieśmiertelną.

4. Etyka chrześcijańska ma też ustaloną hierarchię wartości. Dobra doczesne i materialne, jak: zdrowie fizyczne, uroda, dostatek – duże wartości w życiu doczesnym – nie mają w tej hierarchii najwyższej rangi. Wyższą wartością jest zdrowie i bogactwo ducha – „więcej być”, a najwyższą – miłość i zbawienie: „Cóż pomoże człowiekowi, choćby cały świat pozyskał, a na duszy szkodę poniósł?” (Mk 8,36). Toteż w wypadku kolizji – chrześcijanin winien poświęcić dobro materialne, także i zdrowie, dla wyższych celów i wartości. Na płaszczyźnie moralności seksualnej takich kolizji nie ma; ale gdyby gdzieś zaistniała, żaden chrześcijanin nie może sobie powiedzieć: „Jeśliby wstrzeźliwość – czystość przynosiła chorobliwe skutki, nie przestrzegałbym jej”. Gdyby przyjął taki pogląd i zasadę, naruszyłby chrześcijańską hierarchię wartości i popełnił grzech.

W aksjologii chrześcijańskiej (nauka o wartościach), podkreślmy to jeszcze raz – najwyższą war-



tość moralną stanowi miłość. Można bez zastrzeżeń powiedzieć, że wszystkie prawa – nakazy i zakazy – stają ostatecznie na straży tej wartości. Sam Jezus to powiedział: „Na tych dwóch przykazaniach – miłości Boga i bliźniego opiera się całe Prawo i Prorocy” (Mt 22,40). Znane też jest powiedzenie św. Augustyna: „Kochaj i rób, co chcesz”, ale tutaj zaraz trzeba podkreślić, że św. Augustyn ma na uwadze prawdziwą, autentyczną miłość do Boga i człowieka. Bo jedynie taka miłość, miłość, która nie czyni złego, ofiaruje człowiekowi wolność.

Wielokrotnie tę hierarchię wartości podkreślał w swoich przemówieniach Ojciec św. Jan Paweł II: duch przed materia, osoba przed rzeczą, etyka przed techniką, miłość przed sprawiedliwością i prawem.

Właściwie wszystko, do czego wzywa, co zaleca i co czyni Kościół, ma na uwadze zabezpieczenie i rozwój miłości. Miłość staje się wypełnieniem sensu życia, warunkiem zbawienia, ale też i przeżywaniem jej dobra na ziemi.

Rodzi się pytanie: Czy ten związek praw etyki z miłością, z najgłębiej pojętym dobrem człowieka da się zauważyć i sprawdzić na „krótkiej fali” doczesnej? W pewnej mierze – tak, ale nie do dna, nie w pełni. I stąd te częste „różnice poglądów” między Bogiem, który z miłością stoi za swymi „przykazaniami”, a nieufnym człowiekiem dążącym do sprawdzenia wszystkiego we własnej, tak bardzo ograniczonej perspektywie: – już teraz i zaraz. Bóg widzi wszystko i wszystko wie, a człowiek patrzy na siebie, świat i nieskończoność „przez dziurkę od klucza”.

Człowiek nie jest w stanie widzieć „gołym okiem” niezliczonych mikroelementów, które składają się na życie psychiczne i moralne, i ich ukryte procesy i skutki; a w tej dziedzinie mikroskopu jeszcze nie wynaleziono. Toteż niektóre „dzieje grzechu” i dzieje dobrych

czynów dadzą się dostrzec dopiero po latach albo i w innym pokoleniu, i... w innym życiu.

A jednak to fakt znamieny, że współczesne nauki o zdrowiu i rozwoju człowieka (medycyna, higiena psychiczna, pedagogika i charakterologia) wysuwają postulaty coraz bardziej zgodne z etyką chrześcijańską. Dr A. Carrel, lekarz, laureat nagrody Nobla, napisał: „Zasady postępowania wyprowadzone z praw życia są w uderzającej zgodności z zasadami etyki chrześcijańskiej” (*Podróż do Lourdes*).

Istnieje jednak jeszcze bardziej zasadnicza niemożność sprawdzenia do dna skutków naszych czynów, ponieważ one przekraczają horyzont doczesności: one się ostatecznie sprawdzają w kraju bezwymiarowym, który jest dla nas dziś niedostępny.

Toteż w etyce należy zaufać i zawierzyć „na słowo” Temu, który ogarnia całą doczesność i wieczność, Temu, który wie, co dobre, a co złe, co ubogaca, a co zuboża i rani miłość; co ją zabija. Nam się może coś „wydawać”, a dla Niego wszystko jest jasne. Toteż mówienie: „mnie się to nie podoba”, „to mi nie odpowiada”, „z tym się nie zgadzam”, „zrobmy referendum” wyraża infantylny brak właściwej optyki i nieufność ubliżającą absolutnemu, mądrym i kochającemu Najwyższemu Prawodawcy. W dojrzałej postawie etycznej na wszystkich płaszczyznach winniśmy – jako ludzie wierzący – z samej logiki naszej wiary bezwarunkowo zaufać Chrystusowi i Jego Kościołowi, szczególnie na obszarze pełnym uroczych krajobrazów, ale też i niebezpiecznych urwisk i przepaści. Tutaj bez solidnych barier i pewnego przewodnika – katastrofa nieunikniona. I tutaj nie można żądać bez końca od Boga, ani od Kościoła, ani od duszpasterzy na każdym zakręcie czy przy każdej barierze ukazywania racji każdego nakazu czy zakazu, gdyż i tak do dna ich wszystkich od razu nie zrozumiemy. Tutaj musi

mieć miejsce uzasadnione pełne zaufanie do Przewodawcy i Przewodnika. A jeżeli ktoś wchodzi na ścieżkę, która mu „odpowiada”, ryzykuje zagubienie „szlaku” z wszystkimi tego konsekwencjami.

Po tych uwagach ogólnych przejdziemy do przypomnienia głównych praw regulujących aktualizację popędu seksualnego i wprzegających go w służbę miłości. Te prawa przypomniął wydany przez Stolicę Apostolską w r. 1975 dokument poświęcony niektórym zagadnieniom etyki seksualnej, aby przestrzec chrześcijan przed błędnymi poglądami i bezdrożami w tej istotnej dziedzinie życia ludzkiego.

Dokument – deklaracja stwierdza, że popęd seksualny sam w sobie jest dobrem człowieka, jak wszystko, co Pan Bóg stworzył, ale jego aktualizacja nie we właściwym celu i nie we właściwych okolicznościach sprowadza zło – grzech. Dokument przypomina, że Kościół, jako ustanowiony przez Chrystusa stróż wiary i moralności, głosi niezmiennie, że naturalnym celem aktów seksualnych jest rodzicielstwo, czyli udział w akcie stwórczym samego Boga; w tych aktach wyraża się jednocześnie w sposób nierozzerwalny z celem pierwszym osobowe zjednoczenie w miłości małżonków, tak że stają się „jednym ciałem”, jak mówi Pismo św. Tego podwójnego celu nie można od siebie oddzielać; nie może więc być mowy o tzw. „autonomii seksu”. Ta zasada stanowi podstawę niezmiennej nauki Kościoła, według której działanie seksualne uzyskuje swe prawdziwe znaczenie i godziwość moralną tylko w prawdziwym małżeństwie (D. 5).

Stąd bezprawne, nielegalne i nieetyczne są akty seksualne podejmowane przed i poza małżeństwem. Wszystkie one mają charakter „cudzołóstwa”, czyli sięgania po prawa małżeńskie, przez ludzi, którzy nie są dla siebie małżonkami, czego zakazuje VI przykazanie Dekalogu. U chrześcijan konsekwentnych, a tak-

że u wielu moralistów niechrześcijańskich, prawo to jest uznawane.

Ta norma moralna stawia trudne niewątpliwie wymagania, szczególnie ludziom, którzy już zdecydowali się pobrać, ale muszą odkładać ślub ze względu na okoliczności zewnętrzne. Uważają oni nieraz, że przedślubne pożycie utrwali ich miłość. Jednak „tego rodzaju pogląd sprzeciwia się nauce chrześcijańskiej, która głosi, że wszelkie współżycie seksualne winno się mieścić w ramach małżeństwa. Bez względu na to, jak poważny byłby zamiar tych, którzy wiążą się przez te przedwczesne stosunki, to jednak stosunki te bynajmniej nie są w stanie zabezpieczyć szczerości i wierności wzajemnego związku pomiędzy osobami mężczyzny i kobiety, a zwłaszcza ustrzec tego związku przed niestałością pożądania i samowoli” (D. 7).

Dokument stwierdza, że współżycie małżeńskie to nie tylko prywatna sprawa dwojga ludzi, to sprawa mająca znaczenie społeczne i dlatego „decyzja związania się małżeństwem musi być wyrażona na zewnątrz, i to w taki sposób, by mogła być ważna również wobec społeczności. Jeżeli chodzi o chrześcijan, to winni oni wykazać swoją zgodę na zawarcie związku małżeńskiego stosownie do praw Kościoła, co sprawia, że małżeństwo staje się sakramentem Chrystusa” (D. 7).

W sakramencie tym „miłość między małżonkami zostaje włączona w tę miłość, którą Chrystus w sposób nieodwołalny miłuje swój Kościół” (tamże).

Jako burzące porządek moralny Deklaracja osądza wypaczenia seksualne, które noszą nazwę onanizmu lub samogwałtu. Dokument wyraża ubolewanie, że wiele zamętu na tej płaszczyźnie wywołali nieodpowiedzialni lekarze – seksuolodzy, którzy nie stwierdzając bezpośrednich chorobowych skutków onanizmu w strefie fizjologicznej, posuwali się poza granice swojej kompetencji i twierdzili, że onanizm nie jest w ogóle

wykroczeniem moralnym. Niektórzy socjologowie poszli tymi śladami, powołując się na szeroki zasięg tej praktyki.

Jednakże czynów ludzkich nie można oceniać jedynie w kategoriach fizjologii, wąsko pojętej medycyny czy socjologii, nie biorąc pod uwagę skutków psychologicznych, charakterologicznych i moralnych tych czynów, a to należy do innych nauk, a ich kompetentni i odpowiedzialni przedstawiciele wiedzą aż nadto dobrze, jak wielkie szkody, nawet „na krótkiej fali”, wyrządzają ludzkiej osobowości prowokowane dobrowolnie czyny zubożające energie autentycznej miłości – zwłaszcza gdy dojdzie do nałogu, a niebezpieczeństwo nałogu jest tu szczególnie wielkie.

Powoływanie się na statystyki (zawsze niepewne) i na głosowanie, „kto – za, kto – przeciw” stanowi grube nieporozumienie. Normy bowiem moralne są niezależne od tego, jaki odsetek ludzi wprowadza je w życie. Przecież choćby 99% ludzi kradło, nigdy nie zmieni to ponadczasowej normy: „Nie kradnij”. Tak samo jest i z normą: „Nie cudzołóż”.

Gdy ukazał się omawiany Dokument Stolicy św., pojawił się w polskiej prasie artykuł pt. „Twarda mowa”. I w rzeczy samej jest to „twarda mowa” (tak o nauce Jezusa wyrażali się nawet Jego uczniowie – J 6, 60). Ale „twarda” to nie znaczy, że niesłuszna, nieprawdziwa. Bo prawda zawsze jest ostra jak miecz, który bez żadnych kompromisów odcina fałsz, oddziela dobro od zła. Chrystus zna słabość ludzką i nie potępia upadających, jeżeli chcą powstać, podaje im dobrą i mocarną dłoń pod warunkiem, że ją przyjmą. Toteż Dokument zaleca spowiednikom ewangeliczną łagodność wobec skruszonych i walczących z grzechami i nałogami, a równocześnie nakazuje pouczać jasno o niezmiennych zasadach i prawach moralności chrześcijańskiej. Zaleca też napominać tych, którzy

nie szukają miłosierdzia Bożego, lecz udają się do fałszywych proroków, u których mogą znaleźć tylko rzecz najgorszą: znieczulenie i spaczenie sumienia z wszystkimi tego następstwami.

Kończąc to rozważanie musimy sobie jasno uświadomić, że ta „twarda mowa” katolickiej etyki seksualnej, która dla szukających pomocy u Chrystusa przestaje być twardą, jest wielkim dobrodziejstwem Boga, który w ojcowskiej trosce o dobro człowieka tymi prawami broni go przed degradacją, cierpieniami i nieszczęściem; bezpośrednio zabezpiecza wielką wartość moralną – czystość, a w niej stwarza klimat rozwoju i rozkwitu najwyższej wartości moralnej, jaką jest miłość – we wszystkich jej postaciach: w postaci fundamentalnej, erotycznej i małżeńskiej. Jak powiedział papież Paweł VI: „Czystość jest atmosferą, którą oddycha prawdziwa miłość... Mówimy to do was, młodzi, i do wszystkich”.

## MIŁOŚĆ A CZYSTOŚĆ

*Czystość – to bogactwo, wywodzące się  
z nadmiaru miłości.*

*R. Tagore*

Panowanie nad popędem rodzajowym z jego biologicznymi korzeniami w strefie podkorowej i odzwierciedleniem w myślach, wyobraźni i pragnieniach nazywa się w etyce katolickiej wstrzemięźliwością seksualną lub po prostu czystością.

Panowanie w takim zakresie nad popędem przed Sakramentem małżeństwa nosi nazwę wstrzemięźliwości lub czystości przedmałżeńskiej; a panowanie nad nim i kierowanie go z właściwych pobudek ku właściwym celom w małżeństwie – czystością małżeńską.

Dość często jako synonimu czystości używa się słowa „dziewictwo”. Takie identyfikowanie czystości i dziewictwa jest nieściśle, gdy przez dziewictwo rozumie się tylko fizjologiczną integralność ciała kobiety. Ale może być kobieta dziewicza i równocześnie nieczysta, gdy nie panuje nad swoimi myślami, uczuciami i pragnieniami seksualnymi. A może zająć przypadek, że kobieta traci dziewictwo – np. przez gwałt – a pozostaje czysta, gdy ma czyste myśli, uczucia i pra-

gnienia. W normalnych jednak okolicznościach czystość do czasu małżeństwa jest uwarunkowana przez dziewiczość, obie postawy idą w parze. Pojęcie „dziewiczość” można i trzeba by odnieść także do mężczyzny zachowującego czystość przedmażeńską i czystość w celibacie.

Zachowanie czystości to nie jakaś rygorystyczna pozostałość po średniowieczu, lecz ponadhistoryczne i kategoryczne wymaganie Chrystusa i Jego Kościoła.

Ponieważ sprostanie temu wymaganiu kosztuje człowieka wiele czujności, trudu i walki, stąd dla ludzi oddalonych od światła i mocy Chrystusa, a zwłaszcza dla tych, którzy dorabiają „filozofię” do przyjętego przez siebie stylu życia, zasady etyki chrześcijańskiej stanowią kamień obrazy. Ludzie tego pokroju występując publicznie zwykle uchylają się od odpowiedzialnej refleksji psychologiczno-pedagogicznej i – jakby przybyli z innej planety – co pewien czas wyrażają „zdziwienie”, że „coś podobnego” jeszcze się głosi. Co gorsze, obok „zdziwień” prowadzi się od lat demagogiczne ataki na etykę „tradycyjną”, proponując i sugerując permissyjną „moralność nowoczesną”, posługując się szyderstwem lub znanymi sloganami o „wolności” i „nowoczesności” oraz wezwaniami do „ułatwiania życia”: „Masz prawdziwe uczucie?” (Co to znaczy?), „Masz potrzebę” – „Zabaw się!”. A co po zabawie, pionierzy „nowej moralności” wołać nie mówić. W ogóle zastanawia, że czystość jest najbardziej atakowaną wartością etyki chrześcijańskiej w Polsce.

Może i niezupełnie świadomie – do zdeprecjonowania czystości przyczynili się nawet i wierzący w Chrystusa lekarze, socjologowie i pisarze, którzy w sposób przesadny przedstawiali rozmiary wykroczeń w tej dziedzinie, demobilizując siły walczących – jakby podsuwając myśl, „że skoro tak już jest, to walka o czystość jest beznadziejna”. Tymczasem



hasło: „Wszyscy (?) tak robia” jest szczególnie bezsensownym i szkodliwym mitem.

Otóż takie hasła i takie jawne czy ukryte propozycje rezygnacji nie pozostały bez wpływu na nasze społeczeństwo, a zwłaszcza na młodzież; nawet katolicycy chłopcy i dziewczęta ulegają niepokojom, kompleksom niższości i pytają: „Dlaczego Chrystus stawia takie wymagania? Dlaczego ich Kościół w naszych czasach nie łagodzi?”. Kiedyś w artykule „Moda na sex” lekarz seksuolog wskazał na fakt, że dziewczęta, nie biorące udziału w „zabawach” seksualnych, czuły się więcej niż zakłopotane, bo nie umiały uzasadnić nawet wobec siebie swej postawy; nie chciały się do tego przyznać; bały się epitetów „staromodna”, czy „nie-normalna”. Podał więc im i ich koleżankom wiele racji naturalnych, potwierdzających słuszność wymogu moralnego i ich postępowania. Ukazał też, że brak panowania nad popędem – a więc nieczystość, rozwiązłość – wprowadza człowieka w niewolę „ośrodków podkorowych”, degradując jego godność, dewastując jego biologiczno-psychiczne środowisko. Ale my chcemy ujrzeć i inne, głębsze racje, na których opiera się wartość czystości.

Trzeba jednak znów przypomnieć, iż żadnego prawa, żadnej chrześcijańskiej wartości moralnej, a więc i czystości nie da się zgłębić do dna, bo sięga ona przepastnych głębin człowieka, „istoty nieznannej” (A. Carrel) i przekracza horyzont tego świata. I dlatego oczom chrześcijan w świecie wartości zawsze winna się ukazywać jako ostateczna racja – zaufanie do wszytkowiedzącego i miłującego Boga, który z miłości ku człowiekowi ukazuje mu bezbłędnie, co dobre i co złe, choćbyśmy w optyce naszych ograniczeń tego nie widzieli, lub widzieli inaczej. Ale jak już kilkakrotnie zauważyliśmy i na tej powierzchniowej fali możemy niemało ujrzeć, sprawdzić i zrozumieć.

Jakie dostrzegalne wartości przedstawia dla nas czystość? Gdy przypomnimy podstawową prawdę, że w religii i etyce chrześcijańskiej wszystko służy nadrzędnej wartości, jaką jest miłość, nasze pytanie można sprowadzić do postaci: jak czystość służy miłości?

A oto niektóre, choć zawsze niepełne, odpowiedzi:

1. Autentyczna miłość wszystkich postaci, a szczególnie miłość erotyczna lubi żyć i rozwijać się w klimacie wolności. Otóż właśnie czystość stwarza klimat wolności. Chłopiec i dziewczyna czują się wolni, gdy są czysti. Gdy czystość się załamuje, znajdują się już w sytuacjach ograniczających wolność, i wewnętrzną, i wobec siebie; dotyczy to głównie dziewcząt. Przecież w nierzadkich przypadkach naruszenie czystości powoduje zajście w ciążę, a potem już cały łańcuch sytuacji coraz bardziej ograniczających wolność, coraz cięższych, łamiących ludzi małej wiary i słabego charakteru, co już wprost zagraża miłości.

2. Dlatego czystość jest najlepszym psychicznym i moralnym przygotowaniem do związku miłości w małżeństwie. Pozostawia obu stronom swobodę decyzji do ostatecznej chwili przed przysięgą małżeńską. Niezlomna postawa czystej dziewczyny zamiast budzenia namiętności, które zaciemniają prawdziwe poznanie człowieka, budzi świadomy lub podświadomy szacunek u chłopca. A szacunek to niezmiernie ważny warunek prawdziwej miłości. Jeżeli dziewczyna dobrowolnie straciła swoje dziewictwo i wychodzi za mąż za innego, mąż z pewnym żalem i bólem akceptuje swoją żonę; to dla niego stanowi skazę; staje się też źródłem obawy, czy i po ślubie nie powtórzy swojej lekkomyślności. Kobieta również z tych samych racji nie przeżywa pełnej radości i zaufania, a raczej czuje głęboki żal, jeśli jest którąś z rzędu kobietą na drodze życia jej męża.

Nierzadko w takich sytuacjach, szczególnie u mężczyzny, który dowiaduje się o przeszłości żony, powstaje szok. Toteż kobiety słusznie pytają spowiedników, czy wszystko należy również wyznać swemu przyszłemu mężowi. Niełatwa odpowiedź. Ale chyba lepiej wejść na drogę szczerości – tylko nie przed samym ślubem ani po ślubie.

Oczywiście, że etyka ewangeliczna nie pochwała wypominania zła przeszłości; wymaga przebaczenia i zapomnienia, ale psychika ludzka ze swymi reakcjami chodzi często własnymi drogami i należy się z nią liczyć. I właśnie czystość z nią się liczy. Na jednym ze spotkań ze studentami dr W. Półtawska otrzymała pytanie: Co jest najważniejsze w przygotowaniu do szczęśliwego małżeństwa? Prelegentka odpowiedziała krótko: czystość! I to jest prawda – i psychologiczna, i etyczna, i życiowa. Czystość jest najlepszym przygotowaniem i najlepszą prognozą na wierność, bez której nie ma szczęścia w małżeństwie.

3. Czystość przedmałżeńska i małżeńska stanowi nieodzowny warunek kształcenia charakteru i osobowości, i dążenia do świętości, do której powołani są chrześcijańscy małżonkowie. Filozofia i psychologia chrześcijańska nie głoszą dualizmu, tzn. ostrego przedziału między ciałem i duszą; odrzucają naukę „teologię” manicheizmu (nazwa od założyciela tej religii – Manesa, który gardził ciałem). Niemniej jednak w sferze moralnej boleśnie doświadczamy tego, co św. Paweł pisał o sobie: „Widzę inne prawo w członkach moich, sprzeczne z prawem umysłu mego” (Rz 7,23). Ileż to razy odczuwamy, jak nasze ciało domaga się czegoś wbrew prawu i dobru ducha. I wtedy bez treningu, bez zapasu siły, bez hamulców, możemy stać się łatwym łupem byle jakiej pokusy, i zranić śmiertelnie zaufanie i miłość do Boga, utracić łaskę uświęcającą i zaprzepaścić swoją młodość i los.

Wyrobienie zaś w sobie „sztuki” panowania nad przygodnymi „ochotami” i „potrzebami”, czyli pożądaniami ciała, stwarza kościec integracyjny charakteru i osobowości. Toteż odrzucić należy opinię, jakoby cnota czystości była jakąś bezpłciowością, jakimś brakiem temperamentu czy męskości. Natomiast trzeba w niej widzieć jak najbardziej męską siłę wspierającą wszystkie inne siły moralne. Kto nauczył się panować w tej dziedzinie, potrafi być panem i na innych obszarach życia moralnego.

4. Cnota czystości – to czujemy – zbliża nas do czystego Chrystusa, do Jego wielkich naśladowców – Świętych, którzy bez wyjątku cenili i walczyli o tę wartość. Przez cnotę czystości zbliżamy się odczuwalnie do Tej, której drugim imieniem jest Niepokalana. I nie ma prawdziwego nabożeństwa do Matki Bożej bez akceptacji i pielęgnowania tej cnoty.

5. I to jest także sprawdzalne, że czystość obleka człowieka w piękno duchowe, opromieniające także jego ciało, ubiera je w urok nie wędnącej młodości. Historia mówi, że gdy odsłonięto w bazylice św. Piotra „Pietę”, arcydzieło Michała Anioła, ktoś zwrócił się do artysty z uwagą: „Mistrzu, ależ ta Matka Boska pochylona nad martwym ciałem 33-letniego Syna wygląda na 18-letnią dziewczynę” (sprawdźcie na zdjęciach, że tak jest). A na to odparł Mistrz: „Nie wiesz, że czystość jest zawsze młoda?”.

„Czystość należy do tej powściągliwości, którą św. Paweł zalicza do darów Ducha Świętego, potępiając rozwiązłość jako zło, które w szczególny sposób przynosi ujmę chrześcijaninowi i które wyklucza z Królestwa Niebieskiego” – czytamy we wspomnianej poprzednio Deklaracji, dokumencie na temat etyki seksualnej (12).

Otóż z tych sprawdzalnych i niesprawdzalnych racji Kościół jak Chrystus i Jego Matka, jak Święci, jak

mądrzy i szlachetni niechrześcijanie (R. Tagore, M. Gandhi) – wzywał, wzywa i wzywać będzie swoich wyznawców i wszystkich ludzi dobrej woli i otwartych oczu do wolnej akceptacji, do zdobywania i pielęgnowania tej wartości; nie może tu poczynić żadnych ustępstw i „złagodzeń”, bo to równałoby się ustępstwu wobec antywartości, wobec zła i nieszczęść człowieka.

Jeżeli jednak ktoś będzie przyjmował czystość tylko jako ciężar i przymus, jako coś narzuconego z zewnątrz, ten oczywiście nie zasmakuje w jej wielorakiej wartości. A kto ją odrzuci, ten wchodzi w sferę nieszczęścia i życiowej klęski. A. Rudnicki w jednym z reportaży przedstawił obraz ponurego procesu rozwodowego, a potem opowiedział o spotkaniu 18-letniej Krystyny, która szła ku Wiśle, aby utopić swoje młode życie. W przygodnej spowiedzi wyznała mu wszystko. Powiedziała, że w imię hasła „ułatwiania życia” rozdawała siebie na lewo i prawo, „bawiła się” do syta, aż znalazła się w matni, z której nie widziała wyjścia. Reportaż kończy się uwagami natury ogólnej: „Te zbałamuczone kurki nie mają pojęcia, co robią, nie wiedzą, że to krew, że wszystko, co robią, ma wagę życia i śmierci. Łatwość kobiet miała uszczęśliwić wszystkich, a oto wlecze za sobą bezdenną rozpacz. Właśnie łatwość – jak nic innego – pokazała nam, że jedyne prawdziwe ułatwienie życia stanowią ograniczenia, ograniczenia, ograniczenia!”

Nie tylko dla katolików, lecz dla wszystkich zatroskanych o dobro bliźnich, a zwłaszcza o dobro młodzieży, nie powinno być problemu, czy czystość jest wartością, czy warto o nią walczyć, czy z niej zrezygnować, trzeba natomiast wciąż od nowa dawać jasną i zdecydowaną odpowiedź na pytanie: jak realizować i ubezpieczać tę wartość

Deklaracja Stolicy Apostolskiej o etyce seksualnej zwraca uwagę na następujące sprawy:

1. Zachowanie czystości wymaga walki i ofiary, o czym uczy Jezus i Jego żywołowy Apostoł, gdy mówi o „podbijaniu swego ciała w niewolę ducha”.

2. Czystość wymaga „karności umysłu i ducha, czujności i roztropności w wystrzeganiu się okazji do grzechu”. Dodajmy, że dufność we własne siły w pewnych sytuacjach prowadzi wprost do klęski. Dr M. Hillar w eseju *O czym kobiety nie chcą wiedzieć?* – pisze: „Wiem, że w stosunkach kobiety i mężczyzny może nadejść chwila, w której wszelkie opanowanie i zdrowy rozsądek absolutnie zawodzą...” Trzeba o tym pamiętać i realnie się z tym liczyć! Dotyczy to oczywiście również i chłopców. Pokusa nie jest jeszcze grzechem, ale jest siłą groźną dla każdego człowieka. I dlatego należy pokus unikać. Pokusy gnieźdzą się w pewnych okolicznościach, okazjach. I dlatego należy okazji unikać, gdyż tu „nie ma silnych”. A kto się na okazje dobrowolnie naraża; czy sam je stwarza, ten już przez intencję popełnia grzech. „Każdy, który patrzy na niewiastę, aby jej pożądał, już ją scudzołożył w sercu swoim” (Mt 5,28).

W tym świetle naiwnie i infantylnie brzmią dufne zapewnienia młodych ludzi, którzy wybierają się we dwoje na autostop, na wczasy, na wycieczki za granicę, czy spotykają się w „wolnej chacie”. Natomiast jakże trzeźwe, mądre i troskliwe jest wezwanie do młodości dra W. Fijałkowskiego, by młodzi – szczególnie zakochani – zachowali wobec siebie naturalny „dystans” aż do końca. I przytacza głęboką metaforę C. Norwida: „Z karafki napić się można, uściskawszy ją za szyję i pochyliwszy ku ustom, ale kto ze źródła pije, musi ukłęknąć i pochylić czoła” (W. Fijałkowski *Miłość w spotkaniu płci*, s. 32).

Prawdziwą miłość chroni się małym „dekalogiem” roztropności: I – Nie w każdym towarzystwie i nie na każdy rajd! II – Nie na każdą wycieczkę i wczasy!

III – Nie na każdą zabawę i przyjęcie! IV – Nie do każdego domu! V – Nie w każdym stroju! VI – Nie o każdej porze! VII – Nie każdą książkę! VIII – Nie każdy film! IX – Nie każdą piosenkę! X – Nie dlatego, że rzekomo „wszyscy” tak robią!

Nie zachowa się czystości bez zachowania rozumnej czujności i roztropności!

3. Omówiona Deklaracja Stolicy Apostolskiej podkreśla, że do zachowania i utrwalenia czystości konieczna jest wytrwała modlitwa oraz siła płynąca z sakramentów – Pokuty i Eucharystii. Wielce ją wspierają głęboka cześć i miłość do Matki Bożej. Przez głęboką cześć należy rozumieć nie tylko śpiewanie piosenek, udział w nabożeństwach czy pielgrzymkach, lecz głównie wolę naśladowania Niepokalanej w Jej umiłowanej cnocie.

4. Naturalnym zabezpieczeniem czystości jest wstydlivość i skromność w mowie, strojach, zabawach, zachowaniu; poczucie wstydu stanowi naturalną, psychiczną ochronę tego, co powinno być okryte zasłoną pewnej tajemnicy, szczególnie u kobiety – matki czy przyszłej matki człowieka. Upadek wstydlivości stanowi jednostronne rozbrojenie i sprowadza dekadencję nie tylko moralności, ale kultury w ogóle. Zachowanie zaś jej i ugruntowanie daje mocny atut w walce o czystość. „Tabu” u ludzi pierwotnych wcale nie było czymś głupim. Właśnie człowiek pierwotny w wyniku głębokiej intuicji przez „tabu” ochraniał przed dotykiem brudnymi palcami i oczyma to, co wiąże się z tajemnicą poczęcia człowieka.

5. Najważniejszą jednak naturalną siłą ochronną i obronną dla czystości stanowi niezłomne i niezachwiane przekonanie o wartości i potrzebie tej cnocie. Tylko takie przekonanie prowadzi do „mocno chcieć” – a mocno chcieć – to w moralności naprawdę „móc”. Wszelka zaś chwiejność czy relatywizowanie w tej

dziedzinie prowadzi do nieuniknionych upadków. W moralności seksualnej wszelkie wahania czy niezdecydowania czynią zasady etyczne zgoła „nieskutecznymi”. Zrobienie ustępstwa nawet na jeden raz może pociągnąć za sobą reakcje łańcuchowe, jak powiedział A. Mickiewicz: „Dość jest raz ponieść szwank na wstydzie – za jednym upadkiem następny idzie”.

Kto zawierzy zdecydowanie Chrystusowi i Jego Kościołowi, kto z tego źródła będzie pił „wodę żywą”, kto niezachwianie ceni wartość czystości, ten znajdzie środki i siły do jej zachowania. Tylko trzeba chcieć i nie rozdrabniać swojej energii na mnożenie problemów i narzekanie na „twardą mowę”.

Na końcu tych nie dokończonych rozważań uprzytomnijmy sobie, że jakiś incydentalny upadek, czy nawet szersze niepowodzenie nie stanowią jeszcze rzeczy najgorszej; najgorszą rzeczą w dziedzinie moralności jest kapitulacja i rezygnacja. Chrystus nie rezygnuje z żadnego grzesznika „pokutę czyniącego”. A więc nikt z chrześcijan nie ma racji rezygnować z samego siebie...



## MIŁOŚĆ NA GRUNCIE RÓŻNIC PŁCIOWYCH

Cenną pomocą w rozwijaniu i pogłębianiu miłości narzeczeńskiej, a potem małżeńskiej, jest uświadomienie sobie i poznanie różnic psychicznych między mężczyzną a kobietą. Nieznajomość tych różnic nie tylko utrudnia rozwój miłości, ale może stać się źródłem wzajemnego ranienia się i głębokich nieporozumień i konfliktów, gdy mąż i żona nie mogą zrozumieć, jak można inaczej patrzeć i reagować na tak „oczywiste” dla jednej strony sprawy.

Dawniej – poza okresem romantyzmu – pomawiano kobietę o jakąś niższość i puszczano w obieg całe szeregi odpowiednich „aforyzmów” i powiedzonek. Dzisiaj żaden światły człowiek takiego poglądu nie uznaje za słuszny. Natomiast zupełnie słusznie mówi się o inności kobiet. Ta inność na płaszczyźnie fizjologicznej jest oczywista. Ale bezsporne są i różnice psychiczne. Istnieją specyficzne cechy męskie i żeńskie. Niektóre z nich ukształtowały się w nurcie historii. Wyżłobiły je swoiste obyczaje, odrębne warunki życia i pracy. Ale można znaleźć u kobiety i mężczyzny cechy, które wiążą się z samą naturą płciową i różnicą funkcji małżeńskich. Np. rozwinięty u kobiety instynkt opiekuńczy i macierzyński, jej wrażliwość na

potrzeby dziecka wiążą się z przeznaczeniem kobiety do roli matki i opiekunki rosnącego małego człowieka. Zanim ukażemy w szczegółach niektóre cechy różniące mężczyzn i kobiety, warto jeszcze uczynić parę uwag wstępnych.

Przede wszystkim należy pamiętać, że psychologowie cechy męskie i żeńskie określają na zasadzie statystycznej – w skali wielkich liczb. Zbierają cechy najbardziej powszechne i tworzą z nich obraz statystycznej kobiety i statystycznego mężczyzny. W konkretnych ludziach te cechy są pomieszane. I można mówić tylko o dominantach czy przewadze jednych nad innymi. Toteż i w potocznej mowie powinno się używać przysłówków określających dane cechy ogólnie, jak: „przeważnie”, „często”, „najczęściej”, a unikać ujęć absolutnych, jak: „każda kobieta”, „wszyscy mężczyźni” itp., gdyż wtedy wchodzimy na drogę poważnych nieścisłości.

Jakież najbardziej powszechne i różnicujące cechy stwierdzają psychologowie i charakterolodzy w naturze kobiety i mężczyzny? W ukazywaniu tych cech będziemy postępowali w dużym zakresie za tokiem myśli dr E. Sujak z książki *Kontakt psychiczny w małżeństwie i rodzinie* (rozdz. „Odrębność psychiczna kobiety i mężczyzny”).

Otóż łatwo zauważyć, że kobieta odznacza się większą wrażliwością i bogactwem emocji, wzruszeń i najgłębszych uczuć, zwłaszcza pozytywnych. Jest bardziej skłonna do zazdrości, do niecierpliwości i chwilowego gniewu, ale też żywe są w niej: empatia, litość, współczucie, w różnych postaciach miłość, wiodąca na wyżyny poświęceń i oddania się Bogu i bliźnim. W kobiecie jest bardzo żywy instynkt opiekuńczy i macierzyński. To oczywiste, że te cechy wypływają z powołania kobiety i łączą się z zadaniami matki. Bo dziecko, które kobieta nosi pod sercem, a potem wychowuje,

wymaga ciepłego środowiska, nasyconego bogatymi, ciepłymi uczuciami.

Uczucia tak dominują w psychice kobiety, że często nawet jej sądy i oceny moralne wypływają z nastawienia emocjonalnego: „sympatyczny i miły” – to z reguły „dobry i mądry”, a „niesympatyczny” – to „zły i głupi”. Dr E. Sujak określa tę cechę kobiety aforyzmem: „Światem kobiety jest serce”. Psychologowie zwracają jeszcze uwagę na charakterystyczną cechę erotycznych uczuć i seksualnych doznań u kobiety, a mianowicie – na pewne opóźnienie ich wzrostu; niektórzy wręcz mówią o innym przeżywaniu „miłości małżeńskiej” przez kobiety. Ona wolniej się wzrusza i często nie podąża za szybkim rytmem wzrostu uczuć i pożądań u mężczyzny. Jeżeli o tym mężczyzna nie wie lub brakuje mu kultury panowania nad sobą, mogą się u kobiety rodzić rozgoryczenia i żale, które powodują ranienie miłości.

Z dominantą wrażliwości i uczuć w świecie kobiecym łączy się swoista cecha rozwiniętej intuicji, która pozwala kobiecie poza logicznymi przesłankami i dowodami przeczuwać wartość moralną i oceniać ludzi.

Z wrażliwości i emocji rodzą się w kobiecie i cechy ujemne, związane z prawem niestałości i falowania uczuć, jak: zmienność nastrojów, humorów i ocen. Stąd wyłania się często upór, który zamyka się na racje rozumowe, a nawet i moralne, na wszelkie perswazje.

Toteż w chwilach wzburzonej emocji nie ma sensu w dialogu z kobietą odwoływać się do argumentów i racji logicznych; łatwiej zakończyć spór, zażegnać konflikt racją serca, iskrą humoru, pocałunkiem lub pieszczotą.

Statystyczny chłopiec i mężczyzna jest uboższy we wrażliwość i uczucia. Jego świat – to głównie intelekt; a klimat duchowy, w którym się czuje najpew-

niej i najlepiej – to logika i argumentacja rozumowa. Stąd mężczyzna dąży często do tworzenia syntez filozoficznych, do odkrywania nowych prawd; ma ambicje budowy i przebudowy świata. I właśnie sprawy świata są „sercem mężczyzny”.

Dr E. Sujak zwraca jeszcze uwagę i na to, że kobieta i mężczyzna bardzo różnie przeżywają poczucie własnej wartości, swego zasadniczego stanu psychicznego.

Kobieta przeżywa swoją wartość głównie w kategoriach estetycznych – w kategoriach piękna; dla niej piękna twarz, piękny wygląd, piękny strój stanowią niezastąpioną wartość. Łatwo to zauważyć nawet w dramatycznych chwilach niebezpieczeństwa lub żałoby, jak kobieta i wtedy nie zapomina o swoim wyglądzie, jak spogląda w lusterko i poprawia makijaż. I tym elementom kobiety okazują aż nadmiar troski i zabiegów. Ileż to czasu poświęcają porannej kosmetyce: rzęsom i paznokciom tak, że potem nieraz „braknie czasu” na poranną toaletę duchową – chwilę modlitwy i skupienia.

Trzeba tutaj jeszcze zauważyć, iż wskutek braku wychowania estetycznego oraz na skutek często nierozsądnego, niewolniczego stosunku do lansowanej mody, kobiety zatracają samokrytycyzm i osiągają efekt wręcz przeciwny do zamierzonego – tracą swój naturalny wdzięk i niemiłosiernie się oszpecają przez przesadę w kosmetykach, ozdobach i ekstrawaganckich strojach.

Mężczyzna bardziej przeżywa swoją wartość w sprawności fizycznej i umysłowej, w zdolnościach organizacyjnych, w działaniu, w osiąganiu sukcesów zawodowych. Obie połowy świata są wrażliwe na uznanie i pochwały. Ale kobieta oczekuje bardziej uznania jej urody, stroju, dobroci, dobrego wychowania dzieci, urządzenia mieszkania czy przyrządzania

potraw. A mężczyznę cieszy uznanie jego intelektu, autorytetu, osiągnięć i sukcesów na szerszej orbicie działania.

Oto dla męża i żony wskazanie newralgicznych, wrażliwych punktów psychiki małżonka: Miłość prawdziwa będzie obolałe miejsca oszczędzać, a zdrowe i budzące radość umacniać i pielęgnować. Właśnie brak akceptacji, zainteresowania wartościami cenionymi przez drugą stronę niepostrzeżenie wznosi szaniec obojętności i obcości między małżonkami i członkami rodziny. Dr E. Sujak w trafnych aforyzmach ukazuje także różnice motywacji działania u przeciętnej kobiety i mężczyzny. Mężczyzna chce być w życiu „KIMŚ”, kobieta zaś chce być „KIMŚ dla KOGOŚ”.

Kobieta najchętniej pracuje, podejmuje wysiłki i poświęca się dla osoby, a więc orientuje się psychicznie i moralnie na tory humanistyczne i personalistyczne. Mężczyzna zaś równie ofiarnie może podejmować wysiłki dla samego tworzenia, rozwiązywania problemów, dla samej idei. I mniej zraża się, gdy nie znajduje uznania wśród ludzi. Te różnice w motywacji można za autorką *Kontaktu* streścić w całościowym aforyzmie: „Sercem mężczyzny są sprawy świata, światem kobiety są sprawy serca”. Światem kobiety nie tylko są „sprawy własnego serca”, ale i ten ogarnięty jej sercem bardzo realny świat jej macierzyństwa i codzienne troski o męża, o najmłodsze dziecko i wszystkie dzieci, i organizowanie domu. One wymagają od kobiety poczucia realizmu, a nawet drobiazgowości i pedantyzmu, który może razić „szeroką” głowę mężczyzny, męża. Otóż ten „zawężony świat” kobiety winni zrozumieć i uszanować mężczyźni także i dla swego dobra. Prawda, że z innym nastawieniem kobiet szybciej odbywałaby się sprzedaż towarów przy kioskach i stoiskach, ale świat męski miałby znacznie większe kłopoty ze skarpetami w domu

i kanapkami w podróżach, na wycieczkach i pielgrzymkach. W tych i w wielu innych sytuacjach świat męski może odczuć wartość spostrzegawczości i zapobiegliwości rodzaju żeńskiego.

I jeszcze jedną ważną i doniosłą cechę dostrzegamy za dr Sujak w świecie kobiet: to ich żywsza, choć uczuciowa religijność. Kobieta ze swoją wrażliwością bardziej niż mężczyzna przeżywa rozczarowania miłością i małżeństwem, niosącym wiele trudów, obowiązków i ofiar – i samym mężem, który często okazuje się daleki nawet od tego, jakim okazywał się w czasie „chodzenia”. Gdy przed małżeństwem widziała w nim wady, sądziła w swej szlachetnej naiwności, że go poprawi, zmieni. A tymczasem – ta zmiana nastąpiła, ale... na gorsze; i przychodzi wtedy smutna fala rezygnacji i zawodu. Wówczas mądra chrześcijanka uświadamia sobie, że trzeba męża kochać „mimo wszystko”. I wtedy natrafia na wzór takiej miłości w Bogu, który kocha ludzi mimo ich niedoskonałości i grzechów.

Dodajmy jeszcze i to, że kobieta bardziej niż mężczyzna przeżywa niedosyt najbardziej głębokiej i szlachetnej miłości ludzkiej. Z niepokojem odkrywa, że ta miłość, której zawierzyła i oddała się w małżeństwie, ma „dno”; a jej serce pozostaje nienasycone, głodne – jeszcze mu czegoś brakuje, a więc podnosi to „dno” i pod nim odkrywa otchłań miłości – miłość nieskończoną, a to jest już miłość Boża. I wtedy przeżywa radosne odkrycie, którego dokonał wielki mężczyzna, św. Augustyn, który po próżnych próbach nasycenia serca w miłości ludzkiej, powiedział sobie i innym: „Stworzyłeś nas, Boże, dla siebie i niespokojne jest serce moje, aż nie spocznie w Tobie”.

Na zakończenie niewyczerpanych rozważań na ten temat, warto chwilę zastanowić się jeszcze nad pytaniem, jakie stanowisko zająć wobec tych i innych róż-

nic płci w wychowaniu i samowychowaniu? Niwelować je, zacierać? Czy akceptować i udoskonalać? Poczynając bowiem od ruchu emencypantek, poprzez walkę o równość społeczną kobiet przewijał się prąd, spotęgowany po ostatniej wojnie, zmierzający do wyrównania różnic dzielących świat męski i kobiecy. Wyrazem tego było masowe upodobnienie się w stroju, wygładzie (włosy) i zachowaniu obu płci. Ale te zmienione zewnętrzne formy wpływają na stronę wewnętrzną na psychikę: kobiety stają się bardziej męskie, a mężczyźni ulegają pewnej zniewieściałości. Otóż to zjawisko pedagodzy oceniają krytycznie. W ślad za tym obserwują bowiem zubożenie niebagatelnych dla kultury erotycznej i ogólnej elementów wzajemnej atrakcji i kolorystyki życia ludzkiego; co więcej, uleganie tej fali może w ogóle skrzywić i wypaczyć nawet istotne komponenty życia płciowego – np. instynkt opiekuńczy i macierzyński kobiety, zubożyć jej ofiarność, u mężczyzny prowadzić do zaniku cech i postaw ojcowskich. Prawdziwy mężczyzna zawsze będzie bardziej wrażliwy na uzupełniające go cechy kobiece, a kobietę bardziej zaintrygują cechy męskie. Prościej mówiąc: dziewczęta nie lubią zniewieściałych chłopców, a mężczyźni w gruncie rzeczy nie lubią „chłopczy” i „kumpelek”, rzadko wybierają sobie żony z tego kręgu.

Najwięcej skorzysta miłość małżeńska, jeżeli obie strony będą rozumiały, udoskonalały i uszlachetniały naturalne cechy swojej płci i nawzajem nimi się obdarowywały, tworząc harmonijną wspólnotę.

Synteza tych rozważań mogą być głębokie słowa z dziełka na poły francuskiego i arabskiego filozofa, Rene Habachi pt. *U źródeł człowieczeństwa*: „Tak więc kobieta, zwracając się ku mężczyźnie, pragnie mu ofiarować siebie i dąży do macierzyństwa; mężczyzna zwraca się ku kobiecie, aby skuteczniej zwyciężyć

świat i samego siebie...Tak więc ich uzupełniające powołania nabierają pełni znaczenia tylko w dialogu, w którego toku obydwójce, jedno dzięki drugiemu, mogą coraz bardziej stawać się sobą”(s. 94).



## WSPÓŁCZESNE MITY O EROSIE I SEKSIE

Nie tylko młodzież, lecz nawet wychowawcy i duszpasterze często nie zdają sobie sprawy, jak doniosły wpływ na kształtowanie się moralności jednostek i społeczeństwa mają pewne obiegowe hasła, powiedzonka i slogany, bezkrytycznie przyjmowane z depozytu rzekomej mądrości życiowej, a w gruncie rzeczy z suterren podkultury. W naszej publicystyce moralnej nazwano te slogany „m i t a m i”. Takie „mity” – zwłaszcza w rówieśniczych kręgach młodzieży – deprecjonują i przesłaniają nie tylko zasady etyki ewangelicznej, lecz często wszelkie normy moralne. Toteż ludzie, którzy chcą pracować nad ukształtowaniem swojej etycznej osobowości, a szczególnie ci, którzy mają ją kształtować u drugich, powinni takie „mity” tropić i demaskować, ukazując ich fałszywość i szkodliwość.

Dotyczy to również, a może przede wszystkim, tej tak ważnej dziedziny życia, jaką jest spotkanie się płci i miłość erotyczna. Jeśli przejawia się tu tyle niepokojących zjawisk, to w dużym stopniu stało się tak pod wpływem obiegu haseł – mitów, które młodzież sobie bezkrytycznie przyswaja i kieruje się nimi na

co dzień, nie negując nawet wielkich zasad etycznych na niedziele, rekolekcje i święta.

Wystawmy więc pod światło prawdy choć niektóre z tych współczesnych „mitów” na obszarze erosa i seksu.

1. „Czystość (czyli opanowanie popędu seksualnego) w moim wieku niemożliwa... To silniejsze ode mnie. Mam taki temperament...” Przypomnijmy więc jeszcze raz choćby uwagi prof. S. Gerstmana z książki: *Uczucia w naszym życiu* (s. 76): „Ludzie różnią się od zwierząt między innymi i tym, że mogą kierować swoimi emocjami w bardzo szerokim zakresie... Nie przewyciężony jeszcze całkowicie obraz człowieka jako niewolnika instynktów, popędów i potrzeb, i związanych z nimi emocji powinien być wreszcie usunięty sprzed naszych oczu... Tym bardziej, że konsekwencje tego odbijają się w postaci wypaczonego obrazu naszej osobowości...” A dr V. Frankl (*Homo patiens*, s. 33) pisze: „Człowiek nie jest istotą napędzaną popędami, lecz pociągana wartościami”. I setki tysięcy ludzi swoim życiem świadczą o możliwości panowania nad popędem seksualnym...

2. „Opanowanie (czystość – wstrzemięźliwość) – sprowadza schorzenia”.

Otóż zdrowie fizyczne nie jest najwyższą wartością i musi być nieraz poświęcone dla wyższych wartości (dobro społeczne, poświęcenie lekarzy, żołnierzy itd). Ale czystość motywowana wyższymi celami, nie tylko nie prowadzi do schorzeń, lecz jest gwarancją i warunkiem prawidłowego rozwoju osobowości psychicznej człowieka. Dr Majda w książce pod tytułem *Wychowanie seksualne dzieci i młodzieży* (Warszawa, PZWS, 1964) pisze: „Utrzymuje się, że wstrzemięźliwość prowadzi do nerwic i psychonerwic. Pogląd ten jest zgoła błędny”. Natomiast warto wiedzieć, co się dzieje pod tym względem po drugiej stronie bariery:

„Jako konsekwencje swobody seksualnej występują: psychopatia, nieodpowiedzialność, niezdolność do wytrzymywania napięć i długotrwałego wysiłku, nieodjrzałość i inne wypaczenia charakteru”. (A. H. Masłowski, cyt. S. Garczyński, *Współżycie łatwe i trudne*, Iskry, 1966, s. 89). Dodajmy upokarzające choroby „W”, tragiczne AIDS, cierpienia moralne, wyrzuty sumienia i najgorsze zło – zabijanie miłości: grzech.

3. Wśród chłopców i mężczyzn pokutuje usprawiedliwienie: „Mam potrzeby seksualne i muszę je zaspokoić!”.

Psychologia potrzeb jest złożona. Są potrzeby, które istotnie muszą być zaspokajane dla zachowania życia (głód, pragnienie, potrzeba snu itp.), ale i te elementarne potrzeby mogą być opanowane, a nawet czasem – muszą (np. dieta, poświęcenie nocy dla chorego). Potrzeby seksualne należą jednak do innej kategorii i nie muszą i nie mogą być zaspokajane w sytuacji i czasie, kiedy „mam ochotę”; to nie jest bowiem sprawa rzędu wypicia szklanki wody, czy kieliszka wina; tu wchodzi w grę druga osoba ludzka (a nawet i trzecia!). A więc zaspokajanie „potrzeb” seksualnych musi się odbywać w zgodzie z prawami etyki i godności człowieka. Pożądania seksualne muszą być kontrolowane przez sumienie i opanowane przez wolę.

4. „Moje zachowanie w dziedzinie erotyki jest sprawą prywatną”. Wąskie widzenie! Wszystkie czyny – dobre i złe – mają i swoje wymiary społeczne, a szczególnie ta dziedzina, która jest tak ściśle związana ze zdrowiem fizycznym i psychicznym człowieka, z jakością moralną dzieci i rodziny. Wyniszczone fizycznie i psychicznie dziewczyny, nieodpowiedzialni chłopcy – to ciężary społeczeństwa, to często kandydaci do szpitali i więzień. A niechciane lub zabijane dzieci? – To wszystko wkracza w głąb spraw społecznych...

5. Wśród mężczyzn i chłopców jest rozpowszechnione hasło-mit prymitywnego samopotwierdzenia: „Muszę być męski. Chcę wykazać swoją męskość...”.

„Prawdziwa męskość wyraża się opanowaniem siebie i swoich popędów, a nie uleganiem im” (dr W. Półtawska). Marny to mężczyzna, który usiłuje użyć nawet fizycznej przewagi, aby kobietę pomniejszyć i sprowadzić do swojego poziomu. Wielki mężczyzna, prawdziwy mężczyzna ujrzy w kobiecie tajemniczą wielkość, która go onieśmiela i domaga się utrzymania dystansu. Męski, rycerski mężczyzna nie tylko nie wymusza uległości od dziewczyny, lecz odpowiedzialnie wspiera ją, chroni przed nią samą w chwili jej słabości czy naiwności, nie boi się nawet jej ewentualnej cynicznej reakcji.

6. „Miłość wszystko rozgrzesza”. Albo: „Jeżeli się kochamy, wszystko wolno...”. Najpierw – czy o miłości ta mowa? Raczej o pożądaniu. Bo autentyczna miłość wychodzi ku drugiej osobie ze szczerym hasłem: „Chcę dla ciebie dobra na zawsze”. I prawdziwa miłość jest cierpliwa – nie śpieszy do łóżka; śpieszy nie miłość, lecz pożądanie i namiętność. „A gdzie namiętność siedzi na tronie, tam rozum stoi za drzwiami”. Miłość nierozumna przestaje być miłością. A nawet: „Gdy eros (miłość erotyczna) staje się bogiem, staje się demonem” (S. C. Lewis, *Cztery miłości*, Pax, 1962, s. 13). Nikt i nic nie może rozgrzeszać poza Panem Bogiem. Miłość prawdziwa łączy się i łączyć się winna z Najwyższą Miłością i Jej się podporządkować. Miłość prawdziwa boi się grzechu i drugiego człowieka przed nim broni, bo grzech jest największym wrogiem miłości – rani ją albo i zabija – jest antymiłością...

7. „Jedna moralność! Zrównanie praw kobiety i mężczyzny”. Zgoda! Etyka ewangeliczna głosi to od czasu spotkania Jezusa z jawnogrzesznicą (J 8, 1-11).

Ale dlaczego niektóre kobiety domagają się równania w dół? Dlaczego nie podnoszenia się i podnoszenia innych w górę?...

8. Po stronie męskiej dość częsty „mit”: „To dowód miłości”; albo w formie szantażu: „Daj dowód miłości, bo pójdę do innej”...

Kto takich „dowodów” żąda lub je daje, ten daje dowód, że nie ma w nim miłości, bo brak tutaj nawet odpowiedzialności i szacunku. Toteż dr W. Półtawska radzi dziewczynie, by natychmiast wskazała drzwi takiej „sympatii”, bo w zasadzie już wiadomo, co kryje się za parawanem takiej „miłości”. W. Trobisch w książce *Którędy do małżeństwa* (s. 113) pisze: „Seks nie jest sprawdzianem miłości, gdyż miłość to rzecz, którą niszczy się przez samo sprawdzanie”.

9. Wśród dziewcząt można spotkać mit rozpaczliwej metody: zatrzymać chłopca uległością...

Fatalna droga! Obok niej – mnóstwo wraków życiowych. Wszyscy wychowawcy, odpowiedzialni lekarze i obserwatorzy życia zgodnie wiedzą i stwierdzają, że do inicjacji seksualnej dziewczyna imponuje i ma mocne atuty przewodzenia chłopcu: po inicjacji czar pryska, atrakcyjność maleje i często kobieta wchodzi w sytuację poddaństwa, a nawet wręcz upokorzeń i pogardy. Tym więcej, że „Don Juan zmienia się w brutala – sadystę”, jak pisze dr K. Starczewska w książce *Wzory miłości w kulturze zachodniej* (s. 211). I miłość obumiera. „Łatwość kobiet zmieniła świat w pustynię... Trzeba będzie zaczynać od zera, od jaskini...” (A. Rudnicki, *Niebieskie kartki*). Krótko: łatwość i uległość dziewcząt prowadzi do ruiny kultury erosa i do śmierci autentycznej miłości ze wszystkimi jej następstwami...

10. „Chcę być nowoczesny(a) i postępowy(a)”.

Co to znaczy „nowoczesny”? Każdy człowiek jest dzieckiem „swego czasu”, a więc „nowoczesny”, ale

istnieją wartości ponadczasowe, których nie wolno podeptać w żadnym czasie; wiara, godność, miłość, zasady etyczne – to rdzenne wartości kultury ludzkiej i chrześcijańskiej i one nie mogą ulegać przedawnieniu, deprecjacji czy odrzuceniu.

Człowiek powinien postępować słusznie i godnie w każdej epoce i w każdym czasie. I powinien być „postępowy” zawsze, ale... w górę; nie zaś – w dół. Prawdziwy postęp – to realizacja swego człowieczeństwa i doskonalenie współżycia z ludźmi.

11. Przed ślubem trzeba się „sprawdzić”, „wypróbować”?

Co „sprawdzić” – miłość do osoby, czy funkcjonowanie organów? Eksperymentowanie na osobie ludzkiej budzi odrazę. Ma tam miejsce degradacja osoby. A co zrobić z dzieckiem, które się pocznie z takiej „próby”?

12. „Trzeba poznać życie”?

Życie jest jedno! Nie da się go powtórzyć. I nie można jednocześnie żyć na dwóch poziomach; nie można równocześnie doświadczać dobra i zła cnoty i grzechu. Jeśli doświadczasz grzechu, możesz z niego już nie wybrnąć, możesz utonąć. Co za odpowiedzialność i szalone ryzyko! U chrześcijanina – co za brak zaufania i miłości do Ewangelii i Boga! Toteż chrześcijanin nie będzie powtarzał błędów i grzechów pierwszych ludzi (w symbolu spożywania owocu z drzewa wiadomości dobrego i złego), lecz wybiera sobie na podróż przez życie Kogoś, kto dobrze zna wszystkie jego ścieżki i meandry i Komu można w pełni zaufać. I za tym Przewodnikiem bez obawy zagubienia się idzie na szczyty człowieczeństwa ku PEŁNI ŻYCIA...

13. „Tak postępują wszyscy”?

To oczywista nieprawda. Sondaże socjologiczne wskazują, że mimo dużej depresji moralności, ok. 35% polskiej młodzieży nie narusza postawy czystości przedmałżeńskiej. W Stanach Zjednoczonych, w Ka-

nadzie, we Francji – więcej niż 50% dziewcząt przeżywa w czystości swój okres przedmałżeński (jaki wstyd dla katolickiej Polski!).

Ale gdyby nawet to twierdzenie było prawdziwe – przecież dojrzały człowiek nie może kierować instynktem stadowym, lecz własnym rozumem i sumieniem – niezależnie od postępowania innych, mody, propagandy.

14. Lęk przed epitetami: „nienowoczesna”, „zaczofana”, „kandydatka na starą pannę”, „święta” itp. Otóż człowiek rozumny i ukierunkowany na kształtowanie etycznej osobowości dąży do uwolnienia się i uniezależnienia od obiegowych sądów, opinii i dyktatury mody. („Co inni powiedzą?”, „Taka moda”). Natomiast stara się myśleć, oceniać i postępować zgodnie ze swoim sumieniem, kontrolowanym i regulowanym zasadami Ewangelii.

A chrześcijanin, idący za wskazaniem Ewangelii, musi być przygotowany nie tylko na epitety, lecz także i na prześladowania. „Mnie prześladowali i was prześladować będą” – mówił Jezus swoim uczniom.

Zresztą, czyż nie godniej zostać nawet „starą panną”, niż poniżyć się do wyprzedazy swojej godności i osobowości? Przy tym żadna wierząca w Boga panna nie powinna czuć się samotna, bo zawsze ma Ojca, Matkę, i liczne rodzeństwo w niebie – Agnieszki, Łucje, Cecylie, które czystością i krwią swoją poświadczyły swoją wierną miłość ku swemu niebieskiemu Oblubieńcowi i żyją w chwale...

15. „Co się zmieni po ślubie kościelnym, gdy my się kochamy i zamierzamy z sobą pozostać?”

Wiele się zmieni – a dla chrześcijan – bardzo wiele; bo chrześcijański ślub jest Sakramentem. Przez ślub kościelny (Sakrament) „wiążą się młodzi ze wspólnotą wiary, z Ciałem Chrystusa, do którego należą przez chrzest”, (A. Dheilly, *Miłość i sakrament*,

Pax, 1977, s. 51). Przez Sakrament łączą się małżonkowie z Bogiem, Wszech-potęgą i Wszech-miłością oraz ze Wspólnotą Kościoła, która będzie ich wspomagać w trudnych momentach. Przez Sakrament otrzymują prawo i pomoc Bożą do stawania się „jednym ciałem” na wszystkich poziomach życia. Pożycie przed Sakramentem jest przywłaszczeniem prawa, które jeszcze nie przysługuje – śmiertelnym grzechem cudzołóstwa.

16. Często spotykamy mit siły woli: „Mnie nic nie zaszkodzi, nic i nikt mnie nie zgorszy... Ja jestem pewny(a) siebie”?

To jest przesadna dufność w swoje siły, naiwność i infantylizm. Kto bowiem ma oczy otwarte, kto ma dość samokrytycyzmu, kto zna trochę literaturę, biografie i samego siebie – jednym słowem – kto jest dojrzały, ten wie, ile w człowieku słabości, kruchości i niewierności (choćby historia ze św. Piotrem!). Realnie słuszne są uwagi dr Hillard, ordynatora szpitala w Toronto: „Są okoliczności, gdy rozsądek i siły absolutnie zawodzą, kiedy odpowiedzialność chłopca i samoposzanie się kobiety ulegają rozprężeniu...” Toteż człowiek dojrzały i odpowiedzialny – niezależnie od opinii matki czy duszpasterza – będzie takich okoliczności zdecydowanie unikał (libacje alkoholowe, spotkanie się we dwoje na kawalerce, czy w mieszkaniu dziewczyny, autostop, wakacje pod jednym namiotem, wyjazdy we dwoje za granicę, wycieczki samochodowe itp.). Kto chce osiągnąć cel, musi przyjąć odpowiednie środki... Narażanie się na okazje jest już grzechem.

17. Jakie mamy kryteria od odkrywania, rozpoznawania i demaskowania podobnych mitów? Oczywiście – i prawa psychologii, i etyki, i doświadczenie życiowe, chociaż to ostatnie na krótkiej fali nie ujawni nigdy wszystkich następstw zła wypływającego z przy-



jęcia takiego mitu jako zasady postępowania. Dzieje i meandry grzechu są bardzo tajemnicze i często po długim czasie, a nawet w następnym pokoleniu rodzą swoje zatrute owoce.

Toteż dla chrześcijan głównym kryterium dobra i zła, prawdy i fałszu, zdrowia i choroby moralnej jest światło Ewangelii i nauka Kościoła: co z jej treścią, nakazami i wezwaniami jest zgodne – to jest dobre, słuszne i prawdziwe, a co sprzeczne, to na pewno złe, fałszywe i nieszczęśliwe, choćby nam się wydawało niejasne i nie uzasadnione, i choćby stu lekarzy i pisarzy mówiło inaczej. Jedynie bowiem Chrystus i Kościół dogłębnie wiedzą, co dobre, a co złe. I bezinteresownie przybliżają człowiekowi autentyczne dobro – zbawiają człowieka. Zaufanie Chrystusowi i Kościołowi to najwyższa mądrość życiowa i zbawienie człowieka, bo On jest „Drogą, Prawdą i Życiem” – Pełnią Życia...



## **SAKRAMENTALNY ZWIĄZEK MIŁOŚCI**

Kto przeczytał tytuł, już wie, że będzie tu mowa o małżeństwie i rodzinie, a głównie o małżeństwie jako substrukturze rodziny. Bo dobre małżeństwo – to rzeczywiście związek miłości – to kolebka, szkoła i niejako stop różnych postaci miłości: i miłości fundamentalnej, i erotycznej, i miłości przyjaźni, i przywiązania, i miłości rodzicielskiej, i miłości Boga, i Ojczyzny.

A ponieważ miłość jest najwyższą wartością moralną i indywidualną i społeczną, to na związek małżeński należy patrzeć jako na najcenniejszą instytucję społeczną, której należy poświęcać jak najwięcej uwagi, szacunku i troski.

Na związek małżeński i rodzinę można patrzeć z różnych stron: od strony Boga (aspekt teologiczny), od strony człowieka (aspekt psychologiczno-etyczny), z punktu widzenia prawnego i liturgicznego. Wszystkie aspekty są interesujące i doniosłe, a nieskażona wiedza o tym – choćby w elementarnym zakresie – winna wejść w program przygotowania młodzieży do życia w małżeństwie i rodzinie.

W tym rozważaniu spójrzmy na związek małżeński z najwyższego punktu widzenia – w świetle myśli i planów Stwórcy (aspekt technologiczny). Dla ludzi

wierzących w Boga Osobowego nie ulega żadnej wątpliwości, iż związek małżeński jest instytucją ukonstytuowaną przez Boga. Już zauważenie fizjologicznych i psychologicznych komponentów, tak mądrze zestrojonych w naturze ludzkiej, jak podział na płcie, wzajemne przyciąganie, budzenie się pierwszych przejawów miłości, kształtowanie się instynktu rodzicielskiego prowadzą myślących ludzi do przekonania, że te czynniki i zjawiska nie mogły być produktem ślepych sił przyrody, lecz są dziełem nadgenialnej Inteligencji i Miłości. Sam akt pożycia małżeńskiego stanowi coś wielkiego i tajemniczego, co u ludzi poważnych budzi szacunek przed tajemniczą potęgą i jej aktualizacją, i jej owocem – poczętym człowiekiem.

Nic też dziwnego, że niektóre pierwotne ludy w odczuciu wielkiej tajemnicy okrywały tę dziedzinę zasłoną tabu i prawie wszystkie ludy inicjację małżeńską otaczały uroczystymi obrzędami o charakterze sakralnym. Widziały w niej tajemniczą świętość. I zastanawiające, że pierwotną i zasadniczą formą małżeństwa była monogamia. Dopiero u Izraelitów dla „twardego karku” swego ludu Mojżesz dopuścił rozwody.

Potwierdzenie i wyjaśnienie tych przeczuć i intuicji znajdujemy już w I Księdze Objawienia Bożego. Odczytujemy tam zwięzłe orędzie Boże, wyrażone ludzkimi ubogimi słowami: „Nie jest dobrze, by mężczyzna był sam; uczynię mu zatem odpowiednią dla niego pomoc” (Rdz 2, 18). I natchniony autor Księgi Genesis w plastycznej alegorii przedstawia obraz stworzenia pierwszej kobiety z żebra mężczyzny. Ten obraz wyraża prawdę, że mężczyzna i niewiasta są tej samej natury i pochodzenia (ani wyższy, ani niższy) i są powołani do monogamicznego małżeństwa. W tej samej Księdze znajdujemy i inne równie proste, zwięzłe i znamienne słowa: „Dlatego to mężczyzna

opuszcza ojca swego i matkę swoją, i łączy się ze swą żoną tak ściśle, że stają się jednym ciałem” (Rdz 2, 24).

Oto jest jasny zarys myśli i planów Bożych wobec małżeństwa – jego podstawowa teologia i konstytucja. Dojrzały fizycznie i psychicznie człowiek gna opuścić swoich rodziców; ma połączyć się ze swoją wybraną i swoim wybranym i stać się jednym ciałem w jak najgłębszym znaczeniu tego słowa. Mają stać się jakby jedną naturą w dwóch osobach; mają stać się jedną fizyczną i duchową, nie tracąc nic ze swej osobowości, a nawet ją wzbogacając. U chrześcijan słowa te kojarzą się z tajemniczą Jednią trzech Osób Boskich w jednej naturze. I w istocie, tutaj jawi się nam idealny model międzyosobowego związku, idealny model małżeństwa.

Ale nabierze on wyrazistości dopiero w Nowym Testamencie. Wpierw nastąpi jego zaciemnienie nawet wśród ludu wybranego przez poniżające godność kobiety wielożeństwo, które wdarło się do Izraela przez silne wpływy ościennych ludów pogańskich. Mojżesz pod ciśnieniem barbarii zaakceptował to wynaturzenie i dopuścił rozwody.

W Nowym Testamencie Jezus przywraca godność i czystość związku małżeńskiego. Uświęca ucztę weselną w Kanie Galilejskiej swoją obecnością i co znamienne – tutaj czyni pierwszy cud, przemieniając wodę w wino, chociaż ten brak napoju nie należał do potrzeb pierwszorzędnych. Jezus zdecydowanie przywraca pierwotną monogamię i nierozzerwalność małżeństwa, czyniąc z tego nienaruszalne prawo.

Gdy faryzeusze zapytali Go, czy wolno oddać swą żonę z jakiego bądź powodu, On odpowiedział: „Czy nie czytaliście, że Stwórca na początku stworzył mężczyznę i kobietę? I rzekł: Dlatego opuści człowiek i ojca i matkę i złączy się ze swoją żoną i będą oboje jednym ciałem... Co więc Bóg złączył, człowiek niech nie

rozdziela” (Mt 19, 3-6). A gdy wspomnieli o pozwoleniu Mojżesza na rozwody, Jezus odparł jasno: „Przez wzgląd na zatwardziałość waszych serc Mojżesz pozwolił wam oddalać wasze żony; lecz od początku tak nie było” (Mt 19, 8).

Ponieważ ten wyrok wydał się nawet uczniom za twardy, zapytali Go jeszcze o to na osobności, a Jezus bez żadnych zastrzeżeń i nieodomówień im odpowiada: „Kto by oddalił swą żonę i pojął inną, popełnia cudzołóstwo względem niej. I gdy żona opuściwszy swego męża, wyszła za innego, popełnia cudzołóstwo” (Mk 10, 11).

Oto podstawowa konstytucja chrześcijańskiego związku małżeńskiego. Potwierdzenie pierwotnych zasad Starego Testamentu: Człowiek opuszcza rodziców, łączy się w jednej parze i oboje stają się jednym ciałem, aż do zgonu jednego z małżonków. Jezus podkreśla monogamię i nierozzerwalność związku małżeńskiego.

Dla konsekwentnych chrześcijan dyrektywy i nakazy Chrystusa i Jego Apostołów są miarodajne i niepodważalne. Ale w kryzysowych i naprawdę dramatycznych sytuacjach i ci mogą wewnątrz siebie się burzyć i pytać o sens tego surowego prawa nierozzerwalności związku małżeńskiego i niedopuszczalności rozwodów. Otóż wtedy znów trzeba przypomnieć, że wszystkie dyrektywy i nakazy Boga i Chrystusa, przekazywane przez Kościół, mają jeden zasadniczy sens i cel: maksymalne zabezpieczenie i rozwój miłości. I tak jest z prawem nierozzerwalności ważnego sakramentalnego związku małżeńskiego. Czy możemy to sprawdzić w życiu? Można, ale nigdy do końca, bo nie jesteśmy w stanie zgłębić do dna myśli i racji Bożych prowadzących do tego celu.

Zastanawiające, że cytowany przez nas E. Fromm widzi racjonalne uzasadnienie nierozzerwalności mał-

żeństwa w samej „dobrze rozumianej miłości” (*O sztuce miłości*, s. 69).

Świadomość nierozzerwalności małżeństwa zobowiązuje do odpowiedzialnego traktowania swojej decyzji, swego partnera i swojej miłości. Ta świadomość mobilizuje oboje małżonków do przewycięzania konfliktów i wyzwala sił dośrodkowych, zacieśniających małżeńskie więzi. Ustala kierunek i prawidłową orientację na postęp i rozwój miłości małżeńskiej: nie oglądać się wstecz ani w dół, ani na prawo, ani na lewo, lecz tylko w GÓRĘ!

Trwałości związku małżeńskiego wymaga dobro dzieci. Ogromna większość wykolejonych dzieci – to istoty pochodzące z rozdartych małżeństw. Każdy wolny od demagogii człowiek przyznać musi, że rodziny niosą z sobą bezmiar dramatów i nieszczęść.

Oczywiście, ludzie przeżywający bolesne konflikty w swoich małżeństwach i rodzinach w pewnych sytuacjach bez przesady mogą wołać w rozpacz: „Czy nie lepiej się rozejść? Czyż nie lepiej i dla dzieci, gdy odejdzie od nich ojciec-pijak, budzący zgorszenie i lęk?!”. Otóż i tę stronę życia widział i widzi Boski Prawodawca i Jego Kościół. I w ostateczności dopuszcza tzw. separację, czyli rozejście się czasowe lub trwałe małżonków, ale pozostają oni nadal małżonkami, nie mogą zawrzeć nowego związku małżeńskiego, wiąże ich nadal przysięga małżeńska.

Ewangeliczną naukę o małżeństwie rozwinął św. Paweł w liście do Efezjan (Ef 5,22-28). Autor listu przyrównuje chrześcijański związek małżeński do związku Chrystusa z Kościołem. Chrystus jest Głową i Oblubieńcem Kościoła, a Kościół Oblubienicą Chrystusa. Chrystus kocha Kościół miłością wierną i nieskończoną. I oczekuje uległej miłości od Kościoła. W tym porównaniu Apostoł wzywa, aby żony miłującym mężom odpowiadały oddaną miłością. Ale

żeby mężowie nie zrozumieli tej analogii jako prawa do dominacji nad żonami, woła do nich: „Mężowie, miłujcie żony, bo i Chrystus umiłował Kościół i wydał za niego samego siebie, aby go uświęcić” (Ef 5,25). Ta teologia małżeństwa – w ujęciu św. Pawła – jasno ukazuje, że chrześcijański związek małżeński to więcej niż umowa, niż ślubowanie, niż najwspanialszy obrzęd: jest to związek sakralny, święty, a więc sakramentalny, po prostu SAKRAMENT. Należy on od czasów apostołskich do rzędu siedmiu świętych sakramentów. A więc podobnie jak inne sakramenty jest znakiem widzialnym, przez który przyjmujący go ważnie i godziwie otrzymują pomnożenie łaski uświęcającej i liczne inne łaski, dary i pomoce do wypełnienia zadań małżeńskich i rodzicielskich.

Znakiem sakramentalnym małżeństwa jest osobowy, wyrażony w wolny sposób akt zgody (przysięga małżeńska), przez który małżonkowie wzajemnie się sobie oddają i siebie przyjmują (Sobór Watykański II, KDK 48). Tak więc sakramentu udzielają sobie małżonkowie wzajemnie sami. Kapłan, jako oficjalny przedstawiciel Kościoła, przyjmuje wyraz zgody małżeńskiej, zawarte małżeństwo potwierdza powagą Kościoła i błogosławi je.

Przez każdy sakrament, a więc i przez sakrament małżeństwa, przychodzi z łaską sam jej Dawca, Jezus. Przychodzi i staje się niewyczerpanym Źródłem miłości i Opiekunem tej podstawowej komórki i kolebki życia rodzinnego i społecznego w Kościele, Jego Oblubienicy. Przychodzi, aby w sytuacjach krytycznych i trudnych, nieść małżonkom pomoc, aby na prośbę przemieniać wodę obojętności i przygnębienia w wyborne wino odrodzonej miłości.

Sakrament małżeństwa jest darem trwałym; nie kończy się jego rola z końcem obrzędu, lecz trwa zawsze, aż do śmierci. Można by przez analogię powie-



dzieć, że Jezus nie tylko był na weselu nowożeńców, lecz pozostaje z nimi i w dniach smutków, przygnębienia i kryzysów, i zawsze gotów na prośbę ponawiać ten cud z Kany Galilejskiej. Chrześcijańscy małżonkowie n i g d y n i e s ą s a m o t n i czy opuszczeni; zawsze przez trwający sakrament mają wśród siebie Przyjaciela i Ojca, Wszechpotęgę i Wszechmiłość, jednak trzeba przy tym zawsze pamiętać, że w dziedzinie religii i moralności nic nie dzieje się mechanicznie. Bóg ani siebie, ani swych łask – darów nie narzuca człowiekowi. „Pan Bóg nic nie narzuca, lecz wszystko otwiera i człowiek z Boga tyle, ile chce, zabiera” – napisał A. Mickiewicz; i to jest prawda teologiczna.

Wartości moralne – wszystkie postacie miłości – a więc i wyposażenie na drogę małżeństwa dane są nam niejako w formie nasion, załączków. Zadaniem człowieka jest ochraniać je, uprawiać i rozwijać przy użyciu wszystkich sił naturalnych i nadprzyrodzonych; każdy powinien pomnażać „talenty”, a przede wszystkim mieć w sercu, pamiętać i przyjmować z radością Dawcę tych darów i Jego mądre, pełne troski dyrektywy. Mniej pytać: „Dlaczego?” „Po co?”. Odrzucić ciasną arogancję: „Z tym się nie zgadzam! To mi nie odpowiada. To nieżyciowe!” A więc u f a ć, zawierzać, pracować, walczyć, modlić się, radzić się i oddawać dobrej i kochającej woli Pana, który czeka tylko na dobrą wolę człowieka, aby mu nieść pomoc i dać zwycięstwo. I w tej, tak decydującej o naszym szczęściu dziedzinie z Bogiem i Jego pomocą, jesteśmy w stanie przekraczać granice ludzkich możliwości.

Ale realnie oceniając sytuację religijno-moralną naszych małżeństw i rodzin, należy z ubolewaniem stwierdzić, że tylko niewielki ich odsetek wykorzystuje te skarby, te Boże „posagi” i te szanse w drodze

do ideału chrześcijańskiego małżeństwa i rodziny. I tym należy tłumaczyć, dlaczego tyle sakramentalnych małżeństw przeżywa dramatyczne rozdarcia związku miłości i dlaczego tak wiele tych małżeństw nie różni się w życiu od małżeństw laickich czy ateistycznych. Mamy wiele do przemyślenia, a jeszcze więcej do zrobienia...

## MIŁOŚĆ MAŁŻEŃSKA WEDŁUG ENCYKLIKI *HUMANAE VITAE*

Jeżeli nie skądinąd, to już z pierwszych naszych rozważań w tej książce wiedzieć winniśmy, że na uprawionym podłożu miłości fundamentalnej (widzenie wartości, szacunek, życzliwość, troska, odpowiedzialność, dawanie i służba) wyrastają różne inne postaci miłości ludzkiej. Do nich należy także miłość małżeńska.

Jej specyficzne cechy wymienia i zwięźle omawia najdonioślejszy dokument kościelny naszych czasów o małżeństwie: Encyklika (tj. jakby okólny list papieski do wszystkich ludzi dobrej woli) pod nazwą *Humanae vitae* (nazwa od początkowych słów łacińskich listu), ogłoszona przez papieża Pawła VI w dniu 25 VII 1968r.

Dokument ten w sposób jasny i jednoznaczny, w duchu Ewangelii i współczesnej humanistycznej wiedzy, przypomniał i zsyntetyzował zasady miłości i etyki chrześcijańskiej w życiu małżeńskim.

Ojciec święty po przypomnieniu czytelnikom kompetencji i dogłębnego zainteresowania Kościoła instytucją małżeństwa podkreśla, że tak miłość małżeńska, jak i sama instytucja małżeństwa, mają swój początek i źródło w Bogu. Miłość małżeńska odzna-

cza się charakterystycznymi cechami, których poznanie i rozumienie jest rzeczą najwyższej wagi.

A oto one:

1. Jest to miłość przede wszystkim na wskroś ludzka, a więc zarazem zmysłowa i duchowa. Ponieważ człowiek jest jednością ducha i ciała, oba pierwiastki mają udział w tej miłości. Czy to nie abstrakcyjne i banalne stwierdzenie? Otóż wcale nie. Były bowiem teorie i byli ludzie, którzy ciało deprecjonowali, a nawet nim pogardzali i każdy cielesny, zmysłowy wyraz miłości uważali za poniżenie godności ludzkiej, wprost za grzech; w ślad za tym twierdzili, że tylko miłość duchowa jest godna człowieka. Takie poglądy głosili manichejczycy (III w.), a pod ich wpływem i niektórzy chrześcijanie. Ludzie naszych czasów znajdują się znów pod wpływem teorii Freuda, który sprowadzał życie człowieka do gry deterministycznych sił emocjonalno-popędowych, a miłość tylko do przeżyć seksualnych i zmysłowych. Nie odmawiając mu pewnych osiągnięć w dziedzinie psychologii głębi, późniejsi badacze natury człowieka i miłości poddali surowej krytyce i istotnym korektom poglądy Freuda (Adler, Jung, Fromm, Frankl). Teoria Freuda ciąży nad poglądami i postawami wielu ludzi, nawet i chrześcijan. Daje się wiarę hasłom o niemożności opanowania seksu, co w konsekwencji, jak pisze S. Garczyński: „redukuje człowieka do stanu marionetki w teatrze kukiełek i po prostu czyni jego miłość niehumanitarną”. W sumie mamy do czynienia z poglądem jeszcze bardziej odczłowieczonym niż poglądy manichejczyków.

Papież podkreśla, że miłość małżeńska musi być ludzka: i duchowa, i zmysłowa – z tym, że zmysły i ich porywy muszą być podporządkowane rozumowi, woli i sumieniu kształtowanemu przez zasady etyczne. Ludzie mogą i powinni przeżywać w miłości mał-

żeńskie radość, uniesienia i fascynacje. Tylko muszą zachować godność ludzką, prawa etyki i poszanowanie specyficznej wrażliwości i odczuć drugiego człowieka, bo poddanie go własnemu wyżywaniu się i egoizmowi niszczy samą miłość. A chodzi o to, by przez swą miłość małżonkowie stawali się coraz bardziej niejako jednym sercem i jedną duszą, i razem osiągnęli doskonałość.

2. Drugą cechę małżeńskiej miłości stanowi jej pełnia. Papież wyjaśnia, że ma na myśli „szczególną formę przyjaźni, przez którą małżonkowie wielkodusznie dzielą między sobą wszystko bez niesprawiedliwych wyjątków i egoistycznych rachub”. Miłość pełna obejmuje ducha i ciało małżonka, jego zdrowe i obolałe strony, jego teraźniejszość i przyszłość. Przekracza granice wymiany usług, podziału pracy i „sprawiedliwych umów”: „Ile ty, tyle ja – ty będziesz robił to, a ja to. Ty będziesz przy kuchni, a ja będę dbał o węgiel, ty będziesz prała pieluchy, a ja będę trzepał dywany” itp. To prawda, że i takie umowy w niektórych małżeństwach są marzeniem w atmosferze egoizmu i gruboskórnego wyzysku osoby bardziej wrażliwej i ofiarnej.... Ale przecież umowy i podziały prac – to na pewno nie miłość pełna.

W miłości pełnej człowiek nie ogląda się, co za to dostanie w zamian, czy będzie nawet zrozumiany i zauważony. Mąż i żona, kochający się pełną miłością, przestają widzieć granice „sprawiedliwych” podziałów, zastępują siebie, w czym mogą; starają się dać z siebie, co mają – bez skarg i narzekania – owszem, z radością, że mogą sprawić radość drugiemu, że mogą go ubogacić darem z samego siebie. Właśnie to jest szczyt miłości, gdy ktoś całego siebie daje, jak Chrystus, który „wydał samego siebie za nas” (Tt 2, 14). Jak uczył św. Paweł: „miłość cierpliwa jest... Nie szuka swego... wszystko znosi, wszystko wytrzyma...” (I Kor 13, 7).

3. Miłość małżeńska winna być wierna i wyłączna. Absolutnie wierna jest miłość Boża. Ale i miłość ludzka – szczególnie ta fundamentalna – nosi w sobie odblask wierności Bożej, gdyż kocha nie ze względu na wartości i cechy przygodne i zmienne, lecz ze względu na samą wartość człowieka jako osoby. Tą miłością człowiek kocha nie tylko dlatego, że ktoś jest piękny, miły i sympatyczny, lecz dlatego, że jest stworzony przez Boga, odkupiony przez Chrystusa i przez Niego zawsze kochany.

Także autentyczna miłość erotyczna nastawia się na „zawsze”, a więc – na wierność. Romantyczni pisarze i poeci opiewali wierność miłości erotycznej. A ponieważ nie mogli nie dostrzegać, że ta miłość należy do najbardziej „śmiertelnych”, ukazywali bohaterów, dla których umiłowana osoba była droższa niż życie.

Młodzi, stając na ślubnym kobiercu, widzą i przeżywają swoją miłość jako wierną „na zawsze” i na taką miłość składają przysięgę. Słusznie odczuwają, że ta przysięga będzie wsparciem dla naturalnych dążeń miłości i pomocą dla ich słabości. Jednym słowem – dobrowolnie i rozumnie ubezpieczają swoją miłość i wierność.

W Encyklice Papież mówi, że wierność była i będzie dla małżonków źródłem, z którego płynie głębokie i trwałe szczęście. I rzeczywiście, któż nie doświadczył i nie przeżył błogosławieństw życiowych tej cnoty! Jakże podtrzymuje nas na duchu! Ile dodaje optymizmu i sił w największych trudnościach świadomość, że wśród tylu zawodów, nie dotrzymywanych obietnic i przyrzeczeń, wśród chwiejności serc, mamy kogoś, na kim można się oprzeć, komu można zaufać, kto z nami wiernie będzie dzielił nasz los! Wierność – to fundament do budowy domu dobra i szczęścia. Więzi z nią nie nawiązuje się co pewien czas od nowa.

W wierności trwa się, rozbudowując i ubogacając dom życia małżeńskiego i rodzinnego.

Przed kilku laty błogosławiłem związek małżeński w jednym z kościołów wrocławskich. Wygłosiłem homilię o doniosłym znaczeniu wierności i wezwałem nupturientów, aby z wyrazistą intencją złożyli przed Bogiem i Kościołem przysięgę wierności małżeńskiej. Nowożeńcy wzięli moje wezwanie dosłownie i głosem zdecydowanym i pewnym wyskandowali rotę przysięgi, kończącą się słowami: „oraz to, że cię nie opuszczę aż do śmierci – tak mi dopomóż, Panie Boże Wszchemogący, w Trójcy Jedyny i wszyscy święci...”. Nastąpiła chwila ciszy. Wszyscy byliśmy wzruszeni... Po obrzędzie wchodzi do zakrystii pan, w średnim wieku, z bujną strzechą szpakowatych już włosów, z twarzą naznaczoną inteligencją, i przedstawia mi się mówiąc: „Jestem lekarzem i Żydem. Pierwszy raz w życiu uczestniczyłem w ceremonii ślubu kościelnego. I jestem wstrząśnięty tym, co usłyszałem. Jakbym usłyszał głos Jahwe z piorunów i błyskawic na Synaju. To był głos majestatu i siły, i czegoś, co buduje się na zawsze. Gratuluję Kościołowi, księdzu i nowożeńcom takiego ustawienia małżeństwa. W takim związku można być szczęśliwym...”. Pomyślałem: „Mój Boże, ten człowiek, wychowany poza kręgiem naszej religii, tyle usłyszał i dostrzegł w naszym Sakramencie, a chrześcijanie są zbyt często głusi i ślepi na jego głębię, moc i piękno, a nierzadko lekceważą i traktują go jak jakiś ludzki konwenans”...

Encyklika obok cechy wierności małżeńskiej stawia cechę wyłączności. Ta cecha zawiera się już w samej naturze miłości erotycznej. Już stwierdziliśmy, omawiając stronę psychologiczną miłości erotycznej, że jest ona z natury wyłączna. Ale wyłączność jest też konsekwencją wierności. Miłość małżeńska wierna wyłącza wszystkie inne osoby z tego obszaru. I wła-

śnie ta cecha miłości małżeńskiej ubezpiecza jedność i nierozzerwalność małżeństwa; doniosły to wkład w budowę stabilnego domu dla dzieci i w rozwój niezliczonych wartości boskich i ludzkich w rodzinie.

4. I wreszcie do istotnych cech miłości małżeńskiej zalicza Encyklika jej płodność. Miłość małżeńska powinna być płodna – to znaczy rodzić i przynosić owoce. Według Fromma każda postać autentycznej miłości staje się w jakiś sposób płodna. Szczególnie w aktach dawania. Autor książki *O sztuce miłości* pisze: „W akcie dawania coś się rodzi. Rodzą się nowe wartości, nowe energie, nowe idee, nowa miłość”. Toteż nie waha się nazywać miłości „siłą twórczą, produktywną”. Gdzie brak tych cech, tam brak prawdziwej miłości. Ze szczególnym bogactwem występuje ta twórcza energia w miłości małżeńskiej. Małżeństwo nie tylko jest źródłem różnych postaci i form miłości, lecz także i kolebką nowego człowieka.

O takiej płodności mówi Encyklika. Czytamy w niej: „Miłość nie wyczerpuje się we wspólnocie małżonków, ale zmierza również ku swemu przedłużeniu i wzbudzeniu nowego życia”. Encyklika cytuje też sformułowanie ostatniego Soboru: „Małżeństwo i miłość małżeńska z natury skierowane są ku rodzeniu i wychowaniu potomstwa. Dzieci też są najcenniejszym darem małżeństwa”.



## **PŁODNA MIŁOŚĆ I ODPOWIEDZIALNE RODZICIELSTWO**

Każda prawdziwa miłość jest płodna. Ale i każda prawdziwa miłość jest odpowiedzialna. Stwórca kieruje do pierwszych rodziców wezwanie: „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się” (Rdz 1,2b). I daje wzór swojej nieogarnionej hojności w rodzeniu życia.

Któż z widzających i myślących ludzi nie przeżywa co roku radosnych godów życia na wiosnę! Któż nie wzrusza się na widok sadów, ogrodów i łąk, obsypanych różnobarwnym kwieciami, w którym powstają zawiązki owoców, zawierających już ziarenka nowego życia.

Pan Jezus w swoich przypowieściach nawiązuje do płodności ziaren, drzew, zbóż. Przeklina figę, na której nie znalazł owoców (Mk 11, 12). Ale mając przed oczyma ten obraz urodzaju życia, winniśmy równocześnie uświadomić sobie fakt, że nie pod wszystkimi koronami kwiatów powstają zawiązki owoców. Gdyby wszystkie kwiaty wydawały owoce, drzewa nie utrzymałyby ich ciężaru. A więc natura ukierunkowana przez Boga sama w zasadzie reguluje swoją płodność.

Można by w tym odczytać wezwanie Stwórcy, skierowane do małżonków: Bądźcie hojni w płodności, ale bądźcie też rozumnie odpowiedzialni.

Zasady i prawa odpowiedzialnego rodzicielstwa omawia już znana nam encyklika *Humanae vitae*. Ojciec św. Paweł VI wzywa małżonków do wielkoduszności i hojności w liczbie potomstwa, ale widzi także rzeczywiste obiektywne i wielkie trudności w niektórych rodzinach w zrodzeniu i wychowaniu większej liczby dzieci. Oczywiście, określenie trudności „obiektywnych” nie należy do rzeczy łatwych. Warunki obiektywne przeżywają ludzie bardzo subiektywnie – zależnie od widzenia sensu życia, ofiar, poświęceń, od nabytych potrzeb i przyzwyczajzeń, przede wszystkim od uznawanej hierarchii wartości.

Ojciec św. poleca rozstrzygać te wielkiej wagi sprawy we własnym sumieniu, ale w sumieniu „prawym”, oświeconym przez wiarę i Ewangelię, ze świadomością odpowiedzialności przed Stwórcą i świadomością niewymiernej wartości każdego ludzkiego życia.

Papież z naciskiem podkreśla, że „człowiek nie jest panem źródeł życia, ale raczej sługą planu ustalonego przez Stwórcę... Jak bowiem człowiek, ogólnie biorąc, nie posiada nieograniczonej władzy nad swoim ciałem, tak również – i to w zgoła szczególny sposób – nie ma on jej nad zdolnością rozrodczą, ponieważ z natury swojej odnosi się ona do przekazywania życia ludzkiego, którego początkiem jest sam Bóg” (13). Inaczej mówiąc, człowiek nie ma i w tej dziedzinie bezwzględnej autonomii. Ta dziedzina w sposób szczególny podlega prawom Bożym, mającym jak zawsze na uwadze zachowanie i rozwój miłości, a zatem prawdziwe i trwałe dobro człowieka. Tutaj małżonkowie w sposób głębinowy są odpowiedzialni przed Stwórcą i Siewcą Życia, w wymiarze doczesnym i wiecznym.

Do postawy odpowiedzialnego rodzicielstwa zalicza Ojciec św. także znajomość praw biologicznych, związanych z poczęciem, rozwojem i narodzinami dziecka. Chodzi tu również o opanowanie przez rozum i wolę popędów i namiętności włączających się w te procesy.

W kwestii regulacji poczęć kładzie Papież największy nacisk na zachowanie wewnętrznego, moralnego ładu i wierności wobec myśli Bożej dotyczącej małżeństwa i współżycia małżeńskiego. Ten wewnętrzny ład wymaga zachowania podwójnej funkcji znaku w zbliżeniu małżeńskim. Ta podwójna funkcja wyraża się znakiem jedności – miłości i znakiem rodzicielstwa. Jeżeli te dwa znaki idą w parze, akty małżeńskie są godziwe i ubogacające w miłość; jeżeli zaś te znaki i funkcje zostają rozdarte przez ingerencję sztuczną, akt małżeński staje się aktem grzesznym. Należy więc odrzucić jako wewnętrznie nieuczciwe „wszelkie działanie, które – bądź to w przewidywaniu zbliżenia małżonków, bądź podczas jego spełniania czy w rozwoju jego naturalnych skutków – miało by za cel uniemożliwienie poczęcia lub stanowiło środek prowadzący do tego celu”.

Tutaj już dochodzimy do pytań szczegółowych – do pytań o metody i sposoby regulacji poczęć i o ich ocenę moralną. Ojciec św. kategorycznie osądza jako niedopuszczalne przerywanie ciąży w jakimkolwiek czasie i w jakichkolwiek warunkach. Chwila poczęcia dziecka jest chwilą poczęcia człowieka. Od chwili poczęcia jest to osoba, podmiot praw, mająca brawo do życia objęte V przykazaniem Dekalogu: „Nie zabijaj!” A jeśli kodeks państwowy odmawia jeszcze ochrony poczętemu człowiekowi, tym większa odpowiedzialność rodziców i lekarzy za jego życie. Na takim stanowisku stoją i inne wielkie religie świata (hinduizm,

buddyzm, mahometanizm), duża część uczciwych i odpowiedzialnych lekarzy, psychologów i pisarzy.

Jako niemoralne i grzeszne osądza Ojciec św. również stosowanie wszelkich środków antykoncepcyjnych. Dotyczy to środków mechanicznych i farmakologicznych (pigułki). One bowiem właśnie rozdzierają dwie funkcje stosunku małżeńskiego (miłość i prokreacja) i naruszają ład moralny, tak w tym miejscu wrażliwej natury ludzkiej, okaleczają na dłuższej fali miłość, rozstrajają organizm fizjologiczny i psychiczny – zwłaszcza kobiety.

Najwięcej sprzeciwu wywołało osądzenie antykoncepcyjnej pigułki. Reklamowano ją bowiem jako „dobrodziejstwo” dla małżeństw, a szczególnie dla kobiet. Już rychło ujawniły się jednak jej bardzo szkodliwe działania uboczne burzące naturalne uwarunkowania fizyczno-psychiczne.

Oto niektóre z nich:

1. powikłania zakrzepowe;
2. choroby naczyniowe mózgu;
3. ponad 50 istotnych odchyłeń metabolizmu mineralnego;
4. różne objawy: krwawienia, zahamowanie popędu, zaostrzenie nadżerek szyjki macicy, wymioty, wysypka alergiczna, zaburzenia wagi, obrzęki, zaburzenia płodności;
5. zaburzenia psychiczne: nerwowość, bezsenność, depresje, wyczerpanie, lęki.

Są też przypadki bardziej niebezpiecznych powikłań, mogących objawić się w kilka lat po stosowaniu pigułki. Zmiany na pograniczu nowotworowym, uszkodzenie genów, ogólna dewastacja organizmu kobiety. Wielu badaczy zgodnie podkreśla, że tabletki narusza równowagę biologiczną – jej działanie może objawić się również w przyszłych pokoleniach...

Jako godziwą regulację poczęć wskazuje Kościół tę, która wpisana jest niejako w sam organizm kobiety: Przez większość dni swego miesięcznego cyklu kobieta nie może zająć w ciążę. Tylko w ciągu kilku dni tego cyklu możliwe jest poczęcie nowego życia. I to prawo natury otwiera przed małżonkami drogę naturalnej regulacji poczęć. Trzeba nauczyć się rozróżniać dni płodne od niepłodnych i – kiedy żąda tego poczucie odpowiedzialności – zachować w okresie płodności żony małżeńską wstrzeźliwość. Oparta na tej zasadzie regulacja poczęć nie niszczy samowolnie ustanowionego przez Boga porządku. Nie narusza go korzystanie w naturalny sposób z praw małżeńskich w dni niepłodne kobiety, bowiem zachowany zostaje wtedy pełny wymiar ludzkiej płciowości. Ani człowiek, ani jego płciowość nie stają się przedmiotem manipulacji, jak ma to miejsce w wypadku stosowania środków antykoncepcyjnych.

Oczywiście zachowanie okresowej wstrzeźliwości wymaga od małżonków duchowego wysiłku. Jak pisze papież Paweł VI w swojej encyklice (pkt 21): „... rozumne i wolne kierowanie popędami wymaga ascezy... Jednakże to opanowanie, w którym przejawia się czystość małżeńska, nie tylko nie przynosi szkody miłości małżeńskiej, lecz wyposaża ją w nowe ludzkie wartości... Małżonkowie rozwijają w sposób pełny swoją osobowość, wzbogacając się o wartości duchowe. Opanowanie to przynosi życiu rodzinnemu obfite owoce w postaci harmonii i pokoju... Sprzyja trosce o współmałżonka i budzi dla niego szacunek, pomaga także małżonkom wyzbyć się egoizmu, sprzeciwiającego się prawdziwej miłości, oraz wzmacnia w nich poczucie odpowiedzialności. A wreszcie dzięki opanowaniu siebie rodzice uzyskują głębszy i skuteczniejszy wpływ wychowawczy na potomstwo”. – To ostatnie zdanie warte jest osobnej refleksji. Rzuca

światło na wiele niepokojących zjawisk w życiu rodzinnym i wychowaniu w rodzinie.

Szczegółowe informacje dotyczące naturalnej metody regulacji poczęć można znaleźć w katolickich poradniach rodzinnych i w szeroko już dostępnych opracowaniach kompetentnych, odpowiedzialnych autorów. Szczególnie polecam publikacje doc. W. Fijałkowskiego: *Miłość w spotkaniu płci*; *Naturalny rytm płodności*; *Dar rodzenia*; rozdział *Kierowanie płodnością* w pracy zbiorowej „*Miłość, małżeństwo, rodzina*”.

## MIŁOŚĆ POD OCHRONĄ PRAWA

Dziwnie brzmi ten tytuł. Ale może treść go usprawiedliwi. Patrzenie na Sakrament małżeństwa okiem wiary odkrywa w nim coś boskiego, pulsującą łaskę Boga, obecność Chrystusa. Ale dostrzega też zagrożenie złem gotowym wypierać nie tylko boskie wartości z życia małżeńskiego, lecz także to, co naturalne i ludzkie.

Otóż rolę ochrony boskiego w ludzkim i ludzkiego przed nieludzkim w samym człowieku spełnia prawo.

Prawo, wydane przez kompetentnego i odpowiedzialnego prawodawcę, stoi na straży dobra społecznego, ładu i sprawiedliwości; broni słabych przed silnymi, broni przed wyzyskiem i oszustwami ze strony ludzi złych i przewrotnych. Ale też broni nas samych przed nami samymi – przed naszymi słabościami, emocjami, zaślepiającymi namiętnościami i niewiernościami.

Ta tak doniosła dla całego życia społecznego dziedzina, jaką stanowi małżeństwo i rodzina, jest zawsze zagrożona przez różnego rodzaju niegodziwość, kłamstwa, oszustwa, wyzyskiwanie naiwności czy nieprzeorności drugiego człowieka. Toteż zarówno Kościół, jak i troskliwe o dobro swych obywateli państwo, roz-

taczają szczególną opiekę prawną nad małżeństwem i rodziną.

Już starożytni Rzymianie stworzyli dość zwarty i humanitarny kodeks prawa małżeńskiego.

Jeszcze większe zainteresowanie i troskę okazał instytucji małżeństwa organizujący się pod względem prawnym Kościół starożytny. A już w średniowieczu powstał kościelny kodeks prawa małżeńskiego, z biegiem wieków wciąż udoskonalany. Kodeks Prawa Kanonicznego naszych czasów zawiera duży zespół artykułów, określających cele, zadania i warunki ważnego związku małżeńskiego, który u ochrzczonych jest zawsze sakramentem.

Zatwierdzony w r. 1983 przez Ojca św. zreformowany Kodeks Prawa Kanonicznego nie zmienia (bo nie może zmienić prawa Boskiego) istotnych celów, elementów i warunków sakramentalnego związku małżeńskiego. Podkreśla jednak silniej personalistyczny charakter małżeństwa jako wspólnoty – *przymierza* dwojga ludzi. Znajduje to też wyraz w pewnych zmianach ujęć dotyczących tzw. przeszkód małżeńskich.

Do zawarcia ważnego związku małżeńskiego należą trzy istotne warunki podmiotowe:

1. Tzw. konsens, czyli wyrażona wolna zgoda na związek małżeński z wybraną osobą: gdyby któraś ze stron nie wyraziła takiej wolnej zgody, nie może zaistnieć ważny, sakramentalny związek małżeński. Gdyby któraś ze stron wyraziła zgodę pod przymusem, wielkim naciskiem, naruszającym wolną wolę, znów stajemy wobec nieważności związku. Ten warunek jest tak istotny do zawarcia ważnego związku małżeńskiego, że jego spełnienia wymagają także państwowe kodeksy prawa małżeńskiego.

2. W katolickim małżeństwie do wolnej zgody na wybór osoby musi dołączyć się zgoda na jedność i nie-



rozerwalność małżeństwa, wymagana przez Chrystusa. Jeśliby więc któraś ze stron nie przyjmowała tego warunku, nie może zawrzeć sakramentalnego, ważnego związku małżeńskiego. Polski kodeks państwowy zadowala się tutaj przyjęciem formuły „trwałego związku”.

3. Do istotnych warunków zawarcia ważnego związku małżeńskiego w Kościele katolickim należy jeszcze wyrażona gotowość narzeczonych na rodzenie i wychowywanie po katolicku potomstwa. Kościół widzi w tym wypełnienie istotnych celów i zadań małżeństwa. Kto te cele z góry odrzuca, nie może zawrzeć ważnego, sakramentalnego związku małżeńskiego.

W liturgii sakramentu małżeństwa pytania o gotowość wypełnienia tych warunków znajdują się na pierwszym miejscu, bo pozytywna na nie odpowiedź stanowi podstawę udzielenia sakramentu.

Na straży dobra sakramentu oraz zabezpieczenia i rozwoju miłości małżeńskiej stoją prawa określające tzw. przeszkody małżeńskie, które nie dopuszczają do zawarcia ważnego związku małżeńskiego. Nazywają się one przeszkodami rozrywającymi albo unieważniającymi związek małżeński. Jeśliby te przeszkody istniały w chwili zawierania związku, małżeństwo jest nieważne, bez względu na bogactwo liturgii i choćby o nich w przypadkach szczególnych nie wiedzieli narzeczeni. Kodeks Prawa Kanonicznego określa kilkanaście takich przeszkód. Tutaj wymienimy tylko te, z którymi kandydaci do małżeństwa mogą się częściej spotkać w życiu. Oto one:

a) Niepełnoletniość. Prawo zakłada, że ludzie zbyt młodzi, niedojrzali nie są w stanie uczynić zadość obowiązkom małżeńskim oraz spełniać istotnych warunków sakramentu umożliwiających rozwój miłości. Ponieważ jednak w różnych strefach geograficznych w różnym czasie młodzież osiąga względną dojrzałość,

dlatego prawo kościelne w zasadzie przyjmuje wymogi prawa małżeńskiego poszczególnych krajów, ale nie zezwala na zawarcie małżeństwa w wieku poniżej 14 lat u dziewcząt i 16 lat u chłopców. Polski kodeks prawa małżeńskiego przyjmuje granice 18 lat dla dziewcząt i 21 lat dla chłopców.

b) Pokrewieństwo. Z racji eugenicznych (dobro potomstwa) ale i dla pełniejszego rozwoju miłości prawo małżeńskie nie dopuszcza ważnych małżeństw pomiędzy osobami blisko spokrewnionymi: ze wszystkimi krewnymi w linii prostej (np. pradziadek, wnuczka, prawnuczka...), i do czwartego stopnia włącznie linii bocznej (np. brat – siostra, kuzyn – kuzynka). Kodeks państwowy ustanawia również te same przeszkody.

c) Powinowactwo. Powinowactwo rodzi się z małżeństwa. Krewni męża stają się w tym samym stopniu powinowatymi żony, a krewni żony stają się w tym samym stopniu powinowatymi męża. Kodeks Prawa Kanonicznego nie dopuszcza ważnego małżeństwa przy powinowactwie w linii prostej (np. mężczyzna, który ożenił się z wdową, nie może po jej śmierci ożenić się z córką zmarłej, zrodzoną z jej pierwszego małżeństwa). Kodeks państwowy stawia identyczne przeszkody.

d) Węzeł małżeński. Zgodnie z ewangelicznym prawem o nierozzerwalności małżeństwa żadna ze stron po zawartym ważnie związku małżeńskim do zgonu współmałżonka nie może wstąpić w godziwy i ważny nowy związek małżeński bez względu na to, jakie były powody rozejścia się czy rozłączenia małżonków. Oni na zawsze (do zgonu współmałżonka) pozostają mężem i żoną. Przystąpienie do drugiego związku małżeńskiego w prawie nazywa się bigamią. Kodeks państwowy również nie dopuszcza bigamii i ściga ją, nie

uważa jednak za bigamię małżeństwa zawartego po cywilnie prawomocnym rozwodzie.

e) Przystosowanie, czyli adopcja. Ten stan prawny nie dopuszcza do zawarcia ważnego małżeństwa (np. adoptujący nie może ożenić się z osobą przez siebie adoptowaną). Ta przeszkoda broni adoptowanych przed łatwym naciskiem i możliwością przymusu ze strony adoptującego.

W szczegółach prawo kanoniczne nakazuje katolikom stosować się do ustaw prawa cywilnego.

f) Kodeks Prawa Kanonicznego ustanawia jeszcze przeszkodę święceń kapłańskich i ślubów zakonnych. A więc osoby, które przyjęły święcenia lub złożyły śluby wieczyste, nie mogą zawrzeć sakramentalnego związku małżeńskiego.

Opis innych przeszkód rozrywających, rzadziej spotykanych, mogą zainteresowani znaleźć w Kodeksie Prawa Kanonicznego lub w jego komentarzach. Zresztą kapłan przy spisywaniu protokołu przedślubnego stara się ewentualne przeszkody wykryć i ostrzec przed nimi narzeczonych. Wykryciu przeszkód służy przepis o tzw. zapowiedziach przedślubnych, które powinny być ogłaszane przez 3 niedziele lub święta w parafii narzeczonej, narzeczonego i w tych miejscowościach, gdzie narzeczeni przebywali przez dłuższy czas po osiągnięciu dojrzałości kanonicznej (14-16 lat). Według ostatnich przepisów kandydaci do małżeństwa winni się zgłaszać do proboszcza narzeczonej lub narzeczonego 3 miesiące przed ślubem w celu otrzymania dodatkowych informacji i wszczęcia kroków wstępnych prowadzących do zawarcia sakramentalnego małżeństwa.

Od niektórych przepisów i przeszkód można uzyskać tzw. dyspensę. Przez dyspensę rozumie się wprowadzenie pewnego wyjątku w zastosowaniu wymogów prawa. Może to mieć miejsce w stosunku do dru-

gorzędnych przepisów i w przypadkach nadzwyczajnych. Np. można uzyskać dispensę od ogłaszania zapowiedzi, od przeszkody pokrewieństwa czwartego stopnia linii bocznej, ale nigdy nie można dostać dyspensy od prawa nierozzerwalności małżeństwa, czy od pokrewieństwa w linii prostej.

Kodeks cywilny prawa małżeńskiego traktuje niejedną kwestię jak prawo Kościoła: konsens, wiek, a także przeszkody wynikające z przysposobienia i pokrewieństwa. Kodeks cywilny określa ponadto prawa i obowiązki cywilne małżonków i dzieci. Nie należy więc lekceważyć wymogów Urzędu Stanu Cywilnego.

Katolicy winni jednak pamiętać, że związek cywilny, dając pewne prawa cywilne, nie daje im żadnych praw moralnych do pożycia małżeńskiego. Przymierze małżeńskie pomiędzy ochrzczonymi powstaje jedynie poprzez małżeństwo sakramentalne. Dlatego też do zawarcia związku sakramentalnego przyszli małżonkowie nie powinni nawet nosić obrączek ani urządzać „wesel”, ani tym bardziej mieszkać razem, także i dlatego by nie dawać zgorszenia otoczeniu – mimo nawet „dziwien” papierowych chrześcijan, a czasem i sugestii rodziny.

W tym oświetleniu prawnym związku miłości daliśmy już pośrednio odpowiedź na pytanie, co należy myśleć o spotykanych nawet w środowiskach katolickich wyrażeniach, że Kościół jednak „udziela rozwodów” lub „unieważnia małżeństwa”. Takie pomówienia są następstwem braku wiedzy o kompetencji i roli sądów duchownych albo wyrazem złej woli w stosunku do Kościoła. W rzeczy samej w Kościele nie ma żadnych „rozwodów” ani „unieważnień” ważnie zawartych sakramentalnych związków małżeńskich. Sądy biskupie rozpatrują tylko sprawy małżeństw, które nie spełniły warunków lub nie dopełniły przepisów

prawa małżeńskiego, albo zostały zawarte z jakąś ukrytą przeszkodą rozrywającą. Jeśli takie mankamenty prawne wyjdą później na jaw i zostaną obiektywnie udowodnione, sąd biskupi wydaje dekret o nieważnie zawartym, a więc o niebyłym w swojej istocie związku małżeńskim. Taki dekret, oczywiście, daje prawo do zawarcia ważnego związku małżeńskiego z inną osobą, bo związku sakramentalnego w ogóle nie było.

Z tego krótkiego zarysu prawa małżeńskiego widać jak Kościół stara się wyeliminować to wszystko, co więzi małżeńskie narusza, komplikuje, osłabia, niszczy. Stara się zapobiec dramatom i tragediom, w które przez ignorancję, lekkomyślność lub naiwność może człowiek uwikłać się wszędzie, ale w szczególny sposób na tej tak doniosłej płaszczyźnie życia. Wchodząc w sens tych praw, myślący człowiek może dostrzec, jak, zdawałoby się suche przepisy, nabierają życia i ochraniają to, co najważniejsze. Pomawianie więc Kościoła o uprawianie biurokracji jest wyrazem powierzchownego patrzenia albo złej woli.

Przytoczmy na koniec tekst, którym Kodeks Prawa Kanonicznego, ogłoszony przez Papieża Jana Pawła II w roku 1983, określa małżeństwo w ujęciu właściwym prawu. Warto tu zwięzłe a pełne treści zdania nie tylko przeczytać, ale w nie się wczytać i dogłębnie rozważyć:

„Małżeńskie przymierze, przez które mężczyzna i kobieta tworzą ze sobą wspólnotę całego życia, skierowaną ze swej natury do dobra małżonków oraz do zrodzenia i wychowania potomstwa, zostało między ochrzczonymi podniesione przez Chrystusa Pana do godności sakramentu.

Z tej racji między ochrzczonymi nie może istnieć ważna umowa małżeńska, która tym samym nie byłaby sakramentem”.

„Istotnymi przymiotami małżeństwa są jedność i nierozzerwalność, które w małżeństwie chrześcijańskim nabierają szczególnej mocy z racji sakramentu. (kanon 1055 i 1056)”.

## **MOTYWY I KRYTERIA MIŁOŚCI WYBIERAJĄCEJ**

Miłość fundamentalna ogólnoludzka nie wybiera człowieka i nie powinna go wybierać. Ona zwraca się ku wszystkim ludziom nawet ku nieprzyjaciołom. Natomiast wybierać może i powinna miłość erotyczna – ta postać miłości, która prowadzi do specyficznego związku miłości, w którym tylko dwie osoby mają tak ściśle się zespolić, że stają się „jednym ciałem”, niemal jedną osobowością. Te dwie osoby mają stworzyć zwartą podstawową komórkę społeczną, zjednoczoną miłością i emanującą miłość. A to jest zadanie arcytrudne. Toteż do jego wypełnienia osoby powinny się „wybierać”, a potem „dostrajać” i zespalać przez całe życie małżeńskie.

Od razu wyłaniają się dla kandydatów do małżeństwa ważne pytania: Na jakich zasadach i przy jakich motywach i kryteriach ludzie wybierają się do małżeństwa? A skoro ewidentnie wielu ludzi popełnia tutaj poważne błędy, nasuwa się drugie – jeszcze bardziej ważne pytanie: Jakie zasady, motywy i kryteria wyboru należy zalecić wszystkim kandydatom do związku miłości?

Odpowiedź na pierwsze pytanie można znaleźć na terenie socjologii małżeństwa i rodziny, chociaż nie

jest on dobrze i jasno rozpoznany. Próby poszukiwań socjologicznych, wsparte obserwacjami zachowania się i wypowiedziami kandydatów do małżeństwa, pozwalają jednak dojrzeć pewne prawidłowości.

Wiadomo, że w niezbyt odległych czasach małżeństwa dobierali przeważnie rodzice, a w wyższych sferach władcy i mężowie stanu, mając na uwadze cele polityczne, rodowe, materialne. W naszych czasach na ogół – przynajmniej w naszym kraju – potępia się motyw i kryteria materialne, a podkreśla się jako jedyny motyw miłość i sądzi się, że jest to naprawdę wybór wolny i szczęśliwy. Tymczasem rozpoznania socjologiczne (np. B. Łobodzińskiej) ukazują dość szeroki zasięg motywów materialnych (od 10 proc. u mężczyzn, do 20 proc. u kobiet), chociaż ta przyciągająca materia zmieniała swoje kształty z włości i morgów na wille, mieszkania, samochody i wyjazdy za granicę.

W wypowiedziach respondentów przeważają jednak motyw miłości: w ponad 60 proc. u mężczyzn i 80 proc. u kobiet.

I to na pierwszy rzut oka byłby obraz bardzo optymistyczny. Wszakże sprawa się zaciemnia, gdy przyjrzymy się bliżej, jaka treść kryje się za tym wielkim słowem „miłość”. Socjologowie na ogół nie sięgają po odpowiedź na to pytanie, ale wypowiedzi młodzieży, literatura reportażowa, a przede wszystkim obserwacje duszpasterskie mówią jednoznacznie, że chodzi tutaj w najlepszym wypadku o m i ł o ś ć e r o t y - c z n ą , a więc uczuciową, albo nawet w dużym zakresie o pociąg seksualny, o pożądanie zmysłowe. Zaczyna się od spostrzeżonego i subiektywnie ocenionego piękna zmysłowego spotkanej osoby. Cała sylwetka – twarz, włosy, oczy, usta, uśmiech, tembr głosu, taniec, strój wywołują właściwe rezonanse uczuciowe, które – wsparte nastrojowym światłem, szminką, scenerią, a jeszcze bardziej wyobraźnią – prowadzić mogą do



momentalnej fascynacji, ku pożądaniu i namiętności (wątpliwa „miłość od pierwszego wejrzenia”). Ocena piękna, zwłaszcza zmysłowego, jest zawsze w dużej mierze subiektywna. Ale w tej dziedzinie subiektywizm chyba nie zna granic. Potwierdzają to, drastyczne czasem, aforyzmy ludowe: „Każda potwora ma swego amatora”, „Nie to ładne, co ładne, lecz co się komuś podoba”. Oczywiście, że ten subiektywizm ma pozytywną stronę, bo bez niego dziewczyny nieładne i nieładni chłopcy nie mieliby szans ani na miłość erotyczną, ani na stworzenie rodziny. Zbudzone, a nie kontrolowane uczucie może przejść w namiętność, która zwykle tak zaciemnia umysł i paraliżuje wolę, że rozsądek idzie za drzwi, a zakochany jak pijany kapitan statku wypuszcza na wysokiej fali ster z ręki i bez poczucia odpowiedzialności płynie na oślep, często ku katastrofie. To się nazywa „tracić głowę”; a tracić głowę, to prawie tyle, co tracić miłość.

W takiej atmosferze choćby ktoś ukazywał w wybranym partnerze oczywiste i rażące braki charakteru, wady moralne, może usłyszeć naiwną odpowiedź: „Ależ ona ma cudowne oczy”, „On mówi przecież, że mnie kocha”, „On mówi mi, że się po ślubie poprawi...”.

I oto rodzi się tutaj paradoks: taka gorąca miłość wprowadza zakochane osoby w stan, który nie tylko nie stwarza warunków wolnego wyboru, lecz – fałszując obraz partnera ciśnieniem popędu namiętności – przekreśla niezbywalną cechę prawdziwej miłości – wolność.

Na ten temat pisze dr E. Sujak (*Kontakt psychiczny w małżeństwie i rodzinie*, s. 70): „Trzeba sobie zdać sprawę z tego, że wybór emocjonalny jest wbrew pozorom najmniej wolnym wyborem”. To pułapka. Ludzie lekceważący wartość i sztukę miłości fundamentalnej (opartej o rozum i wolę), uciekając przed naciskami zewnętrznymi, wikłają się w bardziej ograni-

czającą wolność wyboru niewolę emocjonalną i działają pod przymusem wewnętrznym. Tacy małżonkowie już w pierwszych dniach po ślubie i po poślubnych podróżach aż nazbyt często, gdy emocje opadną, gdy ujrzą siebie w barwach dnia powszedniego i powszednich kłopotów, gdy zmyją szminki, przestają „grać” i ujrzą siebie, jacy są naprawdę, przechodzą w stan rozczarowań, frustracji i pretensji. Wtedy powstają warunki do wyzwalania się trujących resentymentów, jeżeli im się nie przeciwstawi miłości „mimo wszystko”, miłości fundamentalnej, miłości budowanej na skale miłości Bożej. W sumie należy tutaj przypomnieć doniosłą prawdę, że budowanie małżeństwa na erosie i uczuciu, a zwłaszcza na pożądaniu i namiętności – to budowanie domu na piasku i na lodzie. A ta prawda przechodzi w przestrozę: Nie zawierajcie związku małżeńskiego tylko pod wpływem fascynacji zmysłowej, pod wpływem tylko erosa, który jest „najbardziej śmiertelną postacią miłości”.

Z tą przestrożą wchodzimy już na teren najdonioślejzego pytania dla tych, dla których małżeństwo jest jeszcze czasem przyszłym: Jakich zasad i kryteriów powinni się trzymać ludzie w szczęśliwym wyborze partnera i przyjaciela na całe życie – „na dobrą i na złą dolę”?

Oczywiście, że małżeństwo, tak jak i inne związki międzyludzkie, musi być budowane na miłości fundamentalnej – na miłości człowieka jako człowieka. W jej zakres wchodzi: szacunek, życzliwość, troska, odpowiedzialność i gotowość do dawania i poświęceń. Dopiero na fundamencie tej miłości może w sposób prawidłowy i szczęściodajny rozwinąć się miłość uczuciowa, erotyczna, gdzie mają swoje właściwe miejsce upodobanie i pożądanie zmysłowe.

To rzecz naturalna dla erosa, że wyrazi swoje spostrzeżenie sądem: „ładny chłopiec – ładna dziew-

czyna... podoba mi się”. Takie odczucia i sądy mają istotne znaczenie dla przyszłego małżeństwa. Wszakże przy spotkaniu z erosem trzeba najpierw zapytać, czy ten interesujący mnie i budzący we mnie ciepło albo gorące uczucia człowiek może być brany pod uwagę jako kandydat do małżeństwa – czy nie ma obrączki małżeńskiej na palcu, czy nie jest obciążony jakąś zakorzenioną wadą moralną, czy nie istnieje jakaś istotna przeszkoda do związku małżeńskiego. Jeżeli tak, natychmiast należy te uczucia wygaszać i stwarzać nieprzekraczalny dystans. Nie wolno oszukiwać siebie, że to przecież „niewinny flirt”, nie wolno igrać z ogniem! To bowiem mogłoby kosztować zbyt wiele komplikacji i cierpień, które znamy dobrze z obserwacji.

Zanim zapali się tutaj zielone światło, należy zbadać, czy u podstaw miłości uczuciowej znajduje się miłość ogólnoludzka, czy eros jest erosem, czy nie jest tylko pociąganiem zmysłowym i pożądaniem? Czy eros nie staje się „bogiem”, bo wtedy zamienia się już w „demoną” (Lewis).

Jak nie zagubić się w tej gmatwaninie wrażeń i uczuć? Jak odróżnić miłość od pożądania? To już rozważaliśmy. Tutaj tylko przypomnienia. W okresie poznawania się trzeba sobie zadawać pytania i szczerze na nie odpowiadać: Czy naprawdę szanujesz tego człowieka – i nie tylko tego, lecz najpierw w ogóle człowieka? Czy naprawdę życzysz mu dobra, nie wynosząc na szczyt swego dobra? Czy potrafisz wypowiedzieć nie tylko egoistyczną formułę „bez ciebie żyć nie mogę”, lecz także zapytać siebie, czy jej albo jemu będzie z tobą dobrze? Czy jesteś wobec drugiej osoby dostatecznie odpowiedzialny? Czy dla zadowolenia siebie nie jesteś gotów działać pod impulsem uczucia, namiętności, zawiązując oczy sobie i drugiej osobie na dalsze konsekwencje postępowania, na dalszy

los? Czy potrafisz sobie i swej sympatii powiedzieć w pewnych okolicznościach stanowcze „nie”? Czy gotów jesteś dla wybieranej osoby poświęcić czas, trud, czekanie, wyrzeczenie? I warto tutaj przypomnieć zawsze ceną jako kryterium miłości, choć drastyczną uwagę dr W. Pułtawskiej: „Prawdziwa miłość nie spieszy do łóżka”, nawet lubi czekać na ten wspaniały i radosny moment oddania siebie w pełni po błogosławieństwie Chrystusa i Kościoła w sakramencie miłości, – a pożądanie „z wiatrem gna”, nie zna odpowiedzialności.

U chrześcijan eros uważany jest za dar Boga, ale poddany Jego prawom. Nadrzędna miłość do Boga nie zezwala na lekceważenie Jego kochającej woli – nie zezwala na grzech, boi się grzechu, aby nie utracić miłości Najwyższego. Oto chrześcijańskie wyznanie bohaterki dramatu F. Schillera: *Intryga i miłość*, Luizy Miller: „Ukochany, jeżeli tylko grzech mi ciebie ocalić może, mam dość siły, aby cię utracić”. Toteż ludzkie i chrześcijańskie wybieranie wyklucza wszelkie „próby” przedmałżeńskie i wszelkie korzystanie z praw małżeńskich ludzi, którzy jeszcze nie są małżonkami. Rzekomo „uzasadnienia” tych prób należą do szkodliwych mitów, o czym była mowa w rozdziale „Współczesne mity o erosie i seksie”.

Można zreasumować ten odcinek rozważań powtórną przestrogą: Nie dokonujcie wyboru pod ciśnieniem erosa, emocji, a zwłaszcza pod naporem popędu. Nie spieszcie się nawet z religijnym ślubem. Niech wasza miłość sprawdzi się w czasie, niech dojrzeje, niech stanie się wielopostaciowa i dostatecznie uduchowiona.

Głęboką treść – wezwanie ewangeliczne – zawiera znana piosenka, która mogłaby być hymnem idących do małżeństwa:

*Ktoś zbudował dom na piasku,  
Wymarzony, wspaniały dom.  
Ale przyszła burza,  
Runął z wielkim trzaskiem –  
Zbudowany na piasku dom.*

*Ktoś zbudował dom na skale,  
Wymarzony, wspaniały dom.  
Przyszły chmury ciemne, uderzyły fale,  
Dom na skale ani drgnął.*

*Trzeba miłość budować na skale,  
Swoje szczęście oprzeć o głaz.  
Gdy w godzinę złą wiatr powieje prosto w dom –  
Mój dom na skale będzie stać,  
Mocno stać, zawsze stać.*

*Na to nasze budowanie,  
Boże, połóż wszechmocną dłoń;  
Kto Ci ufa, Panie, mocny jest jak granit  
I szczęśliwie zbuduje dom.*

*Nie wiem, co przyniesie życie –  
Za godzinę, za dzień, za rok...  
Ale wiem to jedno: Bóg jest skałą wierną –  
Nie odstępuj od Niego na krok.*

*Trzeba miłość budować na skale,  
Swoje szczęście oprzeć o głaz.  
Gdy w godzinę złą wiatr powieje prosto w dom –  
Mój dom na skale będzie stać,  
Mocno stać, zawsze stać...*



## MIŁOŚĆ WIDZĄCA I POZNAJĄCA

Właśnie wtedy, gdy poczuło się strzałę Erosa w sercu, a czasami ugodzi on naraz w dwa serca, a mówiąc bez metafory – gdy ktoś zwrócił twoją uwagę i wyzwolił ciepłe uczucie miłości erotycznej, przychodzi doniosły czas wzajemnego poznania, który zadecyduje o twoim wyborze. To poznanie powinno się odbywać w świetle ostrej świadomości, że z tym i takim człowiekiem będzie się ewentualnie dzieliło najbardziej osobiste i intymne sprawy przez całe życie. A więc temu poznawaniu musi towarzyszyć pytanie, czy możliwa będzie z tym człowiekiem jakaś harmonia, czy zniesiesz jego charakter i jego wady; czy możesz mieć nadzieję na zbudowanie szanującej się, kochającej rodziny?

Słusznie mówi mądrość ludowa: „Żeby człowieka poznać, trzeba z nim zjeść beczkę soli”. I to poznanie nie będzie doskonałe ani dogłębne, gdyż człowiek nawet sam dla siebie jest „istotą nieznaną”. W każdym razie trzeba nazwać krokiem lekkomyślnym i ryzykownym, gdy ktoś idzie do ołtarza po kilku miesiącach znajomości. Oczywiście trzeba tu brać pod uwagę charakter tej znajomości, ale i w najbardziej korzystnych warunkach czas poznania się winien trwać dłużej.

Co wybierający siebie powinni poznać?

Przed wszystkim poglądy i światopogląd, gdyż zgodność światopoglądu i poglądów stanowi głęboką i trwałą więź międzyludzką. Natomiast różnice poglądów wprowadzają ukryte albo i jawne konflikty i uniemożliwiają głębsze współzycie duchowe. Głębokie rozdziewki tworzą różnice religijne. Eros i zakochanie mogą je zrazu przesłonić; tolerancja i kultura mogą je złagodzić, ale zawsze wywołują one bolesne konflikty i sytuacje, zwłaszcza gdy przyjdą na świat dzieci.

Gdy np. ojciec chrześcijanin chrzest dziecka traktuje jako sprawę najwyższej wagi, a matka widzi w nim tylko tradycyjny obrzęd; gdy matka katoliczka przeżywa głęboko I Komunię św. dziecka, a ojciec ateista może sprawić ból żonie i dziecku, w najlepszym razie podchodząc do tej uroczystości z łaskawą tolerancją. Zresztą ten ból strona katolicka będzie przeżywała przy każdej modlitwie, przy każdym wychodzeniu do kościoła na niedzielną Mszę św. i w wielu innych sytuacjach.

Równie doniosłym czynnikiem jednoczenia lub rozdzierania wspólnoty jest zgodność lub niezgodność w dziedzinie ocen moralnych, hierarchii wartości i kultury życia codziennego, toteż i te czynniki muszą być przedmiotem wnikliwego poznania. Jeżeli bowiem dziewczyna za najwyższe wartości życia uważa dorabianie się, konsumpcję i komfort, a chłopak priorytet przyznaje wartościom duchowym – moralnym i religijnym; jeżeli dziewczyna stłuczenie szklanki czy zgubienie pieniędzy uważa za głupstwo, a chłopiec w tej sytuacji wpada w gniew; jeżeli dziewczyna uważa, że bliźnim należy pomagać nawet kosztem własnej niewygody i własnych ograniczeń, a chłopak głosi zasady skąpstwa i egoizmu – to w małżeństwie trudno będzie o harmonię, a nawet o spokojne życie. Jedna i druga strona będzie obolała i biedna, a więź małżeńska zagrożona.



W ramach pytań o hierarchię wartości i ocen moralnych musi się znaleźć sprawa zasad i poglądów na pozycie małżeńskie, dietność rodziny, wychowanie dzieci. To jest sprawa podstawowa, czy wybierający siebie na całe życie mają uzgodnione zasady i poglądy, gdy chodzi o liczbę dzieci, które pragnęliby wychować, i metody regulacji poczęć. Jeżeli w tej dziedzinie nastąpią przemilczenia, niedopowiedzenia, różnice w akceptacji chrześcijańskich norm etycznych, pojawiają się później bolesne przeżycia i sytuacje wstrząsające fundamentami życia małżeńskiego.

W codziennych kontaktach nawet przed pogładaniami znajdzie się sprawa charakteru mających się ku sobie osób. I tej sprawie w okresie poznawania się należy poświęcić wiele uwagi i krytycyzmu. Nie tyle chodzi tutaj o temperament, o usposobienie wrodzone. Często szczęśliwie wybierają się temperamenty mocno różniące się od siebie – np. sangwinik z flegmatykiem, melancholik z cholerykiem itp. Raczej należy mieć na uwadze i obserwować cechy moralne, skłonności i wady. Ciężki do stworzenia harmonii i wspólnoty, a nawet do zniesienia będzie człowiek zarozumiały, tępy i bezkrytyczny, egoista, nudziarz, zapamiętały, nieszczerzy, kłamca, gwałtowny i brutalny, zazdrosny, niewierny i leniwy, pedant lub nieporządnny. Trzeba szczególnie obserwować nastroje i humory, które mogą zatruwać atmosferę rodziny.

Natomiast stwarzają nadzieję na pomyślny związek takie cechy charakterologiczne i moralne, jak samokrytycyzm, dobrze rozumiana pokora, empatia (zdolność wczuwania się w sytuację bliźnich), szczerłość, prawdomówność, gotowość do pomocy, do wyręczenia w pracy na co dzień, spokój, wyrozumiałość, pogoda, dobry humor, grzeczność, wielkoduszność, gotowość do przebaczenia.

Szczególny nacisk należy położyć na zaobserwowanie i odkrywanie ciężkich wad – nałogów i chorób. Tragedią będzie wybór erotomana, sadysty, brutala, alkoholika, narkomana czy chorego wenerycznie lub na AIDS.

Nie można też lekceważyć zachowań i nawyków nawet drobnych, ale naruszających zasady codziennej kultury życia: sposobu siedzenia przy stole, jedzenia, ubierania się, pozdrowienia itp.

Odkrycie tych i podobnych stron charakteru i moralności człowieka wybieranego, jeżeli nie zawróci z niebezpiecznej drogi, to przynajmniej może ustrzec przed zaskoczeniem; bo przewidziane nieszczęścia stają się łatwiejsze do zniesienia; zresztą tu nie ma determinizmu; niektóre wady i przyzwyczajenia mogą być w okresie „chodzenia” przewycięzone, jeżeli ten okres będzie wypełniony pracą nad sobą, ale to sprawa arcytrudna.

I ostatnie pytanie: kiedy i gdzie kandydaci do wyboru mogą się poznać, bo przecież widywać się tylko na wieczorkach, w kinie i na dyskotekach, to o wiele za mało. Dawniej takim okresem było narzeczeństwo i okres poprzedzający „słowo”. Ten okres obejmował z reguły co najmniej rok albo i dobrych parę lat. I dzisiaj, nawet przy częstym przebywaniu z sobą, tego czasu nie powinno się skracać. A już – jak nadmieniałem – lekkomyślnością będzie skracanie go do kilku miesięcy.

Poznanie może odbywać się w różnych sytuacjach życia: w domu, pracy, w kościele. Najlepiej poznaje się człowieka w sytuacjach trudnych: w chorobach, niepowodzeniach, odmowach, konfliktach, kłótniach, na obozach, wycieczkach (tylko nie we dwoje! A kto by tę przestrożę uważał za rygoryzm, ten zdradziłby swoją naiwność albo nieszczerłość wobec VI Bożego przykazania).

Dr E. Sujak twierdzi, że „nie można poznać człowieka nie tyle nie poznając jego rodziny, ile jego samego w rodzinie”. Jak chłopiec czy dziewczyna odnoszą się do swojej matki, ojca, brata, podobnie będą się odnosili do siebie jako mąż i żona.

Na końcu tych praktycznych rozważań wypowiedzieć należy wielką życiową prawdę, że nikt nie znajdzie partnera idealnego, wymarzonego bohatera bez skazy. Każdy wybór jest jakąś wiarą, nadzieją, ryzykiem. Nie ma w tej dziedzinie mimo wszystko determinizmu czy fatalizmu: „Takie było przeznaczenie...”. Z wyjątkiem patologicznych wad wszystko może być przez częstą spowiedź, przez pracę nad sobą i modlitwę przezwyciężone i zharmonizowane, i we wspólnocie zintegrowane, ale pod jednym doniosłym warunkiem: jeżeli wybierające siebie osoby mają taką cechę, którą można by nazwać plastycznością. W jej zakres wchodzi: samokrytycyzm, pokora i poczucie winy (prof. K. Dąbrowski uważa tę cechę za nieodzowny czynnik rozwoju osobowości), dążenie do poprawy, postępu i rozwoju moralnego, dążenie do doskonałości i świętości. Człowiek plastyczny nie uważa się nigdy za nieomylnego, za tego, który ma z a w s z e 100 proc. racji; nie ukrywa, nie ochrania i nie usprawiedliwia swoich wad; lecz nad nimi pracuje i prosi o pomoc tego wybranego. Przy takiej postawie w małżeństwie tworzy się wyjątkowo dobra szkoła charakterów i środowisko dążenia do doskonałości i świętości, gdy małżonkowie siebie nie osądzają, lecz wzajemnie się wspierają. I taka współpraca musi się zacząć w trakcie „chodzenia” – narzeczeństwa i musi nie mieć końca, ale bez moralizowania i „wychowywania”...

W tej kwestii trzeba jednak uprzedniego rozeznania, czy deklarowana i ukazywana plastyczność jest autentyczna, szczerza i wytrwała. Czy nie jest tylko mową i pokazem aktorskim dla pozyskania człowie-

ka, na którym komuś zależy. Znane są bowiem aż nadto dobrze wypadki, że chłopak, oddalony od wiary i nihilista moralny, z chwilą zakochania i pod ciśnieniem namiętności gotów jest nie tylko chodzić do kościoła, lecz nawet odmawiać różaniec do czasu, aż swój bliższy cel osiągnie; a gdy dziewczyna powie mu, że zaszła w ciążę, ukazuje wtedy bardzo często swoje prawdziwe oblicze, zdzierając z siebie maskę udawaną religijności, moralności i miłości; może to nastąpić i po ślubie.

Warto zakończyć te nie dokończone rozważania na temat poznawania się i wyboru kandydata do małżeństwa jeszcze jedną mądrą uwagą dr E. Sujak: „Tak więc wszechstronne poznanie przed ostateczną decyzją wspólnego życia opłaca się stokrotnie bardziej, aniżeli burzliwa obrona złudnego, utkanego z marzeń, złudzeń i życzeń obrazu pokochanego człowieka, obrazu skazanego na katastrofę w zderzeniu z rzeczywistością” (*Kontakt psychiczny w małżeństwie i rodzinie*). Z katastrofą idzie swego rodzaju męczeństwo. Czy na nie jestem przygotowany(a)?

Kto po uczynieniu lekkomyślnego i fałszywego kroku „weźmie swój krzyż” i pójdzie za Panem, ten przynajmniej może mieć nadzieję, że ta katastrofa i to męczeństwo znajdą swój kres za progiem doczesności. Ale na tę drogę trzeba mieć wielką wiarę i autentyczną miłość.

## OBRZĘD SAKRAMENTU MIŁOŚCI

I tak w rozważaniach naszych – zbliżyliśmy się do obrzędu Sakramentu Małżeństwa. I ten Sakrament, podobnie jak inne, przez swój znak widzialny udziela wiele łask i darów niewidzialnych, nazwanych i nie nazwanych przez teologów, jeżeli przystępujący do niego wypełnia określone warunki, a głównie – warunek wiary i pragnienia otrzymania od Chrystusa tych dobrodziejstw.

Na każdy sakrament składają się: jego istota i jego ramy obrzędowo-dydaktyczne, symboliczne – niejako zewnętrzny ornament. Istota sakramentu jako ustanowiona przez Chrystusa zmieniać się nie może. Natomiast wszystkie elementy dydaktyczne i zewnętrzno-obrzędowe podlegają zmianom. W dużym wymiarze takie zmiany nastąpiły po Soborze Watykańskim II. Najważniejsze dotyczą języka. W całej liturgii, poczynając od Mszy św., wprowadzono języki narodowe; dokonano też pewnych zmian w samych obrzędach. Mszę św. zaczęto odprawiać twarzą do ludu, dla ułatwienia kontaktu celebransa z wiernymi. W niektórych krajach biskupi zezwolili na rozdawanie Komunii św. na dłonie.

Dla ludzi zbyt mocno przywiązanych do dawnej formy obrzędów, nie odróżniających istoty rzeczy od jej oprawy, niektóre zmiany stanowiły kamień obrazy, wyzwały negatywne emocje i protesty.

Mimo to, nawet w najbardziej konserwatywnych społeczeństwach, takie zmiany następowały i następować będą.

Pewnym zmianom uległ też obrzęd, czyli ryt Sakramentu Małżeństwa. We wszystkie jego części wszedł język ojczysty. Na zalecenie Soboru Sakrament Małżeństwa sprawuje się w zasadzie w czasie Mszy św., co przedtem było rzadkością. W ten sposób Kościół podkreśla prawdę, że Msza św. jako Boski znak i testament miłości Chrystusa jest jakby Nadsakramentem i źródłem innych sakramentów, a więc i Sakramentu Małżeństwa. W nowym rycie jeszcze jaśniej podkreśla się istotne warunki i elementy sakramentu: konsens, czyli zgodę na oddanie się sobie, zasadę jedności i nierozzerwalności małżeństwa oraz wolę zrodzenia i wychowania po katolicku potomstwa. W niezmienionej prawie formie pozostały słowa przysięgi małżeńskiej. Instrukcje najwyższych władz do spraw liturgii w Kościele dają duszpasterzom pewną swobodę w zachowaniu zwyczajów i form regionalnych, towarzyszących liturgicznym obrzędom ślubnym.

Popatrzmy teraz na poszczególne części uroczystego ślubu katolickiego. Narzeczeni mogą od razu przyjść przed ołtarz i po oddaniu hołdu Jezusowi w Najświętszym Sakramencie zasiąść na przygotowanych miejscach i czekać na wejście kapłana – celebransa. Mogą też na propozycję kapłana ustawić się wraz z asystą przy drzwiach kościoła, gdzie ich spotyka celebrans ubrany w szaty liturgiczne i prowadzi uroczyście przed ołtarz. Jest to symbol i wyraz radości Kościoła z zawiązującej się nowej komórki społecznej w miłości i z oddania się jej pod opiekę Chrystusa i wspólnoty

chrześcijańskiej. Od ołtarza kapłan poleca narzeczonych modlitwom zebranych wiernych i rozpoczyna Mszę św. Po Ewangelii i homilii młodzi wstają, zbliżają się do ołtarza i celebrans zadaje im trzy wstępne, decydujące o ważności Sakramentu pytania:

– Czy chcecie dobrowolnie i bez żadnego przymusu zawrzeć związek małżeński?

– Czy chcecie wytrwać w tym związku w zdrowiu i chorobie, w dobrej i złej doli, aż do końca życia?

– Czy chcecie z miłością przyjąć i po katolicku wychować potomstwo, którym was Bóg obdarzy?

Narzeczeni winni szczerze na każde pytanie odpowiedzieć: Chcemy. I oto już są założone duchowe, moralne i prawne fundamenty związku miłości. Teraz nastąpi rzecz istotna Sakramentu – przysięga. Ponieważ to krok niezmiernie ważny, a dotrzymanie przysięgi często trudne, rytuał przewiduje, aby wszyscy obecni, a szczególnie narzeczeni zwrócili się uroczyście z modlitwą do Ducha Świętego, prosząc Go o umacnianie, ubogacanie w miłości i uświęcenie tego związku. Tą modlitwą jest tradycyjny hymn zaczynający się po łacinie od słów *Veni Creator*, a po polsku – „O Stworzycielu Duchu, przyjdź”. Po zakończeniu hymnu – modlitwy na wezwanie kapłana młodzi podają sobie prawe dłonie, celebrans przewiązuje je stulą, co symbolizuje oddanie się sobie i gotowość rozpoczęcia wspólnego życia z dłonią w dłoni, przez wzajemne wspieranie się na drogach i bezdrożach doczesności. Stulą to znak władzy kapłańskiej, która w imieniu Boga łączy, scala i ubezpiecza ten nierozwalny związek.

Słowa przysięgi nowożeńcy powtarzają za celebransem albo odczytują kolejno sami bezpośrednio z księgi rytuału. Jest to znak, że sami udzielają sobie wzajemnie sakramentu przy urzędowym świadku Kościoła i w obecności przynajmniej dwóch świadków wspól-

noty wiernych. Pierwszy wypowiada słowa przysięgi narzeczone: „Ja N. biorę ciebie N. za żonę i ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz to, że cię nie opuszczę aż do śmierci. Tak mi dopomóż, Panie Boże Wszechmogący, w Trójcy Jedyny i wszyscy Święci”. Identyczne słowa przysięgi wypowiada panna młoda. I oto w tej chwili narzeczeni stają się już małżonkami – mężem i żoną. Słowa przysięgi są pełne treści i mocy dla tych, którzy je słyszą i rozumieją. Wyrażają one nie tylko uczucie, które jest zmienne, lecz decyzję zachowania fundamentalnej i wielokształtnej miłości, która oznacza dostrzeganie wartości, szacunek, życzliwość, troskę, odpowiedzialność, gotowość do ofiar i poświęceń, dawanie z siebie oraz decyzję trwania w tym związku aż do śmierci. Tę swoją wolę deklarują nie tylko wobec przedstawicieli społeczeństwa i Kościoła, lecz także przed majestatem Boga Wszechmogącego.

Ponieważ znający dobrze realia ludzkie Kościół wie, że nie tylko uczucia w człowieku są niespokojne i zmienne, lecz i jego wola jest słaba, umieszcza w formie przysięgi uroczyste wezwanie modlitwę: „Tak mi dopomóż, Panie Boże Wszechmogący, w Trójcy Jedyny i wszyscy święci”. I na pewno wiele mocy spływa do tych młodych dusz, jeśli tę modlitwę wypowiadają świadomie, szczerze, pokornie, z zaangażowaniem myśli, serca i woli. I wtedy dom przyszłości tego małżeństwa – niezależnie od oprawy dekoracyjnej – będzie ubezpieczony, zbudowany nie na piasku lotnych i zmiennych uczuć, i nie na słabej woli człowieka, lecz na skale miłości i mocy Chrystusa, który przez ten Sakrament w sposób szczególny włącza się w życie tego małżeństwa i rodziny. Opuszcza ją tylko wtedy, gdy małżonkowie odwrócą się od Niego sami.

Po sakramentalnej przysiędze kapłan wypełnia swoją funkcję oficjalnego świadka Kościoła i przypo-



mina nowożeńcom ewangeliczne prawo o nierozzerwalności związku małżeńskiego: „Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela” (Mt 19,61), po czym powagą Kościoła potwierdza to małżeństwo i błogosławi.

Z kolei następuje nieistotny, ale piękny i symboliczny obrzęd poświęcenia i nałożenia obrączek. Poświęcając je, kapłan ukazuje ich symboliczne znaczenie: znak wierności i miłości. Poleca też, aby sami nowożeńcy nałożyli sobie wzajemnie ten znak na serdeczne palce. Odtąd te obrączki będą im przypominały co dzień, że należą do siebie, że są niejako przykuci do siebie na dobrą i złą dolę. Będą wskazywały także innym, że nie są wolni i nie mogą być przedmiotem pożądania czy miłości erotycznej. To ograniczenie wolności staje się lekkie, a nawet radosne w znoszeniu: dokonuje tego miłość, dla której każda ofiara na rzecz osoby kochanej staje się radością. Występuje tutaj paradoks – pozorna sprzeczność niewola staje się radosną wolnością. I ten paradoks wyrażają nowożeńcy szlachetnością metalu, z którego swoje obrączki sporządzają (przeważnie ze złota). Złote obrączki przypominają im: Jesteście do siebie przywiązani, ale ogniwami złotymi, których ograniczeń ani ciężaru nie odczujecie nigdy, jeżeli wasza miłość będzie trwała, lśniąca i czysta jako złoto. Ponieważ obrączki są symbolami wybitnie chrześcijańskimi, dlatego katolicy, którzy głęboko przeżywają swoją wiarę i swe małżeństwo budują na Ewangelii i Chrystusie, nie noszą ich po ślubie cywilnym, aby nie mylić siebie i innych tym wymownym znakiem prawdziwego małżeństwa.

Po włożeniu obrączek kapłan kontynuuje Mszę św. z modlitwą wiernych, wyznaniem wiary i ofiarowaniem darów. Jeżeli nowożeńcy są liturgicznie do tego przygotowani, mogą sami złożyć dary w postaci wina, wody, a nawet w jakiejś innej postaci jak świece, ob-

rus itp. Mogą też przyjąć Komunię św. pod dwiema postaciami. Po „Ojcze nasz” rytuał przewiduje specjalną modlitwę za poślubionych i rozszerzoną formułę błogosławieństwa na zakończenie Mszy św.

Zachowując lepszą czastkę z dawnych zwyczajów, warto, żeby poślubieni polecili jeszcze swój związek Tej, która najpełniej urzeczywistniła miłość do Boga i ludzi. Mogą po Mszy św. uklęknąć przed ołtarzem lub wizerunkiem Matki Bożej i odmówić przynajmniej „Pod Twoją obronę”. I właśnie wtedy jest najlepszy czas na odśpiewanie „Ave Maria”, czy jakiejś pieśni – modlitwy ku czci Królowej Rodzin.

Potem następują życzenia, kwiaty, wesele. Wszystko to warto zachować jako ludzkie i ubogacające zwyczaje, warto też pielęgnować godne zachowania, różnego rodzaju obrzędy. Wszakże jeszcze bardziej warto pamiętać, że ani od koloru i kroju sukni weselnej panny młodej, ani od ilości asysty, ani od jakości muzyki, ani od mnogości kwiatów, ani od zachowania tradycyjnych zwyczajów nie będzie zależało dobro i szczęście rodziny. Będzie ono zależało od tych warunków i wartości, którym przyjrzelśmy się w toku naszych rozważań. Młodzi szukający szczęścia w małżeństwie (a któż go nie szuka!) winni wpisać w swoje szukanie, oczekiwania i poglądy mądre, pełne realizmu słowa H. Sienkiewicza zapisane w „*Rodzinie Polanieckich*”: „Małżeństwo – to służba Boża, a szczęście – to podarek Boży”. Można tę myśl rozwinąć i powiedzieć dalej: Szczęścia nie można wydrzeć, można je tylko wysłużyć. Im mniej szukania siebie, tym więcej tego bezcennego daru stanie się udziałem małżonków. Zdecydowanie należy eliminować zwyczaje, które zakrawają na przesady i zabobony, a szczególnie należy postawić tamę pijaństwu. Powinno się też ograniczać wystawność wesel, posuwającą się często aż do marnotrawstwa. Chrześcijańscy małżonkowie win-

ni ponowić zaproszenie Jezusa na gody weselne całym sercem, myślą i wolą. I muszą pamiętać, że On jest pierwszą Osobą na weselu. I powinni czuwać, aby nie musiał opuścić weselnego domu i serc weselników. A gdy z nimi pozostanie, nie zuboży prawdziwej godnej ludzkiej radości, lecz ją ubogaci i pogłębi, jak ongiś w Kanie Galilejskiej.



## MIŁOŚĆ I WESELE

Skoro już w naszych rozważaniach doszliśmy do wesela, warto temu zwyczajowi poświęcić nieco więcej uwagi. Słowo „wesele” kojarzy się zawsze z radością, z wesołością. A ponieważ z łaski Boga ludzie nie mała mają źródeł i okazji do radości i wesołości, można by powiedzieć, że wesel jest wiele. Ale ilekroć wymawiamy to słowo – prawie zawsze mamy na myśli spotkanie i przyjęcie poślubne. Takie wesela z uboższą lub bogatszą oprawą obrzędową są tak dawne, jak dawny jest człowiek i jak dawno ludzie wstępują w związki małżeńskie.

Nawet u prastarych i prymitywnych ludów wejście w życie małżeńskie odbywało się przez jakiś obrzęd sakralny. A temu obrzędowi towarzyszyło albo po nim następowało na poły sakralne przyjęcie weselne dla licznych gości – krewnych i sąsiadów – z różnymi obrzędowymi ceremoniami, tańcami i ucztą – wyrażającymi radość z przeżywanego lub też spodziewanego szczęścia w związku małżeńskim.

Nowożeńcy bowiem pod każdą szerokością geograficzną byli i są weseli, bo wierzyli i wierzą, że ich – w różnych barwach widziana – miłość, że ich tęsknoty i pragnienia znajdą urzeczywistnienie, utwierdzenie i ubogacenie w tym związku. Wtedy zwykle

nie uświadamiają sobie, ile trudów, rozczarowań i cierpień przyniesie im małżeństwo. Przekonani są raczej, że od chwili połączenia się będą przeżywali coś z kolorowej bajki, której bohaterzy po przygodach, perypetiach, walkach i niepokojach wreszcie łączą się z sobą i wchodzą do domu, gdzie żyć będą beztrudnie, spijając „miód i wino”, jako symbol szczęścia. Cieszą się więc sobą i innych zapraszają do udziału w radości.

W niektórych krajach i społeczeństwach takie wesela z symbolicznymi zwyczajami i ceremoniami przeciągały się na całe dni. Znamy bliżej obyczaje weselne starożytnych Izraelitów, u których gody weselne trwały z reguły cały tydzień i pochłaniały wiele potraw i napojów. I właśnie na jedno z takich wesel zaproszono Najświętszą Matkę i samego Jezusa. Jezus zaproszenie przyjął – i co zdumiewa – tam na prośbę Matki uczynił pierwszy cud, ujawniając swoją boską potęgę. Zabrakło wina, bo wesele przeciągnęło się na wiele dni, a gości przybywało, czego nie przewidział gospodarz.

Fakt udziału Jezusa i Jego zaangażowania w uczenie weselne ma dla nas doniosłą wymowę. To znaczy, że Jezus nie tylko aprobuje zwyczaj wesel, lecz je uświęca i nadaje im głęboką treść. Przez swoją obecność nie tylko nie mrozi, lecz pomnaża radość. Ten fakt wystarczyłby chyba na wyrobienie poglądu chrześcijan na zasadniczą wartość moralną wesel, ale pewne okoliczności sprawiają, że w naszych czasach stwarzają one problemy.

Większość chrześcijan nadal wesele uważa za oprawę ślubu i wesela urządza. Ale już znaczna część wstępujących w związki małżeńskie chce ograniczyć wesele lub w ogóle z niego zrezygnować. I tak już niektórzy postępują. Otrzymują błogosławieństwo małżeńskie w kościele parafialnym albo wybierają przez licencję jakieś sanktuarium (np. Jasną Górę) lub cichy

kościół akademicki i po ślubie bez żadnego przyjęcia uciekają we dwoje w „świat”, choć często tym „światem” bywa pokój sublokatorski albo kąpielownia w hotelu robotniczym, czy w domu studenckim. I sądzą, że postępują ze wszech miar słusznie.

Jak takie poglądy i praktyki ocenić w świetle obiektywnych wartości moralnych i kulturowych? Otóż, mimo pozorów słuszności takiej postawy wyżej, należy ocenić poglądy i praktyki tradycyjne. Dla chrześcijan główną i ostateczną przesłanką takiej oceny jest Kana Galilejska. Jezus nie przypadkowo gody weselne uświęcił i ubogacił. Widział ich wartości. I te wartości istnieją i dzisiaj. Ślub zawsze był aktem publicznym i społecznym. Stąd też nie wolno błogosławić małżeństwa bez obecności przedstawicieli społeczeństwa – przynajmniej w postaci dwóch świadków. Ślubami w najwyższym stopniu są zainteresowane takie społeczności jak Kościół i państwo. Z dawien dawna ślubem interesowała się cała rodzina, cała wieś, parafia, a czasem miasto i kraj. I to jest mimo cieni – zjawisko jak najbardziej pozytywne. Wesele poślubne może dać świetną okazję do pojednania zwaśnionych i zagniewanych, może ożywić i wzmocnić więzi rodzinne, sąsiedzkie, koleżeńskie, a to służy poszerzeniu kręgów miłości w społeczeństwie. To też – jakiegokolwiek by przyświecały temu pobudki – oddalenie kłopotów z urządzeniem wesela czy zejście z oczu gapiów i wścibskich – zawsze taka „ucieczka” zuboża społeczność o łączące i spajające dynamizmy moralne.

Ale zrozumiała się staje w naszych czasach wśród dojrzałej moralnie młodzieży dezaprobata nawet skromniejszych wesel i przyjęć. Zbyt często bowiem nasze wesela nie spełniają swojej pozytywnej roli. Nie tylko nie jedną, nie poszerzają kręgów miłości, lecz nierzadko rozdzielają, budzą konflikty, a nawet upa-

dlają biesiadników łącznie z nowożeńcami. Te ujemne zjawiska cechują wesela nieroztropnie rozrzutne – czasem wesela ponad stan. Niektórzy rodzice i nowożeńcy zaciągają długi albo wyzbywają się zapasów żywności, co potem stwarza napięcia nerwowe, wywołane dodatkowymi brakami środków godziwego życia.

Największym jednak wrogiem pozytywnej roli wesel jest oczywiście nadużycie alkoholu, które degradowuje wesela i poniża ich uczestników. Toteż nic dziwnego, że pewna część zaangażowanej w życie religijne młodzieży stara się wyrwać z niechlubnej tradycji obżarstwa, a zwłaszcza opilstwa i odrzuca cały obyczaj wesel poślubnych.

Niektórzy głoszą hasła przynajmniej całkowitego usunięcia alkoholu w każdej postaci z przyjęć weselnych.

Jak się do tych haseł ustosunkować? W zasadzie dwie butelki szampana i kilka butelek wina nie muszą naruszyć godnego charakteru uczty weselnej i nie muszą wywoływać negatywnych skutków moralnych. To jasne w świetle Kany Galilejskiej. Tylko trzeba stanowczo i zdecydowanie zachować zasadę umiaru i kultury. Nad tym muszą czuwać rodzice i nowożeńcy. Muszą czuwać, aby nie znalazły się na stole biesiadnym alkoholowe prezenty. Przedtem należy wykluczyć rozrzutność w przygotowaniu potraw i napojów. Karykaturalnie wygląda to przygotowanie, gdy gospodarz wesela zakupuje 1/2 l wódki i 5 butelek piwa na głowę. Nic wtedy dziwnego, że niektórzy duszpasterze ulegają irytacji i oburzeniu, gdy parafianie składają przy tak doniosłej życiowo okazji taką ofiarę na kościół, która stanowi kilka procent tego, co wydaje się na wódkę i wina. Rzecznicy całkowitego usuwania z przyjęć weselnych każdej postaci alkoholu podkreślają, że na ogół u Polaków kultura picia



jest bardzo niska, że najczęściej uczestnicy przyjęć przekraczają granice umiaru i schodzą na płaszczyznę poniżającego opilstwa i zamroczenia. I wtedy rzeczywiście umacniają się racje, aby przyjmować zasadę całkowitego wykluczenia alkoholu także jako protestu przeciwko jego nadużyciom i dla przezwyciężenia mitu, jakoby bez alkoholu nie mogło być na weselu wesoło – jakoby tylko alkohol wyzwał wesołość i radość.

Do hasła „bez alkoholu” właśnie z powodu niskiej kultury picia skłania się coraz więcej duszpasterzy i przy przyjmowaniu zaproszeń na wesele wielu z nich stawia warunek całkowitej nieobecności alkoholu.

Ale Jezus, który przez Sakrament wszedł w życie małżonków, pozostanie przy stole, na którym znajdzie się parę butelek wina. Wszakże wszyscy winni uważać, aby On nie musiał opuścić weselnego grona. Chrystus nie może pozostawać tam, gdzie się poniża godność człowieka, gdzie mowa przechodzi w bełkot, a instynkty zastępują rozum...

Krystyno i Maćku. Nie zapomnę Waszego wesela. Pamiętam – uczta weselna rozpoczęła się modlitwą, na której duszpasterz mógł w sposób autentyczny, przypomnieć uczestnikom wesela, że zaprosiliśmy na ucztę także Pana i Jego Matkę, i że Oni są wśród nas... Potem toast z szampanem – i więcej nic z alkoholu. Posilek przerywany muzyką, odpowiednio nastrojową i piosenkami nawiązującymi do słów Ewangelii (no, bo było tam około 20 osób, przyjaciół z Duszpasterstwa Akademickiego). Potem wesołe tańce, znów przerywane piosenkami i korowodami, „aby wszyscy się bawili”... Godzina 21,00 – Apel Jasnogórski, a potem znów wesoła zabawa. O 22,00 opuściłem salę, ale nazajutrz rano dowiedziałem się, że o 24,00 obecnej na weselu Matce Bożej poświęciliście cząstkę Różańca – bo, skoro Ona jest z nami, należy o Niej pamiętać

i należy Ją uczcić. I dalej trwała radość. Ci, którzy wyrażali obawy, czy bez alkoholu będzie wesoło, byli zdumieni, że na tym weselu aż tak było wesoło.

A działo się to nie w krainie Utopii, ale w Polsce, w pobliżu wielkiego centrum przemysłowego, 1 października Roku Pańskiego 1983.

## ZAWIŁE DROGI EROSA I KRĘTE DROGI DO MAŁŻEŃSTWA

Rozważając w poprzednich rozdziałach stronę psychologiczną i etyczną miłości, musieliśmy zauważyć, iż nie ma większych trudności i kłopotów z opisaniem miłości fundamentalnej, ogólnoludzkiej w tym sensie, że jej drogi, choć twarde i strome, są zarazem jasne i proste. Prosta, choć nie zawsze łatwa w realizacji, jest ewangeliczna zasada: „Jak chcecie, żeby ludzie wam czynili, podobnie wy im czyńcie” (Łk 6,31).

Inaczej przedstawia się sprawa z miłością erotyczną, uczuciową, wiodącą w zasadzie do małżeństwa. Jej drogi są często zawile, podobne do meandrów, zakoli i wirów rwącej rzeki, płynącej wśród przełomów, głazów i zarośli, tworzącej progi, głębie i mielizny. To nieczęste zjawisko, aby ludzie zranieni strzałą Erosa, mogli łatwo się wybrać i bez trudności dojść do ołtarza albo – w czas się rozstać, skoro spostrzegli, że nie potrafią uczciwie powiedzieć: „... aż do śmierci...”.

Nie zamknięta jest lista bolesnych i dramatycznych sytuacji, o których wspomnieliśmy już w naszych poprzednich rozważaniach. A teraz warto przyjrzeć się im bliżej, aby przed nimi przestrzec, tych, którzy odpowiedzialnie traktują los swój i swoich bliźnich.

– Co robić, gdy obie strony dostatecznie się poznały i duchowo się zbliżyły, ale mimo upływu dłuższego czasu nie mogą się zdecydować na ślub?

– Jak postąpić, gdy jedna ze stron po dłuższym „chodzeniu” (np. po 2 latach) dojdzie do wniosku, że (on, ona) nie może być partnerem do życia małżeńskiego?

– Co robić, gdy jedna ze stron (albo i obie) spostrzeże, że pod pozorem gorącej miłości kryje się tylko pożądanie i namiętność?

– Jak postąpić, gdy miłość okazuje się bezwzajemna?

– Jak postąpić, gdy z nieodpowiedzialnych stosunków przedmałżeńskich poczęło się dziecko, a któryś z partnerów albo oboje nie żywią do siebie miłości?

Przyszedł kiedyś do mnie już pracujący Wojtek (chłopcy na ogół są bardziej szczerzy i otwarci wobec swoich duszpasterzy) i potykając się w doborze słów, powiedział mi w końcu: „Ksiądz wie, że z Renią chodzę już ponad 3 lata i wciąż zwlekamy z ostateczną decyzją. Wciąż mamy wątpliwości, czy naprawdę się kochamy. To nie jakaś szalona miłość... Czy to nie byłoby więc małżeństwo tylko „z rozsądku”?

Wojtek nie był jedyny, bo wahających się jest wielu. I odkładających decyzję jest też sporo. Zdarza się, że niezdecydowane są obie strony albo – tylko jedna. Zapraszałem ich na rozmowę i cóż im radziłem? Najpierw „egzaminowałem”. Pytałem: „Czy posiadacie miłość człowieka? Czy widzicie w sobie wartość samego człowieczeństwa? Czy szanujecie się? Czy pragniecie nawzajem dla siebie dobra? („Chcę dla ciebie dobra!”). Czy gotowi jesteście wziąć na siebie odpowiedzialność za losy drugiej strony? Czy gotowi jesteście złożyć z siebie nieodwołalny dar na dobrą i złą dolę dla drugiej osoby? Czy nie ma między wami głębszych różnic w poglądach na istotne sprawy etyki i życia? Czy widzicie w tym drugim człowieku jakieś spe-

cyficzne wartości – jakieś cenne cechy umysłu, charakteru? Czy możecie bez zastrzeżeń w liturgii Sakramentu Małżeństwa odpowiedzieć „tak” na 3 istotne pytania:

– Czy chcecie dobrowolnie i bez żadnego przymusu zawrzeć związek małżeński?

– Czy chcecie wytrwać w tym związku w zdrowiu i chorobie, w dobrej i złej woli, aż do końca życia?

– Czy chcecie z miłością przyjąć potomstwo, którym Bóg was obdarzy?

Na ogół miałem szczęście. Egzaminowani, zwykle po pewnym namyśle, odpowiadali – „tak”. Wtedy mówiłem i jeszcze raz mówię: Nie szukajcie idealnych mężów i żon – księżniczek i królewiczów z bajki albo wątpliwych wzorów z erotycznych filmów! Nie przywiązujcie zbyt dużej wagi do emocji i uniesień uczuciowych. One są zawsze zmienne i często zawodne. Na ogół małżeństwa „z rozsądku” są szczęśliwsze, aniżeli te uwite z emocji, gorących uczuć i namiętności. Bardziej ufajcie miłości, z której was egzaminowałem. A jeżeli tę „rozsądną” miłość będziecie rozwijali i ubogacali, nastąpi ożywienie miłości uczuciowej, zwłaszcza, gdy w klimacie czułości, etyki i kultury będziecie jako małżonkowie korzystali z prawa i daru jednoczenia się także i cielesnego. Zróbcie więc jeszcze rachunek sumienia, przystąpcie do spowiedzi, powierzcie siebie Chrystusowi w Eucharystii i podejmijcie w imię Jego woli wcale nie ryzykowną, bo dojrzałą i błogosławioną przez Najwyższą Miłość decyzję. Przeciąganie bowiem wahań narusza zasady higieny psychicznej u obu stron, a szczególnie niekorzystnie odbija się na psychice dziewczyny.

W tym miejscu chciałoby się zaapelować do dojrzałych chłopców, którzy przecież na tym obszarze życia nadal mają główną inicjatywę: „Nie szukajcie sympatii i żon za górami, za lasami” – na krajowych i zagra-

nicznych zjazdach i wyjazdach. Otwórzcie oczy w kręgu koleżanek ze studiów, z młodzieżowego środowiska, wokół Duszpasterstwa Akademickiego lub w zakładzie pracy. Tu dostrzeżcie już znane i dające się dalej poznać jako wartościowe, miłe, skromne i przystojne dziewczęta, które mogą być dobrymi żonami i matkami i stanąć przy was w dążeniach do realizacji ideałów religijnych, moralnych, osobistych i społecznych. Nie odczuwacie pociągu i gorąca własnego serca? To nic. Spowszedniały wam może te wasze koleżanki w kieracie codziennych spotkań i pracy. Ale macie dla nich szacunek, pragniecie dla nich dobra. Czujecie się dobrze w ich towarzystwie, jesteście pewni ich życzliwości... A to są przecież fundamentalne elementy miłości, na których można budować „dom na skale”. Ci zaś, którzy mieli oczy przymknięte na te wartości, często dawali się usidlić przez kokieteryjne, przygodne sympatie, za co musieli i muszą płacić ciężkimi przeżyciami i dramataми bez końca.

Gdyby natomiast odpowiedzi na pytania naszego egzaminu wypadły zdecydowanie negatywnie, gdyby między tymi osobami zaistniała niechęć lub zupełna obojętność erotyczna, gdyby ujawniły się istotne różnice światopoglądowe, etyczne i kulturalne, wtedy trzeba, podjąć choćby i trudną decyzję: „nie” – i to jak najrychlej, bo zwlekanie z nią w takiej sytuacji jest – powtórzmy to bardzo szkodliwe zwłaszcza dla dziewczyny.

Gdy taka decyzja nastąpi z jednej strony po dłuższym „chodzeniu”, dla osoby nie wybranej czy pozostawionej, może to być poważny cios psychiczny. Szczególnie, gdy tą stroną nie wybraną będzie dziewczyna. Ale na to nie ma doraźnego znieczulającego lekarstwa. Każdy musi w tym widzieć normalny bieg rzeczy. Po to bowiem istniała instytucja narzeczeństwa, a teraz ma miejsce „chodzenie”, aby osoby sympatyzujące bli-

zej się poznały i w tym czasie się wybrały lub nie wybrały i – oddaliły się od siebie. Ta ostatnia decyzja łączy się dość często z wyborem innej sympatii, co zwykle zaostrza ból u osoby opuszczonej. Ten ból należy uszanować i wszystko uczynić, aby go pomniejszyć.

Jeszcze bardziej trudną i bolesną sytuację przeżywa para, która odkrywa, że jej więź powstała nie z miłości, lecz z pożądania i pociągu zmysłowego. A wiadomo, jak nietrwała, ale i silna jest ta więź. Wtedy otwierają się przed tak powierzchownie zakochanymi dwie drogi – jedynie etyczne i rozsądne: albo spod tych emocji wydobyć i w dłuższym czasie utwierdzić autentyczną miłość, albo zdecydowanie oddalić się od siebie, choć to może wywołać duży ból i protesty irracjonalnych sił w człowieku. Często narzucają one usprawiedliwiające wymówki – slogany: „Nie mogę... To silniejsze ode mnie...Niech się dzieje, co chce...” Otóż przez ten zgiełk pokus i wezwań do kapitulacji powinien do świadomości chrześcijanina i chrześcijanki dojść głos św. Pawła: „Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia...” Z Bogiem wszystko mogę. Mogę ocalić swoją godność, wolność i swój los. Mogę i muszę go (ją) opuścić dla dobra swego i dobra jego (jej). Uczucia płaczą, buntują się, ale jestem w stanie z bolesnym wysiłkiem je opanować, a czas rany zablizni i ból wyciszy.

Ilekroć mówimy tutaj o „odejściu” czy „pozostawieniu” partnera przed ślubem, mamy na myśli odejście w duchu chrześcijańskiej miłości bliźniego z maksymalną kulturą międzyludzką. W wypadku takiej konieczności należy uszanować i łagodzić ból osoby opuszczonej. W takich okolicznościach łatwo mogą wyzwalać się ostre resentymenty – uczucia negatywne, popychające do nienawiści i zemsty – do obmowy i oczerniania osoby opuszczającej. Wtedy sprawdza się poziom moralności i miłości ludzi. Przy takiej weryfi-

kacji poznaje się, jaka to była w istocie miłość, kto byłby twoim mężem lub żoną. Jakże brutalnym i nieetycznym sposobem odejścia jest opuszczenie swojej sympatii bez słowa wyjaśnienia, usprawiedliwienia, a czasem koniecznego rozliczenia moralnego.

Nie mniej bolesne dramaty albo i tragedie powstają z braku wzajemności w kochaniu. Ciężka jest do zniesienia sytuacja braku wzajemności w miłości zasadniczej, fundamentalnej: gdy ktoś kocha, świadczy drugiemu dobro, a obdarowany nawet nie dostrzega tego, nie docenia albo odplaca się zimną niewdzięcznością. Jeszcze bardziej boli nie odwzajemniana miłość erotyczna. Bywa dość często, że jedna strona od pierwszego wejrzenia ulega fascynacji uczuciowej, a druga zachowuje obojętność. Na nic prezentacja swoich najlepszych zalet, na nic zaklęcia, prezenty i roztańczane wizje – osoba adorowana często uczciwie mówi: „Szanuję cię i lubię, ale nie mam do ciebie głębokiego uczucia i nic na to nie poradzę”.

Co ma czynić osoba zaangażowana uczuciowo? Nie ma innej rozsądnej i uczciwej drogi – trzeba bez gniewu i szantażu – po prostu odejść. To trudne, jak i w poprzednich okolicznościach, ale innego wyjścia nie ma. Miłości nie można wymusić, narzucić czy wyszantażować. A rany zaleczy czas. Byłoby to postępowanie infantylne, gdyby ktoś wtedy zechciał robić drugiej stronie „na złość”: na złość podejmować zamach na swoje życie, czy w trybie przyspieszonym wyjść za mąż, lub ożenić się. Takie postępowanie byłoby nie tylko infantylne, lecz oczywiście i nieetyczne.

Może jeszcze bardziej bolesne, oburzające i „burzowe” sytuacje powstają – na szczęście coraz rzadziej – gdy któraś ze stron (najczęściej kobieta) odrzuca rękę adoratora ze względów materialnych czy społecznych, wybierając człowieka z lepszą pozycją materialną, społeczną czy polityczną.



Literatura romantyczna zaludniona jest takimi nieszczęsnymi bohaterami. Wielu z nich gorycze i żale zawodu wypowiedziało we wspaniałych utworach poetyckich. Uczynił to największy z naszych poetów, A. Mickiewicz. Razem z nim – dzięki pięknu strof – przeżywaliśmy jego dramaty i jesteśmy wdzięczni, że pozwolił nam wejrzeć w tajniki duszy ludzkiej, ucząc jak mimo porażek i z samych porażek można wydobyc nowe wartości, oczyścić siebie i wejść przez tę – jakby powiedział prof. K. Dąbrowski – bolesną dezintegrację na wyższy poziom życia.

Nie ulega wątpliwości, że najwięcej komplikacji i cierpienie rodzi się wtedy, gdy z powierzchownej, pozornej lub skłamanej miłości poczyna się dziecko.

Na wieść, że dziewczyna zaszła w ciążę, gorący amant zwykle znika z pola dramatu albo usiłuje nakłonić do zabójstwa poczętego dziecka.

W sytuacji miłości nie odwzajemnionej – strona zakochana będzie dążyła do ślubu, a strona niekochająca będzie skłonna do zbrodni.

Co radzić tym nieodpowiedzialnym ludziom, którzy odmówili zaufania etyce chrześcijańskiej i przekroczyli wezwanie Boże do zachowania czystości? Przede wszystkim – nie podejmować dalszych nieodpowiedzialnych kroków, nie dodawać grzechu! Nie obciążać sumienia zbrodnią! Nie wolno w żadnych okolicznościach i z żadnych pobudek zabić nie narodzonego człowieka (V przykazanie Dekalogu). On już ma prawo do życia!

Nie wolno chłopcu w podobnych okolicznościach porzucić dziewczyny bez rozliczeń moralnych i materialnych. W każdym wypadku chłopiec musi wziąć na swoje barki część odpowiedzialności za to, co się stało. Musi kobiecie pomóc w stworzeniu warunków do urodzenia i wychowania dziecka. (Można liczyć na pomoc Katolickich Poradni Rodzinnych).

Oczywiście najlepszym wyjściem dla rodziców i dla dziecka byłby ślub. Ale żadna ze stron nie może być zmuszona do małżeństwa, które musi być oparte na wyrażonej aktem wolnej woli zgodzie. Przymus mógłby zagrozić samej ważności ślubu. Zresztą wymuszone małżeństwa łatwo mogą stać się trwającym całe życie pasmem męczeństwa bez aureoli; natomiast zrodzone dziecko może przynieść samotnej matce wiele pokoju i radości.

Oto zarys trudnych, bolesnych, żeby nie powiedzieć „krwawych” problemów życiowych wielu, wielu młodych ludzi, którzy myśleli o dobrej, uszczęśliwiającej miłości, o uszczęśliwiającym małżeństwie, o szczęściodajnej rodzinie. I byli pewni, za pewni, że sami sobie poradzą, bez żadnych przestróg, praw, pouczeń i „ograniczeń”, że przecież „wszystko wiedzą” i potrafią się sami urządzić. I oto u progu życia – przekreślone marzenia, zawód, wstyd, ból... Szkoda, że tak wszystko skomplikowali, popsuli, zatruli...

Szkoda, ale to nie musi być tragedia bez dna i końca; nie ma tu jakiegoś fatum. Jak już zauważyliśmy, z porażki, z „dezintegracji” chrześcijanin ma wyjście ku górze, na wyższy poziom dojrzałości i kultury duchowej – ale nie sam. „Każdy jest kowalem swego losu”, ale nie sam. Jest Bóg, jest Chrystus – Odkupiciel, który przestrzega, radzi, broni, ale nie narusza podstawowej zasady konstytucji człowieczeństwa, nie przekreśliła wolnej woli. Człowiek może powiedzieć i Chrystusowi – „nie!” tylko potem nastąpią konsekwencje, o których się nie chce myśleć. Ale nawet i wtedy, gdy jako syn marnotrawny odwrócił się od Boga plecami i sam się „urządził”, aż do poniżenia godności, nędzy i głodu, Bóg – Ojciec nie cofa swojej troski i miłości. Ma człowiek otwartą drogę powrotu. Znalazł ją św. Augustyn, który z upadków wydzwignął się na wyżyny świętości, aby i innym wskazywać drogę z „sytuacji bez wyjścia”.

## PRZESTRZENIE MIŁOŚCI

W ostatnich czasach słyszymy często hasło: „Rodzina kościołem domowym”. Tego wyrażenia użył już w IV wieku sławny teolog i kaznodzieja, św. Jan Chryzostom. Po Soborze Watykańskim II idzie przez cały Kościół wezwanie do wiernych, aby tworzyli „kościóły” ze swoich domów i rodzin, żeby każdy chrześcijański dom stał się „małym kościołem”. I to w dwojakim sensie: kościołem społecznością, wspólnotą – częścią Mistycznego Ciała Chrystusa i – kościołem świątynią, domem Bożym. Słyszac to hasło, niejedyn mierzny chrześcijanin, może się zląknąć, że jego dom, gdzie czuł się swobodny i nie skrzepowany miałby się stać miejscem skrzepowania i ograniczenia swobody. Ale takie obawy wynikają tylko z nieporozumienia albo z dążenia do stworzenia sobie przestrzeni bez Boga, gdzie Bóg się nie liczy. Natomiast to hasło dla prawdziwych chrześcijan powinno być radosne i uzasadnione światłem Ewangelii i nauką św. Pawła, który pisał; „Czyż nie wiecie, że ciało wasze jest świątynią Ducha Świętego?” (1 Kor 6, 19), „My jesteśmy świątynią Boga Żywego” (2 Kor (6, 16).

Otóż jeżeli mój ojciec, matka i ja jesteśmy mieszkaniem Ducha Świętego – to nasza rodzina jest rzeczywiście żywą częścią wielkiego Kościoła Chrystu-

sowego. I przez wiarę i miłość, których źródłem jest łaska – stanowimy razem z innymi żywy organizm „Mistycznego Ciała Chrystusa”, stanowimy prawdziwy „kościół rodzinny”, „domowy”.

I jasny stąd wniosek i wezwanie, abyśmy pilnie i gorliwie dbali o to, by ta nasza cząstka Kościoła była żywa, zdrowa, wciąż pomnażająca się w łasce uświęcającej – aby się doskonaliła i uświęcała oraz promieniowała na inne rodziny.

Zatem należy zadbać o to, aby nasz dom, czy pokój miał podobieństwo do kościoła – świątyni także w swoim wystroju i w funkcjach religijnych.

Wchodząc do kościoła, mijamy kropielnicę ze święconą wodą. Maczamy w niej palce i czynimy uważnie znak krzyża św., prosząc Boga, by przez tę symboliczną kroplę wody obmył nasze pobrudzone grzechami serca, gdy wступujemy do świątyni naszego trzykroć Świętego Pana. Takie właśnie kropielniczki można umieścić przy drzwiach naszych mieszkań, aby wchodzący i wychodzący mogli uświadomić sobie, że znajdują się w progu „małego kościoła”, w obliczu Wielkiego Boga.

W kościele spostrzegamy ołtarz, krzyż, obrazy i symbole religijne. Otóż i w domu urządzonym po chrześcijańsku na pierwszym i widocznym miejscu musi się znajdować krzyż – nie miniaturowy, ledwie dostrzegalny, ukryty nad drzwiami czy w kąci, ale dobrze widoczny, zdecydowanie uczczony wizerunek Odkupiciela, którego gospodarze się nie wstydzą i nie krępują, lecz czczą Go publicznie i chlubią się Nim.

W domu – „małym kościele” – powinien także znaleźć miejsce jakiś ołtarzyk (na szafce, półce, stojaku) z krzyżem (może to być krzyż naczelny) – albo z obrazkiem, z posążkiem Matki Bożej czy jakiegoś Świętego (np. Patrona). Powinny się tam znaleźć świeca i księga Pisma św. Można nad księgą Pisma św. umieścić

małą kolorową lampkę. I oto nasz dom upodabnia się do kościoła. Już niknie rozdział dwóch domów – domu Bożego i domu człowieka, który w swej niekonsekwencji i małoduszności nie chciał przyznawać się „u siebie” do swoich świętości albo bał się uśmiechu ćwierć-katolika sąsiada czy gościa. Oczywiście, w domu – Kościele niedopuszczalne jest zamieszczanie obrazów i zdjęć niestosownych, a zwłaszcza pornograficznych!

Za podobieństwem wystroju powinno iść podobieństwo funkcji. W kościele-świątyni ludzie się modlą i w domu kościele rodzina powinna się modlić. Mogą ludzie i rodziny modlić się indywidualnie, ale też i wspólnie – przynajmniej wieczorem – i to właśnie przy ołtarzyku, przy zapalonych świecach, które symbolizują Światłość Świata i całopalną ofiarę Chrystusa oraz pozwalają lepiej się skupić i przeżyć spotkanie z Bogiem. Zestaw modlitw powinien się zmieniać i aktualizować. W poszczególnych okresach roku mogą się tutaj odbywać domowe nabożeństwa majowe, czerwcowe, październikowe, choćby z jedną tajemnicą Różańca.

W kościele – świątyni czyta się i komentuje Pismo św.; to samo powinno się czynić i w kościele domowym – przynajmniej raz na tydzień, zwłaszcza przed uroczystościami roku kościelnego (w Wigilię Bożego Narodzenia, Wielkanocy, Zesłania Ducha Św.). Zawsze należy choć parę minut zastanowić się nad Słowem Bożym, zastosować jakąś jego myśl do naszych aktualnych spraw i potrzeb. Oto wtedy ma miejsce „liturgia słowa” w naszym „małym kościele”.

Liturgii eucharystycznej w domach zasadniczo się nie sprawuje, ale w wyjątkowych okolicznościach (długa choroba) można poprosić kapłana o odprawienie Mszy św. w kościele domowym.

W kościele domowym sprawować się winna liturgia Sakramentu Chorych. To nie jest Sakrament tyl-

ko dla umierających, lecz dla wszystkich ciężko chorych. I dlatego chrześcijanie muszą przewyciężyć lęki i uprzedzenia wobec tego przynoszącego Boży pokój i moc daru Chrystusa.

W kościołach i kaplicach odbywa się nauczanie prawd wiary przez homilię czy katechezę. I w domowym kościele taka katechizacja odbywała się dawniej, odbywa się obecnie i winna być prowadzona na przyszłość. Rodzice są pierwszymi i niezastąpionymi nauczycielami i wychowawcami w dziedzinie życia religijnego. Oni swoim przykładem, postawą i umiejętnym słowem katechizują swoje dzieci od ich niemowlęstwa. I oto jest najgłębsza i najdonioślejsza katecheza. Rodzice bowiem znają najlepiej dziecięcy język słowa i gestu, i przeżywają z dzieckiem – mimo licznych anomalii – przynajmniej kilka godzin na dobę, wtedy gdy katecheta czy katechetka obcuje z dzieckiem parę godzin w tygodniu. Oczywiście tę doniosłą rolę katechetyczną mogą też pełnić i często znakomicie spełniają babcie i dziadkowie, lecz rodzice w żadnym wypadku nie mogą się czuć zwolnieni z religijnego wychowania dzieci!

I oto w tym małym kościele odbywa się niepostrzeżenie proces głębinowego wychowania – szczególnie przez postawę, przykład i świadectwo wiary najbliższych domowników. Głównym świadectwem wiary jest bezspornie miłość. Jeżeli więc dziecko oddycha na co dzień jak tlenem autentyczną wielokształtną miłością rodziców, rodzeństwa i domowników, czuła klisza dziecięcej duszy odwzorowuje i zapisuje w najbardziej głęboki i trwały sposób, co widzi i słyszy w swoim domu; a co jeszcze ważniejsze – nasiąka, napromieniowuje się ciepłem miłości i tworzy już podstawową tkankę charakteru i osobowości. A dzieje się to – jak uczy dzisiejsza psychologia wychowawcza – głównie w okresie od narodzin do 3–4 lat życia dziecka. Jeżeli rodzi-

ce zaczynają szukać „metod” i wychowywać dopiero w 5 lub 6 roku życia dziecka, a jeszcze gorzej w 14 roku – spóźnili się o 5 albo gorzej – i o... 14 lat!

Tutaj znajdujemy doniosłą odpowiedź na pytanie, jak wychowywać dzieci w ogóle, a w szczególności w dziedzinie religijno-moralnej. Nie tyle trzeba je „wychowywać”, ile stwarzać im a t m o s f e r ę r o z w o j u, nasyconą autentyczną wiarą, miłością i moralnym zachowaniem. Wtedy staną się zbędne: przymuszanie, napędzanie, represjonowanie, kary i moralizowanie, które nie harmonizują z klimatem duchowym domu – małego kościoła – i nie przynoszą zamierzonych efektów, jeżeli rodzice sami nie czynią tego, czego wymagają. Natomiast dziecku, które odżywiało się atmosferą autentycznej religijności domu, nawet nie trzeba przypominać o modlitwie, o spowiedzi, o Mszy św. niedzielnej, o chodzeniu na katechezę, o czystości, o pomocy zapracowanej matce, o prawdomówności, uczciwości czy sprawiedliwości. To wszystko dla dzieci jest jasne. Wtedy same dorastające dzieci będą rodzicom przypominały obowiązki religijne i moralne, co potwierdzają z radością szczęśliwe matki i ojcowie. Gdy zapytano wielkiego wychowawcę nowożytnych czasów, świętego Jana Bosco, jakie on stosuje „metody”, osiągając wprost niewiarygodne efekty wychowawcze, ten odpowiedział: „żadnych”. Bo rzeczywiście, ten geniusz pedagogiczny nie obmyślał żadnych metod, tylko kochał młodzież autentyczną miłością (także wymagającą!) i stwarzał klimat, w którym młodzież wszechstronnie się rozwijała i kształtowała. Tam nie było przepaści między zachowaniem w świątyni i w szkole czy internacie. Dom nawiązywał do tego, co dawał Kościół.

Na końcu tego rozważania należy jeszcze na chwilę powrócić do niepokoju niektórych chrześcijan starszych i młodych, że „dom – mały kościół” będzie ich krępo-

wał i odbierał im swobodę zachowania, do której dąży każdy człowiek. Nie! – to nie powinno nastąpić. Pan Bóg bowiem nie jest ani zimny, ani śmiertelnie poważny, ani nie wymaga takiej powagi i skrępowania od ludzi. Bóg jest zawsze młody i wiecznie radosny i nie gasi radości, wyrażającej się także humorem, śmiechem, zabawą i kulturalną swobodą. Taką atmosferę stwarzali święci w swej często niemal dziecięcej prostocie i wesołości; utarło się też na temat świętych znane powiedzenie, że „święty smutny, to smutny (czyli wątpliwy) święty”. Toteż taka atmosfera powinna panować i w „małym kościele”, w domu chrześcijańskim.

Na ogół dwa kościoły – ten świątynny i ten domowy – dzieli wielka różnica w zachowaniu się w nich ludzi i panującym nastroju. W świątyni dość powszechnie gości przesadna powaga i sztywność i dlatego dzieci źle się tam czują. A do domu często wdzierają się rozkielznana swoboda granicząca z grzechem albo otwierająca drogę grzechowi. Z jednej strony nie należy drętwieć ani sztywnieć w świątyni: w Domu naszego kochającego Ojca powinniśmy się czuć z szacunkiem i miłością zupełnie swobodnie. Nie należy uważać za grzech powitania znajomego jeszcze przed pozdrowieniem liturgicznym „pokój z tobą”, zamiany kilku zdań, ani przesadnie hamować swego śmiechu, gdy ministrant przewróci się przed ołtarzem z ampułkami. Z drugiej strony winniśmy, zachowując godziwą i kulturalną swobodę, strzec się, krzykliwego, egoistycznego, niegrzecznego, złośliwego, krzywdzącego albo dokuczliwego zachowania w domu.

Warto jeszcze zwrócić uwagę na problem s t r o j u w kościele – świątyni i w kościele – domu.

Strój – to wbrew pozorom – niebłaha forma czci albo braku szacunku dla samego siebie, dla Boga i ludzi. Na ogół ludzie znają to odczucie z własnego doświadczenia. Jeżeli ktoś do nas przychodzi lub nas



przyjmuje w ubraniu niekompletnym i niechlujnym, odczuwamy lekceważenie; jeżeli zaś na tę okoliczność wdziewa poważny, czysty albo i świąteczny strój, czujemy się uhonorowani. W podobny sposób studenci idący na egzamin honorują swoich profesorów.

Analogiczny wyraz ma strój i w kościele – świątyni.

Jeżeli świadomie, idąc do kościoła, wkładamy strój poważny, czysty i odświętny, wyrażamy cześć Panu Bogu; jeżeli zaś ktoś przychodzi do świątyni w odzieży brudnej albo nieskromnej, wyraża brak szacunku dla siebie, dla Boga i ludzi.

Kapłani na czas sprawowania funkcji religijnych wkładają specjalny strój liturgiczny, aby w ten sposób okazać cześć dla majestatu Boga. Ale i poza liturgią noszący w sobie cześć do Boga i Chrystusa kapłan i chrześcijanin nie powinni wchodzić do świątyni w stroju niedbałym, brudnym, błazeńsko – pstrokatym; nie powinny też wchodzić i poza nabożeństwem kobiety i dziewczęta w stroju nie licującym z tłem krzyżowej i eucharystycznej Ofiary Chrystusa, czego dziewczęta zbyt często nie dostrzegają.

Podobne reguły ubioru chrześcijanie powinni zachować i w swoim „małym kościele” – zwłaszcza przy modlitwie i wspólnych posiłkach. Wspólny posiłek winien przypominać chrześcijanom Ostatnią Wieczerzę Chrystusa i dlatego należy zasiadać do stołu w przyzwoitym stroju i pomodlić się przed jedzeniem i po zakończeniu posiłku, nie tylko w Wigilię Bożego Narodzenia.

A i poza tymi okolicznościami wszyscy domownicy „małego kościoła” z szacunku do siebie i współmieszkańców winni zakazać sobie chodzenie po domu w stroju niekompletnym, plażowym czy kąpielowym. Rodzice i wychowawcy winni do tej kultury wdrażać dzieci i wymogi przyzwoitości tłumaczyć i uzasadniać.

Szczytem niegodziwej i aroganckiej swobody jest grzech. Toteż taka swoboda musi być usuwana z kościoła-świątyni i z kościoła-domu. A jeśliby coś podobnego zaszło w jednym lub drugim kościele, trzeba jak najszybciej dokonać „rekoncyliacji” świątyni tj. pojednać się z Bogiem i z ludźmi, i przywrócić w jednym i w drugim kościele atmosferę szacunku, miłości i p o g o d n e j s w o b o d y. Wtedy przez łaskę uświęcającą wierni będą coraz bardziej wrastać jako żywe członki w Mistyczne Ciało Chrystusa, coraz pełniej chłonać miłość i promieniować nią na wszystkie przestrzenie życia ludzkiego. Wtedy można będzie cieszyć się uwagą św. Pawła: „Nie jesteście już obcymi i przechodniami, ale jesteście współobywatelami świętych i domownikami Boga, zbudowani na fundamencie..., gdzie kamieniem węgielnym jest sam Chrystus Jezus” (Ef 2, 19). Wtedy wszędzie poczujemy się dobrze – w świątyni i w domu, i tu i tam będziemy „u siebie”...

## POMÓŻCIE NAM WAS LUBIĆ I KOCHAĆ

Słyszeliśmy wiele wezwań do miłości. Może nudziły nas nieraz jej pompatyczne pochwały.

Natomiast za mało albo zgoła nie słyszeliśmy wezwań: „Ułatwcie nam was kochać! Pomóżcie nam was kochać! Pomóżcie nam was lubić!”.

Rozwińmy tę myśl.

Dla chrześcijanina nie ma wątpliwości, że każdy człowiek po Bogu jest najwyższą wartością, a więc nie tylko zasługuje na miłość, lecz „wymaga” jej. Dlatego Jezus to wymaganie podniósł do rangi drugiego najwyższego przykazania Nowego Testamentu. Wprowadzenie tego przykazania w życie tylko niekiedy jest stosunkowo łatwe, a najczęściej bardzo trudne – nadludzko trudne. Zależy to – jak wiemy z codziennych doświadczeń – od cech drugiego człowieka, jego zalet i wad, jego zachowań, a nawet od jego wyglądu. Reakcje psychiczne na te cechy zawierają się w słowach: „lubić – nie lubić” – „lubię – nie lubię”.

Lubienie. To tak często w mowie używane słowo – rzadko pojawia się w książkach i rozprawach naukowych psychologicznych i etycznych. I w tych naszych rozważaniach pojawia się ono po raz pierwszy.

Czy nie warto jednak nad nim się chwilę zastanowić. Co ono znaczy? Jakie ma odniesienie do miłości? Gdy mówię: „Lubię kwiaty”, „lubię ten kolor”, „lubię tę muzykę, tę dziewczynę”, „lubię tego chłopca” – chcę powiedzieć, że mi te rzeczy, te cechy, ci ludzie odpowiadają, że sprawiają mi radość i przyjemność. Czy to są uczucia miłości? Na pewno nie w pełni. Są bowiem egocentryczne, w treści psychologiczno-etycznej interesowne.

Ale i one zawierają pewne elementy miłości, a przynajmniej do miłości zbliżają, miłość ułatwiają. Toteż warto korzystać z takiej reakcji naszej psychiki, warto ją ubogacać.

Należy wszakże uważać, żeby się na tej postawie nie zatrzymywać, lecz przez nią pomagać sobie i innym wchodzić w głąb świata miłości.

Stosunkowo łatwo lubić człowieka o miłym wyglądzie; niemal spontanicznie lubimy ludzi o bogatej kulturze ducha: ludzi grzecznych, pogodnych, obdarzonych dużą empatią (wczuwanie się w sytuacje drugiego), pokornych, słownych, gościnnych, gotowych do usług i pomocy, ofiarnych, światłych i mądrych. Czasem wyróżniamy w nich szczególne cechy i mówimy: „Podoba mi się jego szczerość, pogoda, otwarte serce”. Wtedy spontanicznie wrywa się szczerą uwaga: „Dobrze, że jesteś..., Dobrze, że cię spotkałem..., Dobrze u ciebie po prostu pobyc..., Wychodzę od ciebie lepszy, podniesiony na duchu...” Z takimi wyrażeniami i odczuciami wychodzili młodzi i zdrowi ludzie od promieniującej pogodą kaleki, Denise Legrix, francuskiej dziewczyny, która się urodziła bez rąk i nóg, a przez swoją cierpliwą pracę nad sobą stała się zdolna do pisania, haftowania i malowania; osiągnęła wyższe wykształcenie i stała się działaczką społeczną na osi Paryż – Nowy Jork.

Podobne wrażenie i uczucia przeżywali ludzie w Katowicach, w Reptach i we Wrodawiu przy spotkaniu z uroczą Kalifornijką, Joni Eareckson, która jako 17-letnia urodziwa dziewczyna uległa kompletnemu paraliżowi rąk i nóg, a dzisiaj mówi całym swoim życiem o „błogosławieństwie cierpienia” (film pod tym tytułem!) i spotkanych, a może bardziej, oblegających ją ludzi kalekich i zdrowych opromienia swoim radosnym uśmiechem... Jakże łatwo lubić takich ludzi! Jakże łatwo ich kochać!

Natomiast trudno lubić ludzi pysznych, ponurych, zgorzkniałych, pijaków, egoistów, tępych, kłótliwych, nudziarzy, zarozumiałych, nieomylnych, apodyktycznych, wciąż nadętych, z żalem i pretensjami do najbliższych i całego świata, kobiety zeszczone błazeńskim strojem czy jaskrawym makijażem. Oczywiście, najtrudniej lubić i kochać nieprzyjaciół i wrogów.

Gdy się z nimi spotykamy tylko sporadycznie, gdy możemy od nich się oddalić, nie jesteśmy jeszcze bohaterami. Nie jesteśmy nimi wtedy, gdy okażemy odrobinę kultury, grzeczności i życzliwości. Znacznie trudniej przedstawia się sprawa, gdy człowiek o podobnych cechach mieszka z nami, a jeszcze gorzej, gdy on jest małżonkiem. Wtedy ciężkim krzyżem staje się miłość bliźniego, zwłaszcza, gdy nie widać w nim ani dostatecznego samokrytycyzmu, ani woli poprawy, postępu, ani w ogóle cechy plastyczności.

Trudno też lubić i kochać ludzi nudnych.

Z trudem przedzierać się musi miłość przez atmosferę nudy w małżeństwie. Bywa, że już w pierwszych miesiącach życia małżeńskiego mąż i żona przestają być dla siebie interesujący, atrakcyjni. Uważają, że już siebie poznali, że wszystko sobie powiedzieli, że już nic nowego w małżonku nie dostrzegą: sądzą, że zasób interesujących przedmiotów wyczerpany... Nie mają tematów do rozmowy. Ich język ubożeje do mo-

nosylab i pomruków... „um... aaa!”, „ooo!”, „ty zawsze”, „ty nigdy!”

Duże zmiany w tej sytuacji mogą wywołać przychodzące na świat dzieci, ale gdy dzieci nie ma, albo są już „odchowane”, taka atmosfera może się przerozdzic w duszącą nudę. I jakże trudno wtedy takiego nudziarza czy też nudziarkę lubić i kochać. Toteż w małżeństwie od początku do końca należy wyzwalać w sobie nowe wartości, szukać ich, ukazywać je, jakby zaskakiwać nimi, imponować nimi.

Łatwiej kochać żonę, która po przeczytaniu jakiejś książki, po jakimś wspólnym koncercie, po jakiejś konferencji czy kazaniu inicjuje ciekawe rozmowy, podejmuje rzeczowe krytyki i oceny, która interesuje się nie tylko kroniką życia rodziny, sąsiadów i kolegów w pracy, lecz także problemami Kościoła, kraju i świata. Groźną nudę może skutecznie rozproszyć jakaś wycieczka, pielgrzymka czy zaproszony interesujący gość. Podobną rolę spełnia dobre, interesujące i ubogacające w kulturę pismo, dobre książki czytane i komentowane przez obie strony.

Któregoś dnia matka mówi do dzieci: „Patrzcie, coś się dziś z tatą stało! Taki pogodny i dowcipny, nawet przy obiedzie! Pocałujmy go za to!” Tu następuje zabawna scena całowania taty... I rzeczywiście, tata wyzwolił w sobie – może z dużym trudem – bardzo cenną wartość w stosunkach międzyludzkich, jaką jest humor. Z nim jaśniej się robi w każdym towarzystwie, a szczególnie w domu. On odświeża czułą miłość. Przy nieprzerwanym wysiłku to „dziś” może się przecież zmienić na „co dzień”.

Odradzaniu, pogłębianiu i utrwalaniu miłości mogą służyć znane już na Zachodzie, a przez „oazy” także i w Polsce, tzw. posiedzenia małżeńskie. Polegają one na tym, że para małżeńska od czasu do czasu (nawet raz na tydzień) wybiera sobie wyciszoną

godzinę przedwieczorną albo wieczorną i we własnym domu, albo – jeszcze lepiej – w domu rekolekcyjnym, w klimacie ciepłego, życzliwego nastroju, nawzajem się „spowiada” ze swoich problemów i trudności, wad, win, zaniedbań, wysiłków, porażek. Takie „posiedzenie” winno się odbywać w obecności Boga i łączyć się z modlitwą. W domu rekolekcyjnym mogą mieć miejsce dłuższe modlitwy i rozważania. Zaleca się tam nawet pisać do siebie listy, aby bardziej szczerze i dokładnie zwierzyć się swemu małżonkowi i przedstawić plan walki o poprawę. Tam mogą być wypowiedziane żale, wyjaśnienia ich przyczyn i poszukiwania dróg ich usunięcia. Tego rodzaju „posiedzenia” – jak niosą wieści z Zachodu i jak informują uczestnicy „oaz rodzinnych” w kraju – oddają ogromne usługi w przewietrzaniu i oczyszczaniu atmosfery w małżeństwach; przyczyniają się do ich integracji i do ubogacenia życia religijnego, a tym samym i do uszczęśliwiania rodzin.

Gdy mówimy o miłości małżeńskiej, mamy na uwadze wszystkie postacie miłości, a więc i miłość erotyczną, uczuciową, która ma swoje doniosłe znaczenie w umacnianiu więzi rodzinnych, w pracy nad sobą i w uszczęśliwianiu społeczności rodzinnej. I ta postać miłości żywi się wartościami: estetyką, pięknem, ładem, czułością, wdziękiem... Od spostrzeżenia tych wartości rozpoczyna się zwykle ta miłość, która prowadzi do małżeństwa. Najpierw ujrzałeś jej miłą twarz, jej pogodne oczy, jej jasne włosy, ale też i kolor, i krój sukienki, usłyszałeś jej dźwięczny głos – to wszystko wywołało w tobie pierwsze zainteresowanie i wzruszenie, chociaż potem mogą być bardzo różne koleje tej rodzącej się miłości.

Jeszcze większą spostrzegawczością i wrażliwością na bodźce odbierane przez zmysły odznaczają się dziewczęta i kobiety, które zdają się nie patrzeć ani

słuchać, a wiele widzą, spostrzegają, odczuwają i reagują. Nie ujdą uwagi dziewczyny ani kolor, ani krój ubrania, ani włosy, ani „żałoba za paznokciami”, ani brak osobistej higieny. Mogą one wywołać wprost obrzydzenie i wtedy trudne staje się lubienie i miłość. Ale widząc te cechy, które lubisz, już stajesz u wrót miłości.

Te wrażenia w małżeństwie będą się rozwijać i nawarstwiać, tworząc swego rodzaju stopnie uczuciowe – dodatnie lub ujemne, choć czasem małżonkowie nie umieją tego nazwać ani nawet uświadomić sobie. Psychologia stosowana odkryła, jak wielki wpływ na stany uczuciowe ludzi mają nawet kolory ścian w szkołach, szpitalach, w fabrykach. Ludzie, pracujący wśród ciepłych i radosnych kolorów, lepiej się czują, utrzymują lepsze stosunki z kolegami z pracy, a więc lepiej i wydajniej pracują. Trzeba więc o tym pamiętać, i w domu i rodzinie. Jeżeli żona będzie nosiła szare, monotonne sukienki i swetry, jeżeli nie będzie się liczyła z tym, jakie kolory i kroje lubi mąż, niewątpliwie, mimo woli będzie wywoływać nudę i irytację u swego współmałżonka, i utrudni mu miłość. Jeżeli mąż „odpręża się” tak dalece, że będzie chodził po domu w brudnych, pomiętych spodniach, może wywołać obrzydzenie. Skutki takich zaniedbań musiałem nieraz łagodzić w interwencjach duszpasterskich.

Na szczęście, wiele mężatek i mężów podświadomie i spontanicznie porządkuje te sprawy, ale niemało jest takich, którzy z dziwnym uporem naruszają prawa psychologii na co dzień – prawa lubienia.

W okresie zalotów i narzeczeństwa młodzi umieją się ubrać i zachować; starają się dostrzec, co drugiej stronie odpowiada, kto co lubi i tym pozyskują uczucia partnera; a po ślubie niektórzy wchodzą w stan zaniedbania, niechłujstwa i brzydoty. Ona potrafi –



gdy nie idzie do pracy – cały ranek chodzić w pomiętym szlafroku, w wydeptanych papciach, z rozczochranymi włosami, a on zasiada do stołu w kąpielówkach i z brudnymi rękami. „Bo jesteśmy przecież sami”...

Zmienia się sceneria, gdy zaprasza się gościa, albo gdy się wychodzi do teatru, do kina, do kogoś, na przyjęcie lub po prostu „do miasta”. To dobrze, że chociaż tyle kultury pozostało. Ale czyż nie najważniejszy jest dom i jego klimat? Dlaczego na eksport wszystko najpiękniejsze i najlepsze, a co dla domu i rodziny? Przecież tu jest nasze centrum, w którym jeszcze na ogół większość godzin przebywamy, tutaj przestrzeń i czas naszej radości, miłości, naszego rozwoju i szczęścia, więc do domu trzeba wnosić to co najlepsze, co lubimy.

Jeżeli mąż i żona wspólnymi siłami nie zechcą stworzyć z domu miejsca, dokąd się chętnie powraca, gdzie się wszyscy dobrze czują, to nic dziwnego, że wielu zaczyna wprost z niego uciekać. A patrząc na zadbane czy wręcz eleganckie koleżanki w biurze czy zakładzie pracy, mężowie spontanicznie kierują na nie oczy i uczucia. Nie mający silnego kośćca moralnego mogą łatwo uwikłać się w grzeszne flirty albo wejść do towarzystwa kumpli i pijaków, by uciec od szarej, gderliwej, nudnej, nasyconej goryczą, pretensjami i żalami domowej rzeczywistości. I wtedy żona zamiast oburzać się i obarczać winą tylko męża, musi część odpowiedzialności przyjąć na siebie.

Głównie kobiecie przekazał Stwórca talenty poczucia i organizowania piękna, ciepła, przytulności. Jak zauważa dr E. Sujak kobieta często przeżywa swoją wartość właśnie w kategoriach estetycznych. I tych darów i talentów kobieta nie powinna zakopywać w ziemi. One muszą również stanowić budulec dla miłości, bo miłość – jak harcerskie ognisko – podsyca się nawet drobnymi gałązkami, nawet niepozornymi

drobiazgami słowa, gestu, stroju, małą czułością, pochwałą, wyrazem uznania, promykiem humoru, uśmiechu... To wszystko ułatwia i ubogaca miłość. Nie bądźcie więc skąpi i skąpe! Ułatwiajcie ludziom kochanie was! Pomagajcie bliźnim, a zwłaszcza najbliższym cieszyć się wami i was lubić, bo to ułatwia kochanie.

## MIŁOŚĆ ZASMUCONA

Dedykuję to rozważanie osobom u których miłość stała się smutna, gdyż żal mi tych ludzi.

Na ogół hasło „miłość” kojarzy się z radością, a nawet z sielankowym szczęściem. A tymczasem nieco głębsze wejrzenie w świat ludzkich miłości odkrywa w nich wiele bólów i smutku.

Dużo ich na ścieżkach miłości przedmałżeńskiej, o czym rozważaliśmy m.in. w artykule „Zawiłe drogi erosa”. Ale też dużo ich i w życiu małżeńskim. Nawet w zgodnych i „dobrych” małżeństwach można spostrzec cienie smutku, usłyszeć ciężkie westchnienie albo i słowa bolesnego żalu. Przyczyną tego są rozczarowania na wielu płaszczyznach i drogach życia małżeńskiego. A te rozczarowania są tym głębsze i boleśniejsze, im większe były „oczarowania” sobą i idealną wizją swojej wspólnoty.

Już w początkach życia małżeńskiego zwykle zjawiają się cicho i niepostrzeżenie rozczarowania w obliczu szarej codzienności. Jakże realnie widzi te sprawy dr E. Sujak, gdy pisze: „Po pierwszym zachłyśnięciu się młodą wspólnotą codziennego życia powoli wracają osobiste przyzwyczajenia, nawyk dysponowania swoim czasem – i nagle uwierać zaczyna ograniczenie, uzależnienie od drugiego człowieka, koniecz-

ność uzgadniania powziętych decyzji. Mit pełnej, wolnej dorosłości rozbija się codziennie o dotkliwe ograniczenia. Rozpoczyna się obustronna próba narzucania swojego stylu lub ciche usuwanie się, targowanie o czas i prawo do nieobecności w domu” (*Kontakt psychiczny w małżeństwie i rodzinie*).

Przychodzą też rozczarowania w pożyciu seksualnym. W dziedzinie tej nierzadko ujawnia się zaskakujący brak kultury, a nawet brutalność partnera, który przed ślubem zdawał się być dżentelmenem, człowiekiem o ugruntowanej kulturze etycznej i duchowej. Po ślubie czasem idzie w gruzy spontaniczny szacunek i rozwiera się ponura przepaść niewiary w człowieka, w jego zasady i ideały. Wtedy rodzi się pokusa, by przyjąć pogląd cyników i „sexmanów”, że cała miłość między mężczyzną i kobietą redukuje się do zaspokojenia prymitywnego pożądania.

I wtedy miłość staje się bardzo smutna.

Na jeszcze głębsze rozczarowania i zasmucenia narażają się małżeństwa, do których wdarły się trucizny nieufności, niewierności i zdrady, aż do odejść i porzuceń. W takich okolicznościach miłość nie tylko staje się smutna, lecz często zupełnie umiera. Niejeden zdradzony i porzucony przez żonę mężczyzna i niejedna porzucona kobieta, bez głębokiej wiary i kultury moralnej, podejmuje niebezpieczny dialog z Mefistem, który wciąż podszeptuje, że ideały są mrzonkami, że nie ma niezmiennych zasad, że wszędzie pozory i obłuda, że wszystkim rządzi odwieczna „chuć”. „Porzuć więc tamte mrzonki i bierz to, co realne, gdyż i tobie coś od życia się należy”... I oto otwiera się brama do cynizmu i nihilizmu, do zaprzeczenia Boga i Jego praw, i Jego miłości. Przyjęcie „filozofii” złego ducha wyzwala w człowieku oszukany resentymenty – uczucia przeciwne: To, co przedtem cenił i kochał, teraz ośmiesza i wyszydza. Człowiek w tym stanie nie

lubi cnoty czystości, miłości, nie znosi radości i pogody. Gotów jak demon te wartości opluwać i celowo gorszyć innych. W takich okolicznościach rozczarowana i zasmucona miłość skłonna jest przejść w stan antymiłości ze wszystkimi dramatycznymi konsekwencjami.

Rozwód nie tylko tych sytuacji nie rozwiązuje, lecz – pozbawiając łaski uświęcającej i odłączając od sakramentów – jeszcze bardziej zasmuca, rani albo i zabija miłość. A. Makarenko napisał, że „rozwód – to amputacja i skazanie człowieka na życie z protezą”, a przecież miał na uwadze tylko powierzchowną warstwę życia.

Rodzi się bardzo doniosłe pytanie: Jak się ubezpieczyć przed taką degradacją i deprecjacją miłości z nieogarnionymi tragicznymi tego następstwami? Jak wyleczyć zatrucie smutkiem, który miłość zmienia w antymiłość?

Przed przystąpieniem do odpowiedzi na te pytania trzeba zaznaczyć, że do takich skrajności na ogół dochodzą ludzie, którzy nie ugruntowali w sobie miłości Boga i miłości ponaduczuciowej, fundamentalnej do człowieka. U tych, którzy to uczynili, te kryzysy przebiegają łagodniej i wyjście z nich staje się o wiele łatwiejsze. Dla nich bowiem zawsze ostateczną ostoją i mocą staje się nadrzędna miłość do Boga i uzasadniana religijnie wartość i miłość człowieka. Oni wiedzą jasno, że choćby ich ktoś zawiódł, oszukał, skrzywdził, zranił, nie mogą opuścić człowieka, któremu przysięgało się: „że cię nie opuszczę aż do śmierci” ani odmówić mu podstawowego szacunku; nie mogą odmówić przebaczenia; muszą chcieć dla niego dobra, muszą podjąć jakieś ofiary, aby go nie posyłać do piekła, lecz wyzwolić od złego.

Mimo wszystko – mimo takiego patrzenia i postawy – miłość i u ludzi religijnych bywa trudna i bole-

sna. W każdym wypadku ludzie zagrożeni smutkiem i kryzysem muszą podjąć drogę na poły albo i w pełni heroiczną. Muszą przejść przez radykalne rekolekcje oczyszczające. Muszą odnawiać i ożywić wiarę w Boga, w Chrystusa i Ewangelię jako niezastąpiony „podręcznik” i źródło miłości, pokoju i radości w drodze do wiecznego zbawienia.

Musi się tam znaleźć rozdział o sensie cierpień i zbawiennej roli niepowodzeń i porażek. Należy też wówczas poszukać i własnych błędów i win. W tyglu tych refleksji muszą rozplomienić w sobie miłość do Boga, do cierpiącego Chrystusa i z tym ciepłem, a może i zarem wyjść na nowo z przebaczeniem i zapomnieniem przeszłości bez uprzedzeń do męża czy żony jakby do nowego człowieka. Jeżeli ktoś jest niepoprawny, wtedy należy go w duszy potraktować jak człowieka chorego i podchodzić do niego jak ofiarna pielęgniarka, nie czekając na zrozumienie i poprawę. Złożyć tę ofiarę u stóp Krzyża. Uznać tę sytuację za przestrzeń swojej misji życiowej. I wtedy można „po cichu” oczekiwać poprawy zdawałoby się niepoprawnego egoisty, alkoholika, cudzołożnika, wiarołomcy, dręczyciela, bo miłość działa cuda. Totalne zło może być zwyciężone totalnym dobrem – ofiarą, żarliwą miłością.

Trzeba być przekonanym na co dzień o głębszym sensie porażek i cierpień. W życiu przedmałżeńskim porażki w miłości odkrywać mogą pozornym ofiarom losu wyższe zadania i wyższe misje, i błogosławieni, którzy je odczytują i za wezwaniem idą. Tak uczynił A. Mickiewicz czy jego przyjaciel B. Jański, współzałożyciel zgromadzenia zakonnego Zmartwychwstańców; tak postąpiło wielu, o których wydawano często uproszczony sąd, że „miłosny zawód zaprowadził go do klasztoru”.

Podobną rolę mogą spełnić także porażki i zawody w życiu małżeńskim.

W dramatycznym rozczarowaniu małżeństwem światowa dama, Katarzyna z Genui (1447 – 1510), odkryła wezwanie do świętości i potrafiła na tę drogę wprowadzić także trudnego i przyziemnego męża, który zdawał się być stracony dla wyższego życia.

I to nie są odosobnione wypadki w historii. Współczesność nasza zna również podobne zjawiska. Szczególnie niemała liczba kobiet – żon podjęła taką krucjatę miłości w swoich domach i rodzinach, i w cichej, pokornej, nie narzucającej się ofiarnej miłości uczyniła ze swoich domów i rodzin naprawdę „kościół domowy” z atmosferą radosnej miłości. I ten proces trwa, stwarzając nadzieje na jaśniejszą przyszłość losów miłości naszych rodzin.

Na zakończenie rozważania na ten temat należy kilka zdań poświęcić zawiedzionej i smutnej miłości samotnych kobiet. Jeżeli dziewczyna sama nie wybrała tej samotności, jeżeli chciała wyjść za mąż, założyć rodzinę i mieć dzieci, czuje się zazwyczaj zawiedziona, smutna i rozgoryczona. Staje się skłonna do pretensji o to do Boga i ludzi. Gotowa jest powiedzieć: „Nie mam celu w życiu” i – oddalać się od ludzi, zamykać się w sobie. Wtedy rozgoryczeniem swoim rzutuje na świat i otoczenie, skarżąc się, że to „niedobrzy” i „złośliwi” ludzie od niej się odwracają. W ten sposób powstaje trudne do przerwania pogłębiające się osamotnienie i rozgoryczenie. Taka osoba przestaje lubić ludzi wesołych i zadowolonych; razi ją wesołość i śmiech dzieci. Wyzwalają się w niej cechy, które bliżej starości tworzą obraz złośliwej „starej panny” i „jędzy”. Nierzadko ulega manii prześladowczej i wchodzi w granice psychopatii. Takie kobiety bez pogłębionego życia wewnętrznego stają się czasem dewotkami, które wyżywają się tylko w plotkowaniu, pacierzach, nabożeństwach i adoracjach księży. Następuje wtedy ogólna inwolucja i pomniejszenie osobowości.

Czy tak musi być, czy jest to determinizm? Z pewnością nie. Wskazują na to fakty, bo przecież wiele kobiet niezamężnych odznacza się dobrym i pogodnym samopoczuciem. Nie mają w sobie nic z cech „starych panien” – dziwaczek czy złościc. Dobrze się czują w towarzystwie i w życiu społecznym, a inni też dobrze się czują w ich obecności. Uważają, że są potrzebne Bogu i światu. Są pogodne i pogodę rozsiewają wokół siebie. Ofiarnie i owocnie pracują w szkołach i na polu charytatywnym. Są kochanymi ciociami i babciami.

Jaki jest sekret takiej postawy i usposobienia? Jakie drogi do niej prowadzą?

Przede wszystkim odnawiana i pogłębiania świadomość, że skoro Bóg mnie stworzył i zachowuje, znaczy, że mnie „chce”, czyli kocha i oczekuje wypełnienia ewangelicznych zadań: – „więcej być” i więcej przynosić owoców moralnych w każdej sytuacji życiowej; przede wszystkim – nieść, urzeczywistniać miłość, a pierwszym krokiem w tym kierunku jest wychodzenie ku innym. Jednym słowem, mieć poczucie, że jest się potrzebnym.

To poczucie potrzeby łączyć się winno z akceptacją samej siebie takiej, jaką się jest – ze swymi zaletami, ale też i wadami, ze swoją urodą i jej brakami, ze swoją siłą, ale i słabościami, ze swoimi sukcesami, ale i porażkami, ze swoim środowiskiem rodzinnym i środowiskiem pracy.

Na drodze utrzymania siebie w stanie „normalnym” i rozwojowym doniosłą rolę spełni samokrytycyzm i samokontrola swoich poglądów, uczuć i zachowań: – Często rachunek sumienia z odpowiednimi korektami w myśleniu, w uczuciach i postępowaniu. Stanowczo musi być eliminowana postawa – „już nie potrafię”, „mam tego dość”. Nawet gdy lampce twego serca braknie „oliwy”, nie okrywaj pośepnością i obojętnością swojej twarzy. Oddaj bliźnim tę resztkę, a przeżyjesz



cud rozmnożenia oliwy i spotęgowania płomienia. Ten cud zauważył także znany nam agnostyk, E. Fromm i podkreślał, że tylko „ten, kto daje, więcej ma”.

Jeżeli samotna kobieta wyjdzie z miłością Boga, z otwartym sercem i pogodną twarzą do ludzi, może stać się osobą szczęśliwą i uszczęśliwiającą, jak Denise Legrix, jak Karren czy Joni Eareckson, jak i nasze liczne ofiarne lekarki, pielęgniarki, nauczycielki, przedszkolanki czy nieetatowe działaczki charytatywne.

Zresztą, trzeba by w ogóle zakwestionować wyrażenie „samotna”. Można go używać ostatecznie w znaczeniu socjologicznym. Ale w świetle teologicznym nie powinno być ludzi „samotnych”. Każdy wierzący w Chrystusa człowiek musi pamiętać, że żywy, kochający Chrystus jest nie tylko przy nim, lecz przez łaskę uświęcającą mieszka w nim. W Chrystusie i przez Chrystusa znajdują się przy nas: Matka Boża, wcale nie mityczny Anioł Stróż, znajdują się święci i nasi zmarli przyjaciele. Jednym słowem, w tajemnicy Mistycznego Ciała Chrystusa i świętych obcowania, znajdujemy się w licznym i kochającym nas otoczeniu, w duchowej rodzinie. Dalecy jesteśmy od pustyni i samotności. Tylko trzeba uczyć się pamiętać o tym na co dzień. A ta wiara i pamięć będą źródłem niewyczerpanej autentycznej radości...

Wszyscy żyjący – zameźne i żonaci, ale też niezonaci i niezameźne – zdrowi, chorzy i kalecy, młodzi i starzy – wszyscy jesteśmy potrzebni Bogu, Kościołowi, obok nas żyjącym bliźnim i narodowi.

A więc bądźcie pozdrowieni i błogosławieni wszyscy cierpiący, pokrzywdzeni, odrzuceni, wzgardzeni, nie rozumiani, osądzani i posądzani, rozczarowani, zawiedzeni i smutni! Jeżeli niesiecie swój krzyż, jesteście blisko Chrystusa, jesteście w Nim. A On, jeszcze na tej ziemi, wasz smutek będzie przemieniał – w głęboką radość, której nikt i nic wam nie odbierze.



## LOSY MIŁOŚCI W MAŁŻEŃSTWIE

Losy miłości w małżeństwie – to tyle, co losy samego małżeństwa, gdyż małżeństwo powinno być związkiem miłości. O ile zachowa się, rozwinie i ubogaci miłość (a ciągły rozwój to warunek jej istnienia), o tyle ostoi się i ubogaci samo małżeństwo. Jeżeli zaś miłość ulegnie zastoju i zubożeniu, następuje jej atrofia i śmierć ze wszystkimi jej konsekwencjami. Podstawową prawdę stanowi tutaj fakt, że miłość nie jest wartością statyczną i spontaniczną, lecz siłą dynamiczną, która bardziej „staje się”, niż „jest”, która rośnie i dojrzewa; którą można i trzeba kierować i kształtować, która jest wartością daną przez Boga, ale i „zadaną”, której można i trzeba się uczyć, co E. Fromm podkreśla już w samym tytule książki *O sztuce miłości*.

Dr E. Sujak w swoich mądrych rozważaniach (*Kontakt psychiczny w małżeństwie i rodzinie, Rozważania o ludzkim rozwoju*) wyraża ubolewanie, że te prawdy nie przeniknęły do świadomości szerokich kręgów młodzieży i małżeństw.

Jeszcze bardziej ubolewania godnym zjawiskiem jest to, że w Polsce w ostatnich czasach aktywizuje się grupa pisarzy seksuologów, którzy sprowadzają pojęcie miłości do doznań seksualnych.

A przecież to stokroć doświadczana i potwierdzana prawda, że gdzie ubożeje i ulega regresji autentyczna miłość, tam nie pomogą żadne rozpasane „zabawy” ani „techniki”. Takie „zabiegi” najczęściej prowadzą w końcu w czarną noc nihilizmu, gdzie umierają elementy prawdziwej miłości, gdzie następuje zejście do świata odczłowieczonego, do świata poniżej linii zerowej moralności. Na linii zerowej etyki znajduje się świat zwierzęcy, gdzie nie ma rozumu i woli.

Rozum i wolę zastępują tam instynkty i popędy. Tam nie ma ani winy, ani grzechu.

Ale człowiek, który rezygnuje z rozumu, woli i sumienia, który staje się nihilistą, hedonistą i żyje przy tym w urojeniu niewinności, staje się winnym grzechu odczłowieczenia człowieka. (*Corruptio optimi – pessima* – „Zepsucie struktury najdoskonalszej jest rzeczą najgorszą”).

Co wtedy należy czynić, a czego unikać, aby nie zubożyć i nie zabić miłości, lecz oprzeć na niej losy małżeństwa i rodziny? Co należy czynić, aby ta miłość rosła, dojrzewała i przynosiła owoce?

Zasadnicza, ogólna odpowiedź jest prosta: Należy wszystkie postacie miłości małżeńskiej ubezpieczać i ciągle wzbogacać. Należy starać się rozumieć jej prawną i warunki ubogacania i rozwoju.

U podstaw miłości małżeńskiej – jak już wielokrotnie podkreślaliśmy, musi się znajdować jako fundament miłość ogólnoludzka, miłość, której uczył i wymagał Chrystus; jej komponenty wymienił E. Fromm: widzenie wartości, szacunek, życzliwość, odpowiedzialność, gotowość do dawania – do ofiar i poświęceń. I tej fundamentalnej miłości należy poświęcać najwięcej troski i uwagi. Jeżeli nie została ona ugruntowana w okresie przedmałżeńskim, teraz musi być ubogacona pracą, modlitwą i sakramentami.

Na podłożu miłości do człowieka, inspirowanej przez Ewangelię, powinny opierać się inne postacie miłości, jak miłość uczuciowa, erotyczna, przyjaźni, przywiązania, a z przyjściem na świat dzieci – także miłość rodzicielska. W prawidłowym rozwoju więzi małżeńskiej te wszystkie postacie miłości, strzeżone i ubogacane, powinny stworzyć szlachetny stop psychiczno-kulturalno-etyczny, jakby amalgamat miłości silnej, wielobarwnej i wielkodusznej. Ale to przychodzi po latach pracy, walki i modlitwy.

Początki losów miłości w małżeństwie mogą być bardzo trudne, a nawet – zagrożone, zwłaszcza gdy słabo ugruntowana jest miłość ogólnoludzka, miłość do człowieka. Gdy ta warstwa miłości nie jest uprawiana, a małżeństwo zbudowało się tylko na uczuciu, a jeszcze gorzej – na pożądaniu zmysłowym, czyli na „piasku”, budowa wielokształtnej miłości jest bardzo trudna, ale nie beznadziejna. Budowanie bowiem i rozwijanie miłości w życiu chrześcijanina jest zawsze możliwe: opiera się przecież na całym systemie inspiracji i pomocy nadprzyrodzonych. Kto staje się żywym i aktywnym członkiem Kościoła, wypełniającym swoje obowiązki, ten nie pozostaje w miejscu, a tym samym nie ulegnie regresji w życiu miłości do Boga i człowieka.

Jakkolwiek kilka razy podkreślaliśmy, że eros to najbardziej śmiertelna postać miłości, że jest to uczucie niestałe i lotne jak piasek, to nie znaczy, że nie trzeba go cenić. I to nie znaczy, że eros w małżeństwie ma umrzeć bez reszty. Nie. To znaczy tylko, że uczucia intensywne, fascynacje, uczucia zaborcze, namiętne i niespokojne ulegają wyciszeniu i wygaszeniu. Niejako umierają w tym kształcie, aby z nich mogły się rozwinać uczucia wyższe i głębsze, spokojne, dojrzałe i trwałe, których nurt tracąc na wartkości, idzie w ciche głębie. Taką transformację, jeżeli jej nie za-

kłóćą błędy i grzechy, przechodzą uczucia erotyczne. Przywołując znaną nam metaforę, można by rzec, iż odlatuje figlarny Eros, a zagnieżdża się w rodzinie poważniejszy i wierniejszy Amor. Uczucia głębokie winny żyć i ubogacać się, winny być przedmiotem troski, starań, i modlitwy.

Jeżeli młodzi o tym nie wiedzą lub nie pamiętają, to w dniach niżu popadają w niepokoje i panikę albo-wiem spadkowi intensywności uczuć towarzyszy lęk: „Co się dzieje? – Ty już mnie nie kochasz? – Może to wielka pomyłka”? I źle się dzieje, gdy przychodzą wzajemne oskarżenia, gdy padają raniące słowa i pretensje albo następuje zamykanie się w urażonym milczeniu.

Do takich scen nie wolno dopuszczać. Ten kryzys (w jakimś wymiarze powszechny i nieunikniony) należy przetrwać w spokoju z cierpliwością, przebaczeniem, kompromisami i spotęgowaną modlitwą. Szczególnie nie wolno naruszyć kamienia węgielnego każdej postaci miłości – tj. akceptacji człowieka, jakim on jest, nawet z jego wadami, ale z pragnieniem i dążeniem, aby stał się lepszy.

W tym okresie rozczarowań i niapokojów trzeba szczególnie dbać o nienaruszalność miłości fundamentalnej, miłości człowieka jako człowieka. Należy w świetle Ewangelii coraz jaśniej widzieć prawdę, że każdy człowiek jest najwyższą wartością po Bogu, bez względu na swoje zalety i wady, bez względu na to, czy budzi w nas przyjaźń lub wrogość. W krytycznych sytuacjach, gdy chmura gniewu ogarnie któregoś z małżonków, winien on przekrzyknąć burzę, wołając do siebie i całego świata: „On, ona jest również człowiekiem, dzieckiem Bożym, a więc nie mogę go znieważać, nie znieważając Boga. Masz go uszanować”. A wysokie napięcia emocjonalne wyładować można także przez tak proste sposoby, jak ruch czy wysiłek fizyczny, czy choćby równe, głębokie oddechy...

Przechodząc przez podobne burze, a zwłaszcza po ich wyciszeniu, trzeba modlić się i rozwijać pracę nad pogłębieniem i utwaleniem uczuć związanych z miłością. Trzeba pracować nad sobą. A co znaczy pracować nad sobą? To znaczy rozwijać w sobie empatię – zdolność do wczuwania się w sytuację biologiczną, psychiczną i moralną swego współmałżonka – w jego smutek, nie duchowy czy jakiś „czarny dzień” – i panować nad swoimi negatywnymi uczuciami.

W budzeniu i rozwijaniu uczuć miłości niemałą rolę odgrywają nawet „drobiazgi”: dobre ciepłe słowo uznania, pochwały, podziękowanie, współczucie, pocieszenie, życzliwy uśmiech, a szczególnie uznanie, podziw, zaufanie, przeproszenie, przebaczenie, wyręczenie w pracy, usłużność, pamięć o rocznicach, porządek w domu, w szafach, strój – zwłaszcza u kobiety – wśród świadczeń dobra zawsze szczypta humoru. Oto małe kroki ku pogłębieniu miłości albo, jeśli chcecie – drobne gałązki do wielkiego ogniska. Wciąż odżywiane uczucia nabierają siły i trwałości i stają się doniosłym czynnikiem więzi małżeńskiej.

Nie wolno nie docenić roli w życiu uczuciowym także i dynamizmów seksualnych. Godziwe, etyczne, czułe dawanie siebie w aktach małżeńskich ogromnie wzbogaca miłość uczuciową, erotyczną a nawet fundamentalną, ogólnoludzką, a powinno pomnażać także i miłość do Boga. Tutaj jednak szczególnie trzeba uważać, aby się nie wkradły egoizm, wulgaryzmy, brutalizm i bezwstyd, co podważa i niszczy wszystkie postacie i poziomy miłości.

Jakkolwiek sfera seksualna u normalnych ludzi nie dominuje nad życiem małżeńskim, to z pewnością stanowi najbardziej czuły i wrażliwy punkt tego życia. Tu się znajduje sprawdzian prawdziwej miłości i kultury człowieka – małżonka. Tutaj najbardziej druga strona odczuwa, czy czułości i gesty wypływają z mi-

łości, czy też z prymitywnego egoizmu; czy partner nie redukuje osoby ludzkiej do narzędzia swej przyjemności. Taka redukcja stanowi krzywdę dla osoby ludzkiej i wywołuje trudno uleczalne rany.

Wielki myśliciel żydowski, M. Buber, wspomina swoje zaskakujące przeżycie i odkrycie z lat chłopięcych. Jako dorastający chłopiec bardzo lubił konie. Szczególnie upodobał sobie w pobliskiej stajni pięknego gniadosza. Po parę razy dziennie przychodził do niego, dawał mu cukier, głaskał jego szyję, bo widział, że tym sprawiał zwierzęciu przyjemność. Koń strzygł uszami, kiwał głową i radośnie parskał. Aż któregoś dnia młody Martin uświadomił sobie, że to głaskanie stanowi dla niego samego pewną przyjemność. Tym razem poszedł do konia z tą pobudką – powtórzył wszystkie pieśczoty. Koń ani drgnął. Nawet nie spojrział na cukier ani na chłopca, okazywał zupełną obojętność. Co się stało? Przyszły uczony nagle uświadomił sobie, że zwierzę odczuło jego egoizm i zareagoowało obojętnością.

W tej dziedzinie mogą być popełnione niezawinione i zawinione błędy i grzechy. Ale w świetle miłości należy okazywać wyrozumiałość i cierpliwość, bo harmonizacja pożycia zwykle przychodzi w ciągu wielu lat życia małżeńskiego. I tutaj trzeba przechodzić pewne kryzysy, przed którymi ostrzega i dr E. Sujak w rozdziale swej książki pod tym samym tytułem, co nasze rozważanie.

Duże znaczenie w integrowaniu małżeństwa i wyzwaniu się ze skorupy egoizmu, największego wroga miłości, ma przechodzenie w myśleniu i mówieniu od „ja” – do „my” i „nasz”. Pozostawanie przy egocentrycznym słowie „ja” – „mój” utrudnia tworzenie się miłującej się wspólnoty „my”, zwłaszcza choćby i słowne tylko „przywłaszczanie” sobie dziecka: „mój syn”, „moje dziecko”. Współmałżonka razi każde przywłasz-



czenie: domu, pokoju czy mebli. W małżeństwie wszystko musi być „nasze”.

W ostatnich czasach z Zachodu – jak zauważyliśmy w poprzednim rozważaniu – przyjmuje się w naszych małżeństwach metoda oczyszczania atmosfery i odświeżania miłości małżeńskiej przez „posiedzenia” małżeńskie. Istnieje w tej metodzie podobieństwo do spowiedzi, gdzie nie oskarża się innego, lecz wyznaje się przy życzliwej pomocy swoje wady, przeprosza się, odnawia się postanowienie poprawy i prosi się o pomoc; w spostrzeganiu i zwalczaniu swoich wad. Chrześcijanie – oczywiście – powinni prosić o pomoc Boga, a nawet uwieńczyć takie „posiedzenie” Sakramentem pojednania. Z takich „posiedzeń” wyłonił się system specjalnych rekolekcji małżeńskich. Uczestnicy tych spotkań wysoko cenią i zalecają takie metody odrażdżania miłości i życia małżeńskiego.

Jeżeli dla kogoś takie praktyki zdają się za trudne, warto przynajmniej wprowadzić wspólne modlitwy z rachunkiem sumienia, wspólne wyjścia na imprezy kulturalne, a nawet wspólne dłuższe dialogi przy posiłkach.

Oczywiście, że te i inne wskazania dotyczące losów miłości zakładają rzecz najtrudniejszą – dobrą wolę, plastyczność charakteru i mocną chęć. Jeżeli któraś ze stron albo obie strony zechcą zachowywać postawę sztywną, kamienną, losy miłości i małżeństwa ulegają zagrożeniu. Wtedy osobie z bardziej otwartą i odpowiedzialną postawą przypada zadanie ratowania miłości i Sakramentu przez mądrą taktykę, a głównie przez wierną miłość, przez krzyż i poświęcenie. Przez modlitwę, ofiarę i cierpliwość ludzie zdolni są przekraczać granice możliwości i beznadziejności.

Przed laty podeszła do mnie, z trudem już przeze mnie rozpoznana znajoma osoba, mówiąc mi z rozpromienionym uśmiechem: „Księżo, Bogu dzięki, Księ-

dza rady sprawdziły się i wypełniły, serdecznie dziękuję!” – Bogu niech będą dzięki.

Jeżeli i rady zawarte w tej książce – w gruncie rzeczy rady wzięte z Ewangelii i jej ducha – komuś pomogą, znajdą urzeczywistnienie – to jeszcze raz: Bogu niech będą dzięki! A piszącemu wynagrodzi to trud i rozjaśni jego troskę i niepokój o losy polskich małżeństw i rodzin, a z nimi o losy miłości, najwyższej wartości na tym i przyszłym świecie – o losy cywilizacji miłości – a w niej i indywidualnego człowieka...



## NOTA BIOGRAFICZNA

Ksiądz prałat Aleksander Zienkiewicz, jeden z najwybitniejszych wychowawców dolnośląskiej inteligencji, pochodził z Wileńszczyzny. Urodził się 12 sierpnia 1910 r. we wsi Lembówka na Ziemi Nowogródzkiej. Szkołę powszechną ukończył w Duniłowiczach, zaś maturę zdał eksternistycznie w Gimnazjum Biskupim w Pińsku. W tym mieście ukończył studia teologiczne, przyjmując święcenia kapłańskie 3 kwietnia 1938 r. z rąk bpa K. Bukraby. Mszę prymicyjną odprawił w Rzymie, przy grobie św. Andrzeja Boboli, w dniu kanonizacji tego świętego – 17 kwietnia 1938 r. Początkowo pełnił obowiązki kapelana ordynariusza, asystenta Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży, następnie prefekta gimnazjalnego, rektora kościoła farnego w Nowogródku, kapelana nazaretanek i dziekana nowogródzkiego.

Wojna zastała go w Nowogródku, skąd musiał uciekać i ukrywać się (po męczeńskiej śmierci dnia 1 sierpnia 1943 r. jedenastu sióstr nazaretanek, złożonej jako ofiara m.in. za Jego życie).

Po wojnie w roku 1946 był katechetą w Sycowie, a już w roku 1947 po raz pierwszy spotykał się z młodzieżą we Wrocławiu jako prefekt Liceum Pedagogicz-

nego, I i III LO, studiując równocześnie pedagogikę na Uniwersytecie Wrocławskim.

W roku 1951 został prefektem w Seminarium Duchownym we Wrocławiu, następnie rektorem Niższego Seminarium Duchownego w Żaganiu, by po roku wrócić znów do Wrocławia na stanowisko najpierw wicerektora, a od 1954 r. rektora Wyższego Seminarium Duchownego.

Od roku 1958 pełnił funkcję rektora Katolickiego Instytutu Naukowego i od tego roku oficjalnie poświęcił się duszpasterstwu akademickiemu jako słynny „Wujek”, by do końca swoich dni, jako Archidiecezjalny Duszpasterz Akademicki, służyć z wielką troską i miłością młodzieży studiującej.

Przez wiele lat prowadził w Seminarium Duchownym zajęcia z katechetyki i języka polskiego. Był cenzorem wydawnictw kościelnych, egzaminatorem pro-synodalnym, członkiem Rady Kapłańskiej i Komisji ds. Środków Masowego Przekazu.

W roku 1959 został szambelanem papieskim, a od 1972 r. wszedł do kapituły wrocławskiej.

Był jednym z inicjatorów Tygodni Kultury Chrześcijańskiej, które wpisały się na stałe w życie religijne miasta, a nawet kraju.

Cały jego trud kapłański i wychowawczy zorientowany był na kształtowanie chrześcijanina o głębokim życiu wewnętrznym, przygotowanego do życia w rodzinie, w zawodzie, w społeczeństwie i w świecie. Opracował program pracy w ośrodkach duszpasterstwa akademickiego jako szeroko pojętych uczelni kultury religijnej.

Dużo swojego serca wkładał w przygotowanie młodych inteligentów do życia rodzinnego. Przez wiele lat organizował dla nich kursy „Miłość – Małżeństwo – Rodzina”, których treść została sformułowana później w artykułach drukowanych na łamach „Niedzie-

li”. Artykuły te zostały następnie wydane w książce zatytułowanej „*Miłości trzeba się uczyć*”. Do rąk czytelników oddajemy już 5. wydanie tej cennej pozycji, która adresowana jest nie tylko do młodzieży, ale również do katechetów, duszpasterzy prowadzących kursy przedmałżeńskie oraz do nauczycieli przygotowujących uczniów do życia w rodzinie.

Znamienne jest, co Autor napisał o książce:

*„Prawie całe życie kapłańskie pracowałem z młodzieżą i służyłem młodzieży – przed wojną w szkole, w harcerstwie, w katolickim Stowarzyszeniu Młodzieży, a po przyjeździe z Nowogrodka do Wrocławia – znów w szkole, w Seminarium Duchownym i najbardziej w DA. I właśnie na tym obszarze życia i pracy zdobyłem doświadczenie duszpasterskie. Tutaj, w zwariowanym nurcie życia, sprawdzałem zasady Ewangelii, tutaj więcej nauczyłem się psychologii i pedagogiki aniżeli w podręcznikach i doktorskich rozprawach. Tutaj poznałem poglądy, trudności, potrzeby i zagrożenia polskiej młodzieży”.*

Zmarł 21 listopada 1995 r.

Po śmierci Autora ukazały się drukiem Jego rekollekcje: *Rodzić się dla świata wyższego*, 2000 r., *Wzrastać w światłości*, 2000 r., *Czyste sumienie to znak miłości*, 2002 r., „Przewodnik do nieba”, 2002 r.

*Więcej informacji o ks. Aleksandrze Zienkiewiczu można znaleźć na stronach internetowych:*

[www.wujek.wroc.pl](http://www.wujek.wroc.pl)



WYDAWNICTWO OO. FRANCISZKANÓW

**„Bratni Zew”** sp. z o.o.

ul Grodzka 54, 31-044 Kraków

tel. (12) 428 32 40, tel./fax (12) 428 32 41

www.bratnizew.pl

*Szanowni Państwo!*

*Wydawnictwo OO. Franciszkanów „Bratni Zew” prowadzi sprzedaż wysyłkową książek o tematyce religijnej za zaliczeniem pocztowym.*

*Szczegółowe informacje można uzyskać pod numerem tel. (12) 428 32 40, tel./fax (12) 428 32 41, [biuro@bratnizew.pl](mailto:biuro@bratnizew.pl)*

**Nasza oferta obejmuje następujące pozycje:**

- ♦ **„Aby życie mieli. Wybór kazań”** Tom 1 – ks. Julian Michalec
- ♦ **„Aby życie mieli. Wybór kazań”** Tom 2 – ks. Julian Michalec
- ♦ **„Okazja czy pokusa. Sztuka rozeznania i podejmowania decyzji”**  
– Silvano Fausti
- ♦ **„Rodzić się dla świata wyższego. Rekolekcje wielkopostne”**  
– ks. Aleksander Zienkiewicz
- ♦ **„Radość wzrastania. Czyli jak być szczęśliwym”** – Claudio Mina
- ♦ **„Nie lękajcie się być świętymi. Przewodnik po drogach nawrócenia”**  
– Boguchwała Kuras OSU
- ♦ **„Według świętego Mateusza. Stary Testament ukryty w Nowym”**  
– Piotr R. Gryziec OFMConv
- ♦ **„Arcybractwo Męki Pańskiej”** – red.: Paweł K. Solecki OFMConv
- ♦ **„Misterium czasu”** – Dawid M. Turolto
- ♦ **„Izrael opowiada swoje dzieje. Wprowadzenie do Ksiąg: Powtórzonego Prawa, Jozuego, Sędziów, Samuela i Królewskich”**  
– Juliusz St. Synowiec OFMConv
- ♦ **„Według św. Łukasza. Abyś się mógł przekonać o całkowitej pewności nauk”** – Piotr R. Gryziec OFMConv
- ♦ **„Patriarchowie Izraela i ich religia”** – Juliusz St. Synowiec OFMConv
- ♦ **„Spotkania przy studni. Rozważania o teologii Ewangelii wg św. Jana”** – Piotr R. Gryziec OFMConv
- ♦ **„Mówić o Bogu ...”** – red.: Zdzisław J. Kijas OFMConv
- ♦ **„Prorocy Izraela, ich pisma i nauka”** – Juliusz St. Synowiec OFMConv
- ♦ **„Naśladowcy św. Franciszka”** – Cecylian Niezgodą OFMConv
- ♦ **„Homo Creatus est. Ekumeniczne studium antropologii”**  
– Zdzisław J. Kijas OFMConv

- ♦ „*Mojżesz i jego religia*” – Juliusz St. Synowiec OFMConv
- ♦ „*Wprowadzenie do Księgi Psalmów*” – Juliusz St. Synowiec OFMConv
- ♦ „*Matka Boga i ludzi – Królowa rodzin. Czytanki na maj lub październik*” – Włodzimierz M. Pado OFMConv
- ♦ „*Dziesięć przykazań. Wj 20, 1-17; Pwt 5, 6-20*”  
– Juliusz St. Synowiec OFMConv
- ♦ „*Pięcioksiąg. Wprowadzenie do Księg: Rodzaju, Wyjścia, Kapłańskiej, Liczb i Powtórzonego Prawa*”  
– Juliusz St. Synowiec OFMConv
- ♦ „*Czytać Biblię – koniecznie!*” – bp Kazimierz Romaniuk
- ♦ „*Cudotwórca z Padwy*” – tł. Cecylian Niezgodą OFMConv
- ♦ „*Według św. Marka. Mały przewodnik egzegetyczno-teologiczny*”  
– Piotr R. Gryziec OFMConv
- ♦ „*Święty Antoni z Padwy – mistrz w szkole franciszkańskiej*”  
– red.: prof. dr hab. C. St. Napiórkowski OFMConv,  
Zdzisław J. Kijas OFMConv
- ♦ „*Święci a pojednanie Kościołów. Święci łączą czy dzielą?*”  
– red. Zdzisław J. Kijas OFMConv
- ♦ „*Magisterium – teolog. Historia dialogu*”  
– red.: Zdzisław J. Kijas OFMConv
- ♦ „*Maryja w Katechizmie Kościoła Katolickiego*”  
– red.: prof. dr hab. C. St. Napiórkowski OFMConv,  
lic. B. Kochaniewicz OP
- ♦ „*Bernard, Maciek i inni...*” – Piotr R. Gryziec OFMConv
- ♦ „*Kościół a nowy porządek świata*” – Witold Kawecki CSsR
- ♦ „*Prawda Pisma Świętego*” – Juliusz St. Synowiec OFMConv
- ♦ „*Wzrastać w światłości. Stawać się chrześcijaninem. Stawać się księdzem*” – ks. Aleksander Zienkiewicz
- ♦ „*Oto twój król przychodzi. Mesjasz w pismach Starego Przymierza*”  
– Juliusz St. Synowiec OFMConv
- ♦ „*O Najświętszej Maryi Pannie w maju, październiku i przez cały rok*” – Włodzimierz M. Pado OFMConv
- ♦ „*Życie małżeńskie uczynić Eucharystią. Rekolekcje dla Rodzin*”  
– Kazimierz Lubowicki OMI
- ♦ „*Aniołowie i demony. Powrót tego co niewidzialne*”  
– Giacomo Panteghini OFMConv
- ♦ „*Homilie o Miłosierdziu Bożym na niedziele i święta. Rok A*”  
– Włodzimierz M. Pado OFMConv
- ♦ „*Homilie o Miłosierdziu Bożym na niedziele i święta. Rok B*”  
– Włodzimierz M. Pado OFMConv
- ♦ „*Homilie o Miłosierdziu Bożym na niedziele i święta. Rok C*”  
– Włodzimierz M. Pado OFMConv

- ♦ **„Objaśnienia niedzielnych czytań mszalnych – rok ABC”**  
– bp Kazimierz Romaniuk
- ♦ **„O chrześcijańskiej czystości. Podstawy biblijne”**  
– Boguchwała Kuras OSU
- ♦ **„Początki świata i ludzkości według Księgi Rodzaju”**  
– Juliusz St. Synowiec OFMConv
- ♦ **„Dom dla Jezusa. Adwent w rodzinie”** – Kazimierz Lubowicki OMI
- ♦ **„Wprowadzenie do Lectio divina. Teologia, metoda, duchowość, praktyka”** – Mario Masini
- ♦ **„Życie jest miłością. Problemy wiary i psychologii”** – Claudio Mina
- ♦ **„Czyste sumienie to znak miłości. Rozważania. Droga Krzyżowa. Rachunek sumienia”** – ks. Aleksander Zienkiewicz
- ♦ **„W szkole modlitwy świętych Franciszka i Klary z Asyżu. Uwagi o tym, jak uczyć się modlić”** – Adriano Parenti
- ♦ **„Mądrość Ewangelii. Ku odnowie życia w Duchu Świętym”**  
– Francesco Bersini
- ♦ **„Credo. Komentarz do wyznania wiary”** – Bernard Springer OFMConv
- ♦ **„Pomóżmy dzieciom spotkać Boga. Poradnik dla rodziców i wychowawców”** – Benigno Scarpazza
- ♦ **„Mędrzy Izraela, ich pisma i nauka”**  
– Juliusz St. Synowiec OFMConv
- ♦ **„Św. Antoni z Padwy. Życie i nauczanie”**  
– Cecylian Niezgoda OFMConv
- ♦ **„Jak odzyskać entuzjazm życia”** – Andrzej Zajac OFMConv
- ♦ **„Tajemnice życia rodzinnego. Podstawy duchowości małżeńskiej”**  
– O. Kazimierz Lubowicki OMI
- ♦ **„Rekolekcje o wojnie, przemocy i terroryźmie”**  
– O. Jerzy Brusilo OFMConv
- ♦ **„Porady psychologa”** – Claudio Mina
- ♦ **„Okruchy nadziei. Powiedzenia, opowiadania i przypowieści różnych kultur świata”** – red.: Sergio Bocchini
- ♦ **„Błogosławiona Jolenta wpośród Arpadów i Piastów”**  
– Cecylian Niezgoda OFMConv
- ♦ **„Biblia i modlitwa”** – Mariano Margassi
- ♦ **„Radość doskonała płynie z krzyża. Św. Franciszek przemawia do wiernych”** – kard. C. M. Martni, R. Cantalamessa
- ♦ **„Słowo Boga na każdy dzień 2003 roku”**
- ♦ **„Rozważaj i głoś Ewangelię. Katecheza narracyjna Ewangelii według św. Marka”** – Silvano Fausti
- ♦ **„Przewodnik do nieba. Zasady życia chrześcijańskiego”**  
– ks. Aleksander Zienkiewicz





Ks. Julian Michalec

# Aby życie mieli

wybór kazań  
Tom 2

Swą racjonalnością i rzeczowością oddawał ks. Julian Michalec słuchaczom wszystko to, co było w jego osobowości najcenniejsze. Odrzucał fałszywą i pustą retorykę, kliwne i naiwne przykłady, groteskową w swym niedobrym patosie stylizację i sentymentalizm, wykazujący pewne analogie z fideizmem, na rzecz którego ambona polska tyle złożyła kontrybucji.

A przecież był zarazem człowiekiem gorącego serca, którego potrafiła wzruszać do łez taka czy inna scena ewangeliczna, któremu odbierało głos takie czy inne wspomnienie. Był jak ogień w każdej posłudze kapłańskiej – nie tylko kaznodziejskiej: od chrztu – przez święcenie koszyczków wielkanocnych – do pogrzebowych egzekwii. Może dlatego wypalił się tak szybko. Z pewnością natomiast dlatego wywoływał u wszystkich, którzy się z nim zetknęli, tak intensywne uczucia.

I ja nie mogę na koniec tego wspomnieniowego szkicu nie powtórzyć tego, co publicznie wyraziłem już wiele razy: księdzu Julianowi Michalcowi zawdzięczać wszystko w zawodowej pracy wykładowcy uniwersyteckiego i telewizyjnego. To on przede wszystkim nauczył mnie najważniejszej prawdy o działaniu oratorskim: jeśli chcesz, by twoi odbiorcy płonęli, sam musisz płonąć.

*prof. Jan Miodek*



WYDAWNICTWO OO. FRANCISZKANÓW  
„Bratni Zew” sp. z o.o., ul Grodzka 54, 31-044 Kraków  
tel. (12) 428 32 40, tel./fax (12) 428 32 41, [www.bratnizew.pl](http://www.bratnizew.pl)



Silvano Fausti

# Okazja czy pokusa

Sztuka rozeznania  
i podejmowania decyzji

Jak może współczesny człowiek, zdany na własne upodobania i wyzwolony spod prawa, odróżnić dobro od zła, to, co go prowadzi do ojczyzny jego pragnień od tego, co nieuchronnie powoduje jego katastrofę?

Książka ta jest podręcznikiem dla wewnętrznego rozwoju. Odwołuje się ona do najstarszych i chwalebnych, chociaż nieznanych tradycji. Pragnie nauczyć sztuki rozeznania i podejmowania decyzji. Proponuje podjęcie ćwiczeń, które umożliwią życie w pełni wolnością, do jakiej zostaliśmy przeznaczeni. Pomaga dostrzec różnicę między przyjemnością pozorną i radością, smutkiem pozytywnym i negatywnym, autentyczną radością i jej podróbkami. Radość i smutek serca stanowią istniejące w naszym wnętrzu kryterium dobra i zła. Takie jest nowe prawo: „prawo wolności”, do którego zostaliśmy powołani od wieków. Do tego prawa, można by powiedzieć, dziś wreszcie dojrzelśmy.



WYDAWNICTWO OO. FRANCISZKANÓW

„Bratni Zew” sp. z o.o., ul Grodzka 54, 31-044 Kraków  
tel. (12) 428 32 40, tel./fax (12) 428 32 41, [www.bratnizew.pl](http://www.bratnizew.pl)